

„ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

November 1965

Price 3/6

Cena 3/6

§ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

SYRENA

LISTOPAD

1965

Nr 16/1163



FP 2156

PIĄTA SERIA

POLSKIEJ
FUNDACJI
KULTURALNEJ

Komplet książek za 30 szylingów

ZOFIA ROMANOWICZOWA — „PRÓBY I ZAMIARY“

17 opowiadań — 160 str.
okładka Danuty Laskowskiej.

JAN ROSTWOROWSKI — „NASI LUDZIE“

Cykl opowiadań — 160 str.
okładka Tadeusza Orłowicza.

LEW SAPIEHA — „WOJNA Z WYSOKOŚCI SIODŁA“
pamiętnik ulana z kampanii wrześniowej 1939 r. — 160 str.
okładka Tadeusza Terleckiego.

TADEUSZ WITLIN — „MODIGLIANI“
powieść biograficzna o wielkim współczesnym malarzu —
w 2 tomach

„CYGAN MONTMARTRE'U“ stron 320

„KSIĄŻĘ MONTPARNASSE'U“ stron 280

okładki Stanisława Gliwy.

W zakupie pojedynczym:

„PRÓBY I ZAMIARY“, „NASI LUDZIE“ i „WOJNA Z WYSOKOŚCI SIODŁA“
po 6/6; „CYGAN MONTMARTRE'U“ i „KSIĄŻĘ MONTPARNASSE'U“ po 9/6.

Do nabycia:

księgarnie na całym świecie, przedstawicielstwa „Dziennika Polskiego“
za granicą.

POLSKA FUNDACJA KULTURALNA
9, CHARLEVILLE ROAD, LONDON, W.14.

fraszki

Idealizm

*Nie warto nic robić dla pieniędzy
(Bo przecież zawsze potrzeba więcej).*

Kultura wieku dwudziestego

*Z niejednego analfabety
Doczekaliśmy się poety.*

Wybory prezydenckie we Francji

*Jedyne było pytanie:
Stanie do wyborów, czy nie stanie?*

Postęp

*Jeszcze kilkanaście lat rozwoju motoryzacji,
A nogi będą jedynym środkiem komunikacji.*

W NUMERZE :

- Marian Czarnecki: Oś Paryż — Moskwa 1
- Jan Tokarski: Czy Sobór jest ponad Papieżem? 2
- Zdzisław Stahl: Wewnątrz i między dwoma obozami światowymi 6
- Stanisław Paczyński: Podwójna kłęska „Tadeusza Matejki“ 8
- Jan Adamski: Dziwne „zjawiska kulturalne“ 9
- Zbigniew Grabowski: Literatura polska przebija się na Zachód 10
- Kazimierz Schleyen: Powstanie o pańszczyznę 14
- Tadeusz Radwański: Konflikt sowiecko-chiński (II) 16
- J. Krok-Paszkowski: Wschód i Zachód 18
- W. Lewandowski: Czy wybuchy wodorowe są szkodliwe dla ludzkości? 21
- J. O. N.: Kongres historyków w Wiedniu 22
- Bohdan Janikowski: Wspomnienie o Aleksandrze Kawałkowskim 23
- Z życia Polaków w świecie 24
- Jan Claude: Dessous 26
- Klara Evans: Pożegnanie pułkownika 28
- Hilda Jankowska: Trzy żony tragicznego zdrajcy 31
- Dr Michał: Astma 33
- J. Ostrowski: Życie kulturalne polskiego Londynu 34
- Stefan Wóycicki: Jubilat — jego chwała, jego myśli i jego spinki od mankietów 36
- Paula Powileńska: Sekret drugiej młodości 38
- Czesław Dobek: Przed przejściem morza 40
- Kazimierz Glabisz: Dwie książki o 2 Korpusie 41
- Kuźma Wołk: Trochę o „bractwie polsko-radzieckim“ 44
- Okładka: za zezwoleniem paryskiego Domu Mody Jacques Heim z jego jesiennej kolekcji. (Cop.)

OŚ PARYŻ—MOSKWA?

Paryż, w listopadzie 1965.

WIZYTA w Moskwie francuskiego ministra spraw zagranicznych, Maurice'a Couve de Murville, w normalnych okolicznościach byłaby wydarzeniem dość banalnym, bez większego znaczenia politycznego. Była zapowiedziana od dawna i rewizytował on po prostu swego sowieckiego kolegę Gromykę, który był w Paryżu na wiosnę tego roku. Ale obecne okoliczności nie są normalne. Francja weszła po raz pierwszy w gorączkowy okres kampanii wyboru swego prezydenta w drodze powszechnego głosowania, a kryzys atlantycki jak i europejski pogłębia się. Do tego w czasie tej wizyty wytworzyła się wokół planów politycznych gen. de Gaulla pewna atmosfera sensacji, która dołała oliwy do ognia. Stąd wielki tygodnik paryski „Express” zatytułował swą okładkę i główny artykuł polityczny „Oś Paryż — Moskwa” — nawet bez znaku zapytania.

Sensację wywołał artykuł amerykańskiego tygodnika „Newsweek”, z 25 paźdz. ogłaszając rzekome zwierzenia się de Gaulla wobec jednego z ambasadorów zaprzyjaźnionego państwa. Generał miał powiedzieć, że Niemiec Zach. nie powinno się upoważnić do posiadania własnej armii, bo jest im niepotrzebna; jeżeli zostaną zaatakowane, to Francje je obroni swą siłą atomową. Powinny one być utrzymane w stanie stałej zależności. Dalej Prezydent Francji rzekomo zwierzał się, że jest gotów zawrzeć sojusz z Rosją (zawsze w takim wypadku używa słowa Rosja, a nie Sowiety czy Związek Sowiecki), ale gwarancje Francji nie obejmują terytoriów poza Uralem, bo generał nie chce, by Francuzi umierali w obronie azjatyckich posiadłości Moskwy w wojnie przeciw Chinom. Wreszcie generał nie spocznie dopóki ostatni żołnierz amerykański nie opuści Europy.

Francuskie ministerstwo spraw zagranicznych zareagowało na ten artykuł natychmiast i bardzo energicznie, nazwało te informacje „ordynarną gadką, która nie zasługuje

(D. c. na str. 4)



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 16/1163

LISTOPAD 1965

Rok XXV

JAN TOKARSKI

CZY SOBÓR JEST PONAD
PAPIEŻEM?

UWAGI O RUCHU KONCYLIARNYM

OD LISTOPADA zeszłego roku aż do kwietnia 1968 trwa 550-lecie soboru w Konstancji. Jest to jedyny dotąd w dziejach Kościoła sobór, na którym Polska usiłowała świadomie odegrać pewną rolę teologicznie i kanonistycznie twórczą i oryginalną, a przytem — ze względu na to czym sobory jeszcze były — rozwiązać swoje życiowo ważne i pilne problemy polityczne. Z tego powodu sobór ten, jedyny zapewne, budził zawsze pewne zainteresowanie nie tylko polskich historyków, ale i szerszej polskiej opinii.

Jednak od pewnego czasu sobór w Konstancji zaczyna budzić specjalne zainteresowanie teologów: i to żywsze niż jakikolwiek inny dotąd w całych dziejach Kościoła. Powodem są pewne teorie teologiczno-kanonistyczne dotyczące natury Kościoła, nazwane ogólnym mianem koncyliaryzmu, których wyrazem stał się właśnie ten sobór. Te teorie teraz właśnie zaczynają mieć aktualność pod pewnym względem większą jeszcze, niż miały 600, 500 i 400 lat temu. My bowiem na nowo zaczynamy się wmyślać w strukturę Kościoła, naturę jego władz i ich działania — papież, kolegium biskupie, synod biskupów przy papieżu, sobór. A dalej: czy papież, kolegium biskupie z papieżem i sobór wyczerpują pełnię wszelkiej władzy złożonej w Kościele przez Chrystusa, czy też społeczność Kościoła owa „societas credentium nomini Jesu Christi”, jak często wtedy pisano: „społeczność wierzących imieniu Jezusa Chrystusa”, ma jeszcze sama zdeponowaną władzę jakby ukrytą, która czasem, w specjalnych okolicznościach, może dojść do głosu, jak do

głosu doszła — tak wierzyli niemal wszyscy bez wyjątku uczestnicy soboru w Konstancji — w czasie ówczesnego tragicznego kryzysu Kościoła i której organem i wyrazem stał się sobór. Boć przecież ów sobór po prostu zdeponował trzech konkurencyjnych papieży, a postawiwszy się ponad papieża, obrał czwartego, po pewnych wahaniach uznanego powszechnie w łacińskim chrześcijaństwie. A więc sobór nad papieżem? Czy społeczność wiernych wszystkich razem wyższa nad papieża i sobór, choć poprzez sobór dająca wyraz odczytywaniu przez siebie asystencji Ducha św., Kościołowi przyobiecanej? Jak to wszystko z sobą się zajeżdża? Jak współistnieje bez uszczerbku dla realności prymatu papieskiego? Te i wiele innych pytań dziś powraca na nowo.

Ciekawą rzeczą więc jest przypatrzyć się, jak w ogóle do wyłonienia się tych zagadnień doszło — tych zagadnień, które objął szerokim dachem ogromny ruch umysłowy: teologiczno-kanonistyczny i nawet polityczno-społeczny, nazwany koncyliaryzmem? Skąd ta olbrzymia rola, przypisana przed 600 laty soborowi? Skąd takie zmasowanie uniwersalne wszelakich nadziei, z soborem łączonych?

W tych pytaniach o sprawy sprzed wielu stuleci — jak to sami wyczuwamy — nie chodzi tylko o zdmuchiwanie pyłu i kurzu historii, o omiatanie z pajęczyn jakichś spraw dawno przebrzmiałych. Są to także w wielkiej mierze i nasze dzisiejsze pytania, także i nasze nadzieje, choć nie tymi samymi przyczynami co wtedy zrodzone.

A więc jak się to stało, że narodził się wielki ruch koncyliarny, który w XV wieku wybuchnął z tak wielką siłą? Dlaczego w rezultacie tak mało sprawił i na całe wieki stał się teologicznie bezpłodny, a dopiero dziś powraca? — Odpowiedź nie łatwa, lecz będziemy próbowali jej poszukać.

I

TRZY były główne potęgi średnio-wiecznej Europy: cesarstwo, uniwersytety i papieństwo. Z tych w wieku XIV i XV na czoło wybiły się uniwersytety, przede wszystkim zaś uniwersytet paryski. Już więcej niż 60 lat temu pisał słusznie Morawski: „Szczególnie (...) uniwersytet paryski zajął światłością niezwykłą, w koncercie polityki światowej zaczął nieledwie odgrywać rolę osobnego mocarstwa; a promienie tej chwały spadały na pokrewne instytucje innych krajów (...) na modłę paryskiej szkoły ukształtowanej“.

W zasadniczych sprawach nurtujących ówczesne chrześcijaństwo zachodnie uniwersytety będą zajmowały najczęściej stanowisko solidarne: aby się nie różnić od przesławnej Sorbony. Będzie to również dotyczyło młodego wówczas uniwersytetu krakowskiego. I możemy sobie wyobrazić z jaką dumą przyjmie krakowski uniwersytet — jako honor przed całym chrześcijaństwem — list Sorbony z 16 marca 1444 roku, zawierający pochwałę dla swego stanowiska koncyliarnego, które, co stwierdził znamienity historyk soboru trydenckiego, Hubert Jedin, było na tle wszystkich innych teologicznie najpowszechniejsze i najbardziej umiarkowane, przynajmniej jeśli chodzi o memoriał, wystosowany przez nasz uniwersytet w marcu 1442 roku.*) A ponieważ był to główny ośrodek naukowy w Polsce, ściśle mówiąc jedyny, zaczęła postawa uniwersytetu w sprawach obchodzących chrześcijaństwo będzie też miała wpływ na oficjalne stanowisko Polski — to jest jej rządu i jej episkopatu. Niekiedy, choć nie we wszystkich wypadkach — będzie to postawa identyczna.

To bardzo ważna rzecz, o której należy pamiętać, gdy pragnie się mówić o dość żywym, choć w efekcie bezpłodnym teologicznie, a także politycznie (choć może nie kanonistycznie) udziale Polski w ruchu soborowym, tak charakterystycznym dla wieku XV. Bezpłodnym, bo choć było to stanowisko wtedy, żeby tak powiedzieć naukowo mo-

dne, w chrześcijaństwie zachodnim narastające już od XII wieku, miało się okazać sprzeczne z pewnego typu rozwojem historycznym i eklezjologicznym, które wkrótce potem na całe wieki zapanało.

II

ZKOLEI trzeba powiedzieć słowo o tym, dlaczego to w pewnej chwili uniwersytety wybiły się do najwyższej roli w Europie zachodniej końca wieków średnich i początku nowożytności.

Oczywiście powody były liczne, negatywne i pozytywne. Z braku miejsca nie możemy tu o nich mówić. Wszakże wskazać trzeba na jeden i to chyba najważniejszy w rzędzie powodów negatywnych. Był zaś nim upadek dwu innych ówczesnych autorytetów. To jest cesarstwa i papieństwa. Upadek cesarstwa był faktem, pomimo nieuszczipionych pretensyj uniwersalistycznych cesarza i jego przeświadczenia o prymacie w rzędzie monarchów rodziny narodów europejskich. Zrazu dość z oporem i wielkimi zastrzeżeniami pierwsi Piastowie ten stan rzeczy uznają. Od XIII, a na dobre od XIV wieku Polska przestaje te pretensje uznawać, co odbije się do pewnego stopnia na jej interesach w czasie soboru w Konstancji, ze względu na rolę, jaką cesarz na tym soborze odgrywał.

Przede wszystkim jednak zdecydował upadek autorytetu papieństwa. Stało się to na drodze praktycznej, a więc np. z powodu rosnącego centralizmu kurii, polityki fiskalnej, politycznych pretensyj papieskich, tzw. niewoli awiniońskiej, która sprowadza papieża, jakby do roli kapelana króla Francji, potem z powodu nieszczęsnej schizmy z dwoma, a nawet trzema papieżami panującymi równocześnie. Studium i recepcja cesarskiego prawa rzymskiego prowadzi ze swej strony stopniowo do sekularyzacji władzy świeckiej, a legiści dostarczają uzasadnień prawnych dla supremacji władzy świeckiej nad władzą duchowną i do laicyzacji państwa. Pod pewnym względem dostarczają też argumentów teoretycznych przeciw papieństwu kanoniści i teologowie. Ci ostatni na dwu drogach, subiektywnie prawowiernej i wyraźnie heretyckiej, lecz w obu wypadkach zmieniających pogląd na naturę Kościoła. W obrębie teologów subiektywnie prawowiernych można wyliczyć co najmniej trzy nurty eklezjologiczne, a każdy o licznych wariantach. Powiedzmy: arystokratyczny; umiarkowanie demokratyczny lub tzw. „mieszany“ (tj. monarchiczno-arystokratyczno-demokratyczny) i skrajnie demokratyczny czyli multitudonarystyczny. We wszystkich tych kierunkach

figuruje jako barwa specjalna koncyliaryzm — także w różnych wariantach, od umiarkowanych po skrajne. No i jest nurt czwarty eklezjologii, tradycyjny, z coraz wyraźniej, lecz też z coraz bardziej jednostronnie rozwijanym pojęciem prymatu papieskiego; tradycyjny, lecz też i skierowany ku przyszłości i który dopiero na naszych oczach doznaje pewnych przyhamowań i uzupełnień.

Pustkę, wytworzoną przez upadek dwu innych autorytetów, wypełniają więc uniwersytety.

Pamiętamy z historii i historii Kościoła, że z końcem wieku XIV i w początkach w. XV papieństwo przeżywa fazę swego największego upadku od czasu smutnego wieku X-go. Zaogniła sprawa schizma zachodnia, która trwa ok. 40 lat i kończy się dopiero w roku 1417, po zażyciu wielce radykalnego środka. Była to zaś schizma w odróżnieniu od innych dotąd na Zachodzie nie spowodowana ingerencją władzy świeckiej, przynajmniej bezpośrednio, jak to bywało nieraz w przeszłości, kiedy cesarze w walce z papieżami nakazywali części posłusznych i uległych kardynałów obiór antypapieża, nieraz nawet krótkiej linii antypapieży. Tym razem schizmę spowodowali sami kardynałowie, niezadowoleni z obioru na swój sposób gorliwego, choć brutalnego i może nie całkiem normalnego Urbana VI. Wykorzystując historycznie nie podlegający wątpliwości fakt, że wybór Urbana do pewnego stopnia nie był swobodnym wyrazem zgody kardynałów, lecz wynikiem terroru ze strony motłochu rzymskiego, część kolegium zrażonego do Urbana obrała Roberta, kardynała Genui, który jako Klemens VII zapoczątkował nową linię awiniońską.

Zamieszanie rodzi się wielkie. Obediencji wobec jednej czy drugiej linii stają się często nie wyrazem przekonania, ale wynikiem aktualnej polityki władców. Zawsze chodzi o przetargi z jedną lub drugą linią papieży, na których traci Kościół, a zyskuje monarchia. Lecz nawet ludzie najuczciwsi, najlepszej woli, ba! święci nawet (jak św. Wincenty Ferreriusz np.) nie wiedzą, który z obranych papieży jest prawowitym następcą Piotra. (Prawde mówiąc, i my dziś tego też nie wiemy z wszelką pewnością). Wysuwane są różne pomysły likwidacji schizmy. Najpierw — jak to przeważnie w średnio-wieczu — „droga faktu“, inaczej mówiąc — po prostu wojny. Ale, gdy jej wynik zawodzi Klemensa VII, zaczyna się mówić o innych możliwościach. Wreszcie w roku 1394 Sorbona przeprowadza coś w rodzaju ankiety i ba-

*) Cfr. H. Jedin, *A History of the Council of Trent*, vol. 1, str. 35. (Wyd. z 1957).

daniam opinii publicznej i znajduje, że najwięcej zwolenników ma tak zwana droga cesji: obu papieży należy zmusić do „cesji“, czyli do ustąpienia, to jest do złożenia korony i dokonania wyboru nowego papieża. O tym, rzecz jasna, zainteresowani nie chcą słyszeć. Wysuwa się wtedy drogę narad, układów i perswazji przy pomocy stron trzecich, które by przekonały jednego z papieży o konieczności ustąpienia, a pozostawienia drugiego itp. Gdy wszystkie te i inne drogi zawiodą, wtedy siedmiu kardynałów obediencji rzymskiej postanowiło się „odwołać od papieża źle poinformowanego do papieża lepiej poinformowanego, od wikariusza Chrystusa do Jezusa Chrystusa, do soboru“, jak głosiła formuła. Do nich przyłączy się potem 6 kardynałów awiniońskich. Sobór zarysował się jako jedyny i radykalny ratunek. Nie po raz pierwszy, nie nagle, bo jak to sugerowałem wyżej, łączył się problem soboru „ponad papieżem“, z pewnymi teoriami kanonistycznymi, głoszonymi już w XII wieku. Ale o tym później. W tej chwili wypada bowiem przypomnieć co innego.

III

O TO w owym okresie stan całego Kościoła przedstawia się smutno. Cały Kościół potrzebuje gruntownej reformy, poczynając od kurii, w której zwłaszcza od XIII wieku zaczyna się widzieć sumę zła, nieprawości i niegodziwości, a w której dziś rzeczywiście widzimy, patrząc historycznie przyczynę, jedną z najgłówniejszych, wielkich nieszczęść chrześcijaństwa zachodniego, łącznie z jego tragicznym podziałem od wieku XVI, że problem tzw. „kuri papieskiej“, choć w zmienionej postaci, nie stracił na ostrości i po wiekach; że to czysto biurokratyczne narzędzie, jakim kuria winna być w ręku papieża, faktycznie wyrosło do roli, która jest sprzeczna z ewangelicznym obrazem Kościoła, z wszelką zdrową eklezjologią i organiczną strukturą Kościoła, można to widzieć wyraźnie w okresie przygotowania obecnego soboru. (I może wreszcie po blisko ośmiu stuleciach doczeka się chrześcijaństwo zachodnie i tej reformy). Lecz wróćmy do spraw z końca XIV i początków XV wieku...

Kościół więc potrzebuje reformy od kurii, kolegium kardynalskiego i biskupów poczynając, na klerze, zakonach i świeckich kończąc. To jest ten postulat, który nam jeszcze z czasów szkolnych brzęczy po głowie, swoim łacińskim sformułowaniem, postulat reformy „in capite et in membris“. Przytem i wiara domaga się określenia w jednym punkcie, zaciemnionym przez ataki licznych herezji, a świeżo i ak-

tualnie wówczas przez wyklefizm i husytyzm. Nie są to jakieś sprawy oderwane od życia. Przeciwnie, łączą się z życiem osobistym i zbiorowym. Toć wszelkie instytucje ówczesne, od gildyj rzemieślniczych po technikę sprawowania władzy państwowej opierają się nadal na koncepcji Kościoła i chrześcijaństwa. Kryzys w tej dziedzinie wywołuje kryzysy w narodach. Spory o obediencje — rzymską czy awiniońską, dręczą umysły i sumienia. Oliwy do ognia dolewają spory filozoficzne, teologiczne, legistyczne i kanonistyczne. A herezje prowadzą już wprost do odruchów czasem niebywałych w swej dzikości. Zwłaszcza dotyczy to wyklefizmu, który właściwie nie pozostawiał niczego z tradycyjnej koncepcji Kościoła, chrześcijaństwa i tak zwanego świata chrześcijańskiego lub chrześcijańskiej cywilizacji, której niezwykle żywą świadomością średniowiecze się odznaczało.

Książd Jan Wyklef (tj. John Wyclif) jako Anglik wywracając tyle rzeczy do góry nogami, zbyt był praktyczny, aby walczyć z wszystkimi i z wszystkim naraz. Potrzebny mu był punkt zaczepienia nie tylko społecznie i politycznie, lecz także praktycznie: w celu zapewnienia sobie osłony. Toteż wszystko co odbiera papieżowi, hierarchii i Kościołowi, przyznaje władzy świeckiej (w „De officio regis“, ok. 1379). Za wzorem legistów i Marsyliusza z Padwy. Zdaniem Wyclefa w świecie prymat przypada królowi i księciu: monarcha jest bowiem reprezentantem boskości Chrystusa, podczas kiedy stan kapłański może być co najwyżej reprezentantem Jego człowieczeństwa. A czym jest Kościół? — „Kiedy ludzie mówią „Święty Kościół“, mają na myśli dostojników i opatów, mnichów, kanoników i zakonników żebrzących, słowem wszystkich, którzy noszą tonsurę, nawet jeśli prowadzą złe życie“. Tymczasem Kościół walczący nie ma nic wspólnego z żadną widzialnością i hierarchicznością, jest bowiem „powszechnością przeznaczonych do zbawienia“, *universitas praedestinatorum*.

Ponieważ Kościołem są tylko ci, którzy zostaną zbawieni, jest to społeczność zewnętrznie niewidzialna, przeciwieństwo Kościoła widzialnego. Ponieważ nikt — papież, biskupi etc. nie mogą wiedzieć, czy grzechy ich są odpuszczone, nie wiedzą ani oni sami, ani nikt na ziemi, czy w ogóle należą do tego Kościoła jedynie prawdziwego, niewidzialnego Kościoła Wybranych. Wyclef godzi się wprawdzie, że hierarchia może pozostać nadal, że może mieć na-

wet prawo do pewnego szacunku czysto zewnętrznego, ale i całość i każdy jej członek pojedynczo pada przed sądem wiernych sądzących jego postępek. Znakiem jedynym jest zgodność z biblią, dlatego każdy wierny musi znać biblię. Biblia sądzi, a przy jej pomocy lud. Papież nie tylko nie jest sędzią powszechnym, ale podpada pod sąd wiernych. (Zresztą stniejąca schizma dowodzi, jak zbędna jest funkcja papieża, należy ją przeto znieść). W ten sposób zbawienie nie zależy w żaden sposób od pośrednictwa Kościoła, kapłaństwa i sakramentów. Istnieje powszechne kapłaństwo przeznaczone z góry na zbawienie i ono łączy ich bezpośrednio z Bogiem przez Chrystusa. Wyclef odrzuca Rzeczywistą Obecność i transsubstancjację, cuda, kult świętych, relikwie, zasadę odpustu, potępiał pielgrzymki, jako okazję co najwyżej do promiskuityzmu i rozpusty, etc.

IV

KRÓTKO mówiąc: Religia średniowieczna, tak bardzo społeczna i społecznie uzewnętrzniana, oparta o papieża jako widzialną głowę Kościoła, ze swoim naciskiem na pośredniczącą rolę świętych w modlitwie, na relikwie, na pielgrzymki, religia nierozdzielnie łączona z pojęciem Kościoła hierarchicznego i widzialnego, jako pośrednika w zbawieniu z jednej strony, a przeżywaniem dogmatu o Świętych Obcowaniu z drugiej, otrzymuje cięś zasadniczy i druzgoczący. Zarówno przyrodzona, jak nadprzyrodzona społeczność zostaje zastąpiona zbiorowiskiem mechanicznie obok siebie istniejących jednostek. Każda z tych jednostek zdana jest indywidualnie na zewnętrznie niesprawdzalną wolę Bożą, bo postawione przez Wyclefa kryterium zgodności z Pismem wisi w powietrzu wobec braku autorytetu interpretującego biblię. W ostatnich latach swej działalności herezjarcha staje się jeszcze skrajniejszy. Potępia naukę, stopnie uniwersyteckie i uniwersytety, jako wymysł diabelski; potępia wszelkie przysięgi jako niewiążące i pozbawione ważności. Głosi skrajny fatalizm, że wszystko dziejąc się tak, jak się dzieje, dzieć się musi i naucza, że Bóg musi być lojalny, a nawet posłuszny szatanowi, bo faktycznym sprawcą grzechów ludzkich jest Bóg. — Husytyzm wyrósł jak wiadomo bezpośrednio z twierdzeń wyklefickich, wiele też miał podobnych, ale jednak zatrzymywał transsubstancjację i walor kapłaństwa choć nie tyle sakramentalnego co właściwie utożsamionego z oso-

bistą świętością nosiciela; zostawiał też miejsce, przynajmniej w niektórych odłamach i interpretacjach, na cześć Matki Bożej.

Żeby można było przystąpić do tak silnie odczuwanej potrzeby zrealizowania gruntownej reformy Kościoła; żeby można było dokonać wyjaśnienia w tyłu punktach zaciemnionej wiary, trzeba było najpierw usunąć schizmę papieską. I też trzy punkty, tak właśnie sformułowane, zajmują wówczas ludzi, od prostych chrześcijan począwszy na uniwersytetach i rządach skończywszy: *causa unionis, causa fidei, causa reformationis* — sprawa przywrócenia jedności, sprawa wiary, sprawa reformy.

Papieże ani jednej ani drugiej linii nie zmierzali do usunięcia schizmy. Lecz gdy papież linii rzymskiej (przynajmniej do Bonifacego IX wyłącznie) starali się o pozory pewnej działalności w tym kierunku, papież linii awiniońskiej w ogóle do tego nie dążyli. Zwłaszcza gdy działał nacisk króla francuskiego, którego polityce odpowiadało, żeby papież był praktycznie kapelanem francuskich monarchów. Schizma więc tężała, rozdarcie wzrastało, umysły i temperamenty coraz bardziej były roznamiętione.

V

W TYM stanie rzeczy inicjatywa uzdrowienia Kościoła i usunięcia schizmy jako istotnego warunku jakiegokolwiek reformy wyszła z uniwersytetu paryskiego. Już w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIV wieku dwaj teologowie Sorbony, Niemcy X z pochodzenia, Henryk z Langenstein i Konrad z Gelnhausen, wystąpili z wnioskiem o zwołanie soboru powszechnego. Tylko sobór powszechny jako reprezentacja całego Kościoła, twierdzili, może uzdrowić zło gnębzące i rozdzierające całe chrześcijaństwo, bo będzie władny osądzić zarówno kardynałów jak i obu przez nich obranych papieży. W 14 lat później, w r. 1393, uniwersytet paryski już w pełni działający jako powszechnie w świecie uznawana najwyższa zbiorowość teologów, wystąpił z odpowiednim memorandum. I tu wskazał na sobór jako na jedyne rozwiązanie, jeśli zawiodą inne drogi daremnie i tak dotąd próbowane — droga dobrowolnej cesji obu papieży, lub droga perswazji, etc. Lecz dopiero, gdy obaj papieży — najpierw Bonifacy IX po stronie rzymskiej i jego następcą Grzegorz XII oraz Benedykt XIII awinioński jawnie dowiedli, że nie mają dobrej woli, wtedy 13 kardyna-

łów obu tych papieży zerwało z nimi i z Livorna zwołali sobór powszechny do Pizy na 25 marca 1409 roku. Zaatem w czasie największego rozdrażnienia i napięcia wszystkich stron trzeba było paru dziesiątek lat, nim koncepcja soboru „ponad papieżem“, istota ruchu koncyliarnego, dobiła się do głosu. Przeciwnie zatem niż można by sądzić

ze sposobu przedstawienia tej sprawy w podręcznikach historycznych. Trwało to bardzo długo, nim powszechność chrześcijańska (choć bynajmniej nie cała) oswoiła się z tą ideą. Jakże zaś są źródła idei koncyliarnej?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jan Tokarski

OŚ PARYŻ -- MOSKWA ?

(Dokończenie ze str. 1)

na żadną uwagę“. Ten komunikat mówi dalej, że „ogłoszenie tego artykułu jest częścią kampanii, wyglądającej na systematyczną i której celem jest wprowadzenie w błąd opinii publicznej oraz mączenie stosunków Francji z jej aliantami.“ Paryscy komentatorzy polityczni początkowo ustosunkowali się sceptycznie do informacji amerykańskiego tygodnika bo jednak nie leży w stylu de Gaulla zwierzenie się obcym ambasadorom. Ale trzymając tę nitkę zaczęli szukać kłęбка i stwierdzili że de Gaulle przyjął 18 października ambasadora Holandii barona Bentincka Van Schoonheten. Haga natychmiast zaprzeczała jakoby to on był źródłem tych „rewelacji“, na co holenderski dziennik „Algemeen Handelsblad“ napisał: „Należy na ile znamy treść rozmowy, jaka miała miejsce osiem dni temu między ambasadorem Holandii i prezydentem de Guallem, możemy potwierdzić informacje ogłoszone przez tygodnik „Newsweek“. Ten ostatni w specjalnym komunikacie potwierdził ich autentyczność i inne organy prasy zaczęły przyjmować, że jednak taka rozmowa mogła mieć miejsce.

Jeżeli rzeczywiście miała, to co może oznaczać? Po pierwsze, że prezydent Francji tylko pozornie się zwierzał i podał te „rewelacyjne plany“ celowo, by „wyciekły“, będąc pewnym, że nie pozostaną one w tajemnicy. I rzeczywiście — rząd holenderski podobno podał to innym aliantom i rząd belgijski miał nawet rozesłać treść rozmowy swym przedstawicielom dyplomatycznym przy rządach Paktu Atlantyckiego.

W takim razie co było celem de Gaulla? Tu wchodzimy w dziedzinę przypuszczeń — i to jest drugi punkt tej „afery“. Jednym z celów mogło

być ułatwienie rozmów francuskiego ministra spraw zagranicznych w Moskwie — przygotowanie mu odpowiedniej atmosfery. O planach sojuszu z Rosją mówi się w Paryżu nie od dziś i pogłoski na ten temat obiegały Paryż w czasie wizyty sowieckiego ministra Gromyki we Francji. Ale Kreml różne inwity Paryża przyjmował dość chłodno i raz nawet spokojnemu i opanowanemu zwykle ministrowi Couve de Murville wymknęło się w Zgromadzeniu Narodowym zdanie, że „my szukamy z nimi (Sowietami) zblżenia, ale oni wolą rozmawiać z Amerykanami.“ Zresztą tę atmosferę niedowierzania Francuzom doskonale oddał znany dziennikarz szwajcarski, który świeżo wrócił z Moskwy, René Dabernat. Jego artykuł, ogłoszony w „Journal de Genève“, dość szczegółowo omówiło kilka dzienników paryskich m. i. prorządowy „Paris-Presse“, ten ostatni pod wielkim tytułem „Rosjanie są zmęczeni oczekiwaniem na de Gaulla, mają już politykę zamiany“. René Dabernat pisze: „Kreml pojmuję zblżenie francusko-sowieckie jako dzwignię przeznaczoną do odłączenia Europy od Ameryki... Szczytem nadziei sowieckich była konferencja prasowa gen. de Gaulla z 4 lutego... Od tego czasu amb. Zorin spędza swój czas w oczekiwaniu by po słowach nastąpiły czyny...“ Pisze on dalej: „Moskwa posiada dwie możliwe polityki i wydaje się, że prowadzi je równocześnie. Pierwsza opiera się na de Gaullu w miarę jak on rozszadza sojusz atlantycki i przemienia Wspólny Rynek w zwykły międzynarodowy układ ekonomiczny. Ona zakłada, że to doprowadzi do rozdrobienia świata zachodniego, Ameryka przestanie się interesować Starym Kontynentem i ten odwróci się do

Rosji... Druga polityka opiera się na idei, że kraje europejskie nie pójdą za de Gaullem, na nieufności do jego istotnych zamiarów (bo czyż nie chce on odłączyć satelitów od wpływów sowieckich?) i na przekonaniu, że pokój — tak w Europie jak i gdzieindziej — zależy przede wszystkim od Ameryki i od Rosji. Na razie de Gaulle zachęca pierwszą politykę swymi słowami, a drugą brakiem czynów. Myli się, jeżeli wierzy że może prowadzić negocjacje z Kremlm jako rzeczywisty wielki. Widzimy z Moskwy jest tylko kartą w rosyjskiej dyplomacji.“ René Dabernat konkluduje, że de Gaulle nie może pójść tak daleko, jak Kreml tego chce i w rezultacie nie należy w nadchodzących miesiącach wykluczyć oziębienia stosunków francusko sowieckich. Z tego by wynikało, że Couve de Murville nie mógł wiele w czasie swej wizyty wskórać. Skąd więc ten „tam-tam“ wokół tej podróży i jaki jest istotny cel „niedyskrecji prezydenta Francji? Bo on chyba posiada najlepszy obraz francuskich możliwości w tej grze dyplomatycznej z Kremlm. Przytoczę tu dwie opinie, moim zdaniem dotykające istoty problemu. Tygodnik „Express“: „Wszystko tak się dzieje, jak by ta podróż (ministra spr. zagr.) do Moskwy miała stanowić w stosunku do pięciu partnerów Francji (we Wspólnym Rynku) instrument presji, który powinien doprowadzić, choć późno, do przyjęcia przez nich punktu widzenia francuskiego“. A wielki dziennik „Figaro“ pisze: „Sojusz ze Związkiem Sowieckim? To stare marzenie gaullistowskiej dyplomacji, ale z zastrzeżeniem, że należy go uważać o wiele mniej za cel istotny, a raczej za narzędzie oniśmienia, przeznaczony do doprowadzenia do lepszego zrozumienia przez naszych, aliantów europejskich i amerykańskiego, życzeń Francji.“ Chociaż te dwa pisma są od siebie bardzo oddalone pod względem poglądów politycznych, tu ich opinie się zbiegają.

Wynika z tego, że de Gaulle gra. Potwierdza to oficjalny organ francuskiej partii komunistycznej „L'Humanité“: „Posunięcia wczorajsze i dzisiejsze są tak jaskrawo że sobą sprzeczne, że nic by z tego nie można zrozumieć, gdyby się zapomniało czym jest gaullistowski rząd. Jako instrument monopoli stara się

on służyć przede wszystkim ich interesom. Toteż by uszeregować pod swym kierownictwem „małą Europę“, nie wahał się pochlebiać najgorszym ambicjom militarystów i szowinistów Niemiec Zachodnich. Teraz zgrywa inną kartę...“ Ta inna karta, to podróż Couva do Moskwy.

Dalszy logiczny wniosek nasuwa się sam — istotnym celem de Gaulle jest Europa Zachodnia, a zwłaszcza Wspólny Rynek, gdzie Francja chce przewodzić. Ponieważ to jej nie wychodzi — stąd gra na Moskwę.

Jest i drugi aspekt tej gry — zbliżające się wybory. Obojętne co mówią mu stątyści i specjaliści ministerstwa spraw wewnętrznych, de Gaulle jest o ich wynik niespokojny. W tych pierwszych wyborach prezydenta w powszechnym głosowaniu musi on mieć zdecydowaną, trium-

falną większość, inaczej jego autorytet może ucierpieć. Celem de Gaulle jest wykazanie Europie i światu, że naród jest za nim.

Komu de Gaulle może „odbić“ poważną ilość głosów? Tylko komunistom — to wielki rezerwuar wyborców. Już specjaliści twierdzą, że to polityka zbliżenia do Sowietów i ich bloku spowoduje, że milion wyborców komunistycznych odda swe głosy na niego, a nie na kandydata lewicy — François Mitteranda. Podróż ministra spraw zagr. do Moskwy, bardzo serdeczne podejmowanie go i pozorne wyniki tej wizyty niewątpliwie wprowadzą jeszcze większe zamieszanie w skrajnej lewicy — bo Moskwa wyraźnie w tych wyborach postanowiła pomóc de Gaullovi, a nie kandydatowi zatwierdzonemu przez kompartię francuską. Skąd ten paradoks? Bardzo proste — wszyscy pozostali kandydaci, z Mitterandem włącznie, są za zjednoczoną i nawet sfederowaną Europą, i za utrzymaniem sojuszu atlantyckiego. Kierownicy Kremla dokładnie zdają sobie sprawę z gaullistowskiej gry, ale dla nich wygodniejszym jest zachowanie „statusu quo“ w Pałacu Elizejskim, niż zmiana.

Oś Paryż — Moskwie jest bardzo wątpa i jeżeli jakieś inne okoliczności nie wepchną Francji w objęcia Kremla, to z mąki, jaką teraz Couve de Murville przywiózł z Moskwy, Paryż wiele chleba nie wypieczę. W przyszłym roku, gdy dawno będzie po wyborach, gdy kryzys Wspólnego Rynku załata się, warto będzie do tego tematu powrócić.

Marian Czarnecki

„NASZE ŻYCIE W LANCASHIRE“

Ukazał się nowy numer wydawnictwa
poświęconego życiu Polaków
w Lancashire.

Bogata treść orientuje o przejawach
życia społecznego, kulturalnego
i gospodarczego.

40 stron w ozdobnej okładce.
Cena 2/6

Do nabycia w księgarniach polskich
i u wydawcy:

TADEUSZ PODGÓRSKI,
19 Park View Road,
BRADFORD 9.

— POPIERAJ FIRMY POLSKIE —

LWÓW
1782
WIEDEŃ

J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
ST. BERNHARD
Likier ziołowy



KRUPNIK KONTUSZÓWKA WIŚNIAK
STARKA JARZĘBIAK WIŚNIOŹKA

J. A. BRUCE & CO.
9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.
Tel. FRE 5808
(Kolo stacji kolejki podz. Gloucester Road)

WEWNĄTRZ I MIĘDZY DWOMA

W OCENIE podziału świata na dwa główne obozy, wolny i komunistyczny, istnieją od kilku lat w zachodniej publicystyce dwie główne szkoły.

Jedna z nich wyznaje doktrynę postępującej demokracji komunistycznego systemu i równoczesnej, stopniowej istotnej dezintegracji sowieckiego bloku, zwłaszcza na linii Moskwa—Pekin. Temu procesowi, po stronie zachodniej odpowiadać ma tendencja do rozkładania się również obozu zachodniego, co w rezultacie prowadzi do zaniku powojennej linii podziału na wspomniane wyżej dwa obozy światowe. Skrajni przedstawiciele tej doktryny, jak np. czołowy sowietolog amerykański b. ambasador G. Kennan kilkakrotnie próbował nawet głosić, że obozu komunistycznego już nie ma, że pojęcie to nie ma już odpowiednika w rzeczywistości politycznej i powinno wyjść z obiegu.

Zwolennicy tej szkoły to zarazem reguły zwolennicy tzw. pokojowej koegzystencji z Rosją, mającą — według nich — w szczególności podlegać pożądanej ewolucji w kierunku demokratycznym, podnoszącej swoją zamożność i przechodzącej w ten sposób do kategorii narodów-posiadaczy, a wyzbywającej się komunistycznej rewolucyjności. Tę rewolucyjność natomiast zachowują jednak, po myśli tej samej doktryny, komuniści chińscy wraz z kilkoma partiami azjatyckimi, którzy tworzą też jakoby w dzisiejszym komunizmie odłam w dalszym ciągu agresywny i dla Zachodu niebezpieczny, w przeciwieństwie do odłamu sowieckiego.

Przeciwieństwo to stanowić ma główny czynnik rozkładu komunizmu, z naciskiem podkreślanego przez sowietologów tej szkoły, rozkładu który będzie według nich samorzutnie postępował, jeśli mocarstwa zachodnie poprowadzą dalej odpowiednią taktykę: jeśli popierać będą „lepszą” Rosję Sowiecką przeciw gorszym, komunistycznym Chinom i wstrzymać się będą od wszelkich nacisków na Sowiety, jako mogących zahamować samorzutny proces dezintegracyjny ich bloku oraz ich ustroju komunistycznego.

DRUGA SZKOŁA

Druga szkoła oceny sowieckiej i w ogóle komunistycznej sceny, szkoła — do której, jak czytelnicy „Orła” wiedzą, ja się zaliczam — uznaje, że ewolucją komunizmu dotyczy spraw drugorzędnych i nie naruszających jego istoty ani niebezpieczeństwa, grożącego z jego strony narodom chrześcijańskim i światu zachodnich wolności. W związku z powyższym, ta druga szkoła nie dopatruje się zmniejszenia niebezpieczeństw, wyptywających z imperializmu Moskwy, której agresywność nie jest też

pochodną jedynie komunizmu, lecz wywodzi się z dawniejszych, historycznych źródeł. Rosja, wbrew wszelkim uspokajającym teozom sowietologii, pozostaje więc — jako najsilniejsza i czołowa potęga bloku komunistycznego — w dalszym ciągu głównym zagrożeniem wolnego świata.

Taka ocena charakteru, także dzisiejszego, komunizmu prowadzi też do bardziej sceptycznej oceny zjawisk rozkładu jego, zarówno w zakresie ideologii, jak i stosunków między poszczególnymi czerwonymi reżymami. Spory wewnętrzne, jak przede wszystkim między Moskwą a Pekinem, nie oznaczają z tego punktu widzenia rozkładu i końca komunizmu, pozwalającego Zachodowi na moralne i materialne rozbrojenie. Komunizm od początku swego istnienia miał zawsze do czynienia z rozmaitymi frakcjami, które jednakże nie podcięły, niestety, samorzutnie jego niszczyielskiego dla narodów rozwoju.

Także konflikty między komunistycznymi państwami, kiedy traktowane w duchu — streszczonego wyżej optymizmu i pobłażania — pierwszej z charakteryzowanych tu szkół, nie kończyły się upragnionym przez zachodnie mocarstwa rozkładem, ale przeciwnie ulegały naprawie. Klasycznym przykładem była tytułowa Jugosławia. Po wybuchu konfliktu z Moskwą, popierana politycznie i wspomagana gospodarczo przez Stany Zj., kokietowaną przez sowietologię amerykańską, jako rzekomy fundament rozkładu komunizmu, jest dziś z powrotem w ramach bloku komunistycznych państw i komunistycznej ideologii.

Odpowiednikami poglądów na wewnętrznej sytuacji w komunizmie są tendencje, zaznaczające się w obozie państw świata wolnego. Poglądowi, że komunizm się rozkłada albo demokratyzuje, towarzyszy zwykle taktyka śmielszego wysuwania wewnętrznych sporów między partnerami zachodniego przymierza, a sceptycyzmowi w zakresie oceny rzekomej ewolucji komunizmu — większa ostrożność w tej dziedzinie.

SPÓR MOSKWA—PEKIN PRZED NOWĄ FAZĄ?

Przypomnienie charakteryzowanych wyżej, ważnych ram międzynarodowej polityki dzisiejszego, powojennego świata wydaje się o tyle potrzebne, że ostatnio nabierają one świeżej aktualności. W sporze Moskwy z Pekinem, po

rocznym wpięciu odprężeniu i następnie jakby zawieszeniu broni ze strony sowieckiej i bardziej umiarkowanych, niż za Chruszczowa, polemikach z komunistami sowieckimi ze strony chińskich, dochodzić ma podobno do nowego kryzysu. Piszę o tych wiadomościach z zastrzeżeniami, ponieważ nie ma chyba innej dziedziny stosunków międzynarodowych, tak podlegających dezinformacji, jak konflikt moskiewsko-pekiński.

Niemniej, ostatnio zaszły pewne fakty, mogące wskazywać, że Moskwa przestanie ignorować pekińskie na siebie ataki i przystąpiła do kontrakcji. Przywódcy sowieccy mogli uznać, widząc po jesiennym Komitecie centralnym na Kremlu, że odziedziczony po Chruszczowie rozgardiasz na tyle już uporządkowali, by wrócić do rozgrywki z partią chińską. Pogłoski na ten temat, dotyczące zwłaszcza rozmów Breżniewa w Pradze z okazji rocznicowego zjazdu komunistycznego, na którym pod koniec października mieli się zjechać przedstawiciele trzydziestu pięciu partii, mają cechy prawdopodobieństwa.

Pogłoski te mówią o planach wskrzeszenia centrali komunizmu światowego w rodzaju dawnego Kominternu i zarazem o przygotowywanej jakoby rozgrywce z komunistami chińskimi w imię jedności ruchu. Sprawa ma być posunięta dalej w Moskwie przy sposobności spotkania delegacji na rocznicę „wielkiej rewolucji” bolszewickiej i rozstrzygana na światowym zjeździe partyjnym na wiosnę przyszłego roku, kiedy na 29 marca 1966 zwołany już został 23-ci kongres partii sowieckiej. Na przygotowującą się kontrofensywę sowiecką wobec Pekinu, wskazują też sformułowanie moskiewskich haseł na tegoroczną rocznicę październikową. W odniesieniu do komunistów chińskich jest ono wyraźnie chłodniejsze, niż normalnie.

NIE TRZEBA PRZECENIAĆ

Byłoby jednak błędem, jak sądzę, znówu przeceniać moskiewsko-pekińskie rozbieżności i budować na nich nadzieję rozpadnięcia się komunistycznego bloku. Po pierwsze, różnice te są wciąż utrzymywane w granicach płaszczyny partyjnej, a stosunki między reżymami państwowymi oparte są dalej na traktacie wzajemnej pomocy z 14 lutego 1950 i nie ma mowy o jego naruszeniu. Po wtóre, kontrowersje ideologiczne i partyjne, ani nie muszą oznaczać rozłamu i to ostatecznego — przy-

OBOZAMI ŚWIATOWYMI

pominam doświadczenie z titowską Jugosławią — ani tym bardziej osłabienia zewnętrznej, agresywnej ekspansji komunizmu. Spory Moskwy z Pekinem nie przeszkodziły tej pierwszej np. w zawarciu odpowiednich porozumień z Hanoi, ani też w udzielaniu tamtejszym komunistom pomocy przeciw Amerykanom, ani nie powstrzymały jej w protekcji nad komunistami choćby Indonezji, których wywrotową akcję przypisuje się na ogół w prasie zachodniej Pekinowi.

Wiadomość, że Breżniew wygłosił ostatnio w Kijowie ostrą filipikę w obronie komunistów Indonezji i zapowiedział udzielenie im pomocy, została zaledwie wspomniana na łamach dzienników zachodnich. Niemniej, tuż po tym, zaczęły się ukazywać informacje, że rewolta komunistyczna w kraju Sukarny zaczyna przybierać na sile i całe obszary Jawy są pod władaniem czerwonych. Toteż, optymistyczne poglądy zwolenników „koegzystowania“ z Sowietami, jako „lepszymi“, „zdemokratyzowanymi“ i „pokojowymi“ winny być pilnie zestawiane z rzeczywistością i rozwiewane, jako i miłe opinii zachodnich krajów — lecz niebezpieczne złudzenia.

FRANCJA—MOSKWA, A WASZYNGTON

Jeśli chodzi o stronę zachodnią, najwięcej rozgłosu nadaje się rzekomej tendencji do rozluźniania lub nawet rozbijania jedności świata wolnego ze strony francuskiej polityki de Gaulle'a. Jest faktem, że Francja pod jego rządami zażądała rewizji Traktatu Północno-Atlantyckiego (NATO) i jest o to w sporze ze Stanami Zjednoczonymi, podobnie jak w zakresie polityki nuklearnej, czy pld.-wschodnio-azjatyckiej, zwłaszcza wietnamskiej. Prawda dalej, że Couve de Murville, francuski minister spraw zagranicznych był ostatnio z wizytą w Moskwie, co wszystko spotkało się z krytyką ze strony prasy amerykańskiej i sugestiami, że Francją w ten sposób wkracza na drogę rozbijania Zachodu.

Sugestie te nie wydają się słuszne i jakkolwiek tego rodzaju wyścig do rozmów z Kremlem ze strony rządów zachodnich musimy obserwować z niesmakiem i zaniepokojeniem, to wyolbrzymianie ich znaczenia, gdy prowadzi je Francja lub potępianie za to specjalnie jej rządu, nie byłoby uzasadnione. Przede wszystkim, zbliżenie fran-

więcej niż taktyką, która nie pozostaje w sprzeczności z istotą przymierzy zachodnich, a dalej — Stany Zjednoczone przecież same dały najgorszy przykład w tym kierunku. Przecież to nie Paryż, ale Waszyngton przodował przez lata polityce koegzystencji z Sowietami, zainaugurowanej w Jalcie przez Roosevelta i nigdy wyraźnie niezarzuconej. Przecież to Prezydent Stanów Zjednoczonych a nie Francji zainstalował specjalny drut bezpośredniego połączenia Biały Dom—Kreml, mający symbolizować światową hegemonię dwu supermocarstw nuklearnych, dążących do utrzymania pokoju światowego przez równowagę sił między sobą.

Ta idea „pokojoyej koegzystencji“ z Sowietami i europejskiego *status quo*, pozostawiająca Polskę w ramach sowieckiego imperium, to główny przedmiot naszego zainteresowania i troski. Otóż, zbliżenie francusko-sowieckie musieliśmy oceniać ujemnie, gdyby w rezultacie miało ono tę koegzystencję wzmocnić. Jeśli jednak okaże się ono tylko drogą do reorganizacji zachodniego przymierza, w którym Francja będzie miała większy głos i jeśli podkopie amerykańsko-sowiecką hegemonię światową, spychającą sprawy europejskie na plan drugi, to taktyka de Gaulle'a będzie mogła się poszczycić dodatnimi następstwami.

WYBORY W N.R.F. I FRANCJI, WSPÓLNY RYNEK

W ogólnych ramach polityki światowej, jako najważniejszej, ostatnie tygodnie zaznaczyły się szeregiem faktów natury wewnętrznej poszczególnych państw, albo regionów kuli ziemskiej. Niemiecka Republika Federalna przeżyła wybory, które — wbrew niektórym spodziewaniom — nie przyniosły sukcesu socjalistycznej opozycji, przewozonej przez burmistrza zachodniego Berlina, Brandta, ani też rywalom w ramach rządzącej partii chrześcijańskodemokratycznej kanclerza Erharda.

Wyborcy niemieccy wykazali, że cenią

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

najbardziej tego właśnie reprezentanta długoletniego dobrobytu powojennego, grubasa z cygarem, dawniej ministra skarbu Adenauera, ojca niemieckiego „cudu gospodarczego“. Zwycięstwo Ercusko-sowieckie nie wydaje się czymś harda oznacza ochłodzenie stosunków Bonn z Paryżem, czym nie mamy powodu się martwić, a natomiast podtrzymanie protekcji amerykańskiej nad Niemcami, jako głównym europejskim pupilem Stanów Zjednoczonych, co zawiera w sobie elementy niepokojące.

Spór między Francją a pięcioma innymi członkami Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej nie jest zażegnany. Starania w tym kierunku są jednak czynione i z ramienia Brukseli głównym ich promotorem jest belgijski minister spraw zagranicznych Spaak, który patrzy optymistycznie na ich wynik. Konkretnych rezultatów można jednak się spodziewać dopiero po prezydenckich wyborach we Francji, rozpisanych na 5 grudnia. Zgodnie z wrześnieją zapowiedzią, de Gaulle powiadomił w telewizyjnym przemówieniu z dnia 4 listopada, o swojej decyzji i oświadczył, że będzie kandydował, co — według powszechnej opinii — przesądza rezultat tych wyborów. Następnie, zapewne w ciągu grudnia dojdzie do wyjaśnienia sytuacji w łonie Wspólnego Rynku i do jakiegoś pomyślnego kompromisu. Wydaje się, że Francja pod dalszym rządem de Gaulle'a będzie miała dość w rękę atutów, aby obronić swojej tezy, że budowa ponadpaństwowej struktury zach.-europejskiej jest przedwczesna i że EGW powinna być dalej współdziałaniem suwerennych państw, a nie ich federacją czyli nowym super-państwem na wzór Stanów Zjednoczonych.

FARYZEJSKIE OBURZENIE

Głównym kłopotem W. Brytanii, a za nią Organizacji Narodów Zjednoczonych jest sprawa Rodezji. Londyn ani Nowy Jork nie mogą znieść i nie posiadają się z oburzenia, że afrykański ten kraj miałby uzyskać niepodległość na zasadzie konstytucji, która nie zapewni tam rządów większości. Trudno nam, Polakom, nie zdać sobie przy tym sprawy, że nikogo w tymże Londynie czy w tychże Narodach Zjednoczonych nie martwi ani nikomu nie niepokoi „demokratycznego“ sumienia, że nasz czy inne narody, oddane imperium sowieckiemu, poddane są rządowi mniejszościowemu komunistycznego monopolu. Monopolu, opartego na obcej sile i rozporządzającego wprawdzie głosami-większości niemal stuprocentowej, ale osiąganymi metodami tegoż totalizmu, który się zarazem z przykrą obłudą oficjalnie potępia.

Zdzisław Stahl

PODWÓJNA KLĘSKA „TADEUSZA MATEJI“

Są wśród nas chwalczy sowieckich podbojów i dzisiejszej polskiej rzeczywistości. Ostatnio dołączył do nich Leszek Kirkien, który od razu zabłysnął jako zagorzały przeciwnik „kolonizacyjnej“ dawnej Rzeczypospolitej. W czasie swego pobytu w Polsce „ludowej“ z nieukrywaną radością stwierdził naocznie, że „w procesie dekolonizacji Polacy lwowscy trafili na Dolny Śląsk“.

Wszystkich tych chwalców „nowej rzeczywistości“ i „radosnych procesów dekolonizacyjnych“ znamy dobrze i wiemy doskonale, na co ich stać. Nie potrzebują więc dłużej się rozwodzić nad skromnym zasięgiem ich minimalnych możliwości. Zresztą uczynili to już inni, bardziej ode mnie kompetentni.

Ale tak się złożyło, że nikt dotychczas nie poświęcił większej uwagi reżimowej robotce niejakiego „Tadeusza Mateji“. Nikt go nigdy nie widział, nikt go nigdzie nie spotkał, choć on ciągle „odbywa podróże“. Istotnie, jak czytam w reżimowej prasie na Zachodzie, która starannie podszywa się pod „prasę polonijną“ — „Mateja“ raz jest w Sztokholmie, to znów w Paryżu, by stąd dać nurka do Wiednia i wypłynąć... w Londynie.

„Tadeusz Mateja“ nie tylko podróżuje, pływa i nurkuje. On także „pisze“. I zapładnia umysły znanych chwalców bolszewizmu i reżimu. Jego broszura pt. „Dzieje grzechu Stanisława Mikołajczyka“ natchnęła niejednego „polonijnego“ wydawcę, niejednego „polonijnego“ dziennikarza. A „Podwójne życie Jerzego Giedroycia“ wciąż jest omawiane na łamach „polonijnej“ prasy. Omawiane z takim zachwytem, że spowodowało nawet jeden jedyny list do „autora“ tego wyjątkowo obrzydliwego paszkwilu. Nie jest to, co prawda, wiele, ale mimo to, a może właśnie dlatego warto ten list przytoczyć, tym bardziej, że autor listu jest powszechnie znany na emigracyjnym bruku londyńskim. Jest nim p. Michał Pawlikowski z Medyki.

Przed paru laty, p. Michał Pawlikowski oświadczył, że wycofuje się z czynnej polityki. Po tym oświadczeniu — rozpoczął podróże do dzisiejszej Polski w zbożnym celu ratowania Biblioteki Pawlikowskich, której strzępy zostały przewiezione ze Lwowa do Wrocławia.

Otóż ten właśnie p. Michał Pawlikowski, zachwycony broszurą „Mateji“ o

Giedroyciu, pisze do „autora“ paszkwilu list następujący:

Do
P. Tadeusza Mateji
p. g. Redakcji „Naszego Znak“

Szanowny Panie!

Zainteresowała mnie Pańska rzecz o Giedroyciu, ponieważ w roku 1945 (czy 1946, o ile pamiętam) delegowany byłem przez ówczesnego ministra prof. Folkierskiego do składu komitetu „Instytutu Literackiego“, organizowanego przez p. Giedroycia przy 2 Korpusie w Rzymie. Po dziesięciu dniach jednak, przypatrzysz się temu bliżej, wyczułem, że do tej imprezy zaufania mieć nie mogę. Nie mogę brać za coś odpowiedzialności do czego nie mam żadnego istotnego wglądu, ani — z drugiej strony — żadnego wpływu na ideowy kierunek wydawnictw z góry zaplanowanych przez Giedroycia. Mimo więc bardzo uprzejmych zabiegów usiłujących z jego strony pokryć marionetkową rolę, jaką miałbym tam spełniać, zrezygnowałem z udziału w rzeczonej imprezie, o czym pisemnie, z wyluszczeniem powodów, zawiadomiłem gen. Andersa. Tego mi potem „Kultura“ nie zapomniała, wypisując przeciw mnie napaści tak nieprzyzwoitym tonem, iż szereg dzienników amerykańskich wyraziło z tego powodu dosadne oburzenie. Rad jestem, żem się wówczas dość wcześnie zorientował w sprawie. To mi dziś potwierdza Pańska rewelacja.

Łączę wyrazy poważania —

Michał Pawlikowski (Londyn)

Tak więc od razu weszliśmy w sedno sprawy. Michał Pawlikowski i „Tadeusz Mateja“ razem poszli do ataku, wspólnymi siłami dążą do podważenia zaufania do paryskiej „Kultury“, do „skompromitowania“ jej redaktora. Klasyczny przykład tego niebezpieczeństwa, przed którym przestrzegam od lat: współdziałania w pewnych wypadkach emigracyjnej ignorancji z tajną siecią reżimowych agentów.

Ba przecież osobiście nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że p. Pawlikowski pisząc list do „Mateji“, podkreślając, że nie miał zaufania do „imprezy“ Giedroycia znacznie wcześniej, że „rewelacja“ tego właśnie „Mateji“ tylko „potwierdziła“ słuszność je-

go wcześniejszego braku zaufania — wcale się nie zorientował, że padł ofiarą komunistycznej prowokacji. I nie wiedział, co robi. Ale „Mateja“ wiedział dobrze, jakie jest zadanie paszkwilu poświęconego Giedroyciowi. „Mateja“ bowiem — to tajna sieć osławionego MSW 5, o którym przy różnych okazjach pisałem obszernie.

Można różnie oceniać paryską „Kulturę“. Różni emigranci polityczni, których „walka“ z reżimem sprowadza się najczęściej do biernego udziału na patriotycznych akademiach i obchodach rocznicowych — ukuli „patriotyczny“ slogan: „Kultura“ ma duży poziom, ale brak jej pionu. Istotnie, polityczne zygarki tego pisma na przestrzeni lat mogły denerwować wielu. Sam nieraz przeciw nim występowałem ostro i namiętnie. Dziś widzę, że nie miałem racji.

Jeśli bowiem naczelnym zadaniem polskiego obozu niepodległościowego i jego pism jest walka z reżimem — to trzeba przyznać, że w wykonaniu tego zadania paryska „Kultura“ zajmuje czołowe miejsce. Od dawna bowiem zrozumiała, że tylko emigracyjna ofensywa, oparta naturalnie na gruntownej znajomości komunistycznego aparatu w Kraju i emigracji — może dać pożądane wyniki, wybitnie się przyczynić do obalenia w Polsce dyktatury kompartii. Toteż od lat, nie szczędząc krytyk pod adresem emigracyjnego pompastycznego bezhołwia i emigracyjnej, czasem przerażającej ignorancji — prowadzi w kierunku Wisły ofensywę. Ofensywę nadspodziewanie skuteczną. Szuka bowiem swych sprzymierzeńców tam, gdzie ich jest najwięcej.

Powszechnie znaną jest rzeczą, że komunizm w Polsce ma tylko samych wrogów. Rządząca klika nie złała oporu Kościoła, nie zdołała pozyskać ani chłopów, ani robotników, ani inteligencji. Owszem, pozyskała pewien odsetek tej ostatniej, ale odsetek naprawdę znikomy. Lecz nawet ci spośród inteligencji, którzy dzisiaj służą reżimowi — w każdej chwili gotowi są go zdradzić. Krótko mówiąc, starzejąca się klika u złobu czuje się wciąż zagrożona, w Kraju nie ma żadnego oparcia. I wie, że mogą nadejść czasy, gdy pomoc Moskwy będzie niemożliwa.

Otóż paryska „Kultura“ za swe główne zadanie uznała, podtrzymywanie i budzenie ducha oporu w Kraju, związczą — a może przede wszystkim —

(Dokończenie na stronie 48)

„DZIWNNE ZJAWISKA KULTURALNE...”

Dziwne, naprawdę dziwne artykuły pojawiają się ostatnio w krajowej prasie literackiej. Wydawało się, że po zlikwidowaniu Nowej Kultury i Przeglądu Literackiego, rola przewodzącego pisma literackiego przypadła Życiu Literackiemu, bo przecież nowa Kultura Wilhelmięgo do dnia dzisiejszego nie była w stanie zastąpić zlikwidowanych tygodników.

Tak by się wydawało, gdyby obydwie periodyki nie były prawie w tym samym czasie przyniosły artykułów, nadających się jako „thrillery” do Ekspresu Wieczornego. A że tygodniki te, rzadko są dostępne szerszym kołom polskiego społeczeństwa emigracyjnego przeto postanowiliśmy przedstawić je tutaj w skrócie, by nasi czytelnicy sami mogli ocenić ich wartość literacką.

Braki, ceny, dyskryminacja ludzi w kraju, a uprzywilejowanie obcokrajowców

Widocznie szewska pasja porwała Zbigniewa Kwiatkowskiego, który w dniu 29 sierpnia br. ogłosił artykuł, wprawdzie mocno pogmatwany, niemniej jednak trafny co do treści. Tytuł artykułu: „Gdzież ten bezgrzeszny luksus?”

Z artykułu dowiadujemy się, że np. za filiżankę kawy z kawałkiem sernika płaci zagraniczny turysta 30 złotych, czyli dwa razy tyle, ile w Atenach lub Lizbonie. Dowiadujemy się również, że na krótkim odcinku, między dworcem Śródmieście, a pałacem im. Józefa Stalina, można zostać gruntownie zwymyślanym, oplutym, pobitym i skopanym.

Autor jednak szybko przeskoczył do innych problemów, trapiących warszawiaków. Obecnie tzw. pralnie „białe” zaspokajają tylko 6 procent potrzeb, ale w 1970 roku mają już zaspokoić aż 15 do 20 procent. Pralnie „białe” stały się w Warszawie luksusem, podobnie jak są luksusem wycieczki organizowane przez „Orbis”, gdzie pod rygorem przedłożenia pół tuzina dokumentów nie można myśleć o wyjeździe. A niezależnie od tego, w umowie spisanej „Orbis” gwarantuje sobie wszystkie prawa, zaś klientowi nie zapewnia się prawie żadnych

Autorowi stanęły łzy w oczach, gdy pomyślał o czasach sprzed pierwszej i drugiej wojny światowej. Mamy w PRL. tzw. sklepy komisowe, w których jednak dobre rzeczy można nabyć tylko za drogie pieniądze. A któż może tam

coś nabyć i za jakie pieniądze? Są one dostępne tylko dla posiadaczy dolarów i to nie tylko dla tych, którzy je otrzymują od swych krewnych z zagranicy, ale i posiadaczy kuponów dolarowych. A przecież nie jest tajemnicą, że dolary można nabyć bez trudności, jeśli się ma sporo pieniędzy. A już skandalem jest sprzedaż lekarstw zagranicznych tylko za dolary. Bez dolarów zmuszony jesteś nosić garnitur jednego tylko ogólnokrajowego kroju, zaś w restauracjach spożywać centralnie zaplanowane potrawy, (z zasady brzoły z pieczarkami), podane na centralnie zaplanowanych miskach i o centralnie zaplanowanych godzinach.

Autor, podobnie jak inni, widocznie obawiał się przytoczyć jako przykładu jedno z państw zachodnich. Chwali więc Niemcy wschodnie, gdzie i dania są lepsze i obsługa turystów sprawniejsza. Prawdopodobnie dostawa polskiego mięsa na to pozwala, ale i o tym autor nie wspomina. Przypomina tylko jeszcze, że para trzewików, które „nie sprawiają przyjemności” kosztuje 200 lub 300 złotych, zaś takich, które „sprawiają przyjemność”, 700 złotych, a pantofelki damskie nawet i 1.000 zł.

Wyznanie kelnera

Kultura z 5 września przyniosła, na odmianę inny „thriller”, zatytułowany „Byłem sezonowym kelnerem”, wyznaniem młodego człowieka, który poszukując pracy, otrzymał zajęcie jako kelner sezonowy w miejscowości, wypełnionej latem przez wczasowiczów. Opisuje on, jak to za 16 godzin pracy dziennej przyznano mu 1.500 złotych miesięcznie. Z tej kwoty musiał płacić dziennie 20 złotych za pranie koszuli i kitla, raz na 5 dni 20 do 30 zł. za stłuczone butelki, a raz na miesiąc 300 złotych za stłuczone i brakujące naczynia. Pozostało mu ostatecznie tylko 500 złotych.

Jak więc w takiej sytuacji mógł egzystować? Ano odpowiada „kantuje i kradnę”, a jak to robi, opowiada:

„Oszukuję wpięrow na zakąskach i na daniach gorących. Nikt się na tym nie połapie, gdy zamiast kureczaka podam kurę. Proście o łososa, dam wam halibuta, proście o szczupaka, mówię że nie ma, jest tylko sandacz. Zjecie sandacza, a ja wam policzę za szczupaka. Poza tym oszukuję gości na przystawkach.”

A już najlepszy sposób, to oszukiwanie na wódce. „Mam wprawdzie obowiązek otwierania butelki przy stoliku.

Jeśli jednak tego wyraźnie nie zażądacie, to zapięcie zawsze za pełną butelkę, chociaż bufetowa odlała już z góry 50 gramów dla siebie, co jej daje 600 złotych extra zarobku dziennie. Ja zaś mieszam cytrynowkę z czystą, dając wódkę tańszą, a zaliczam droższą. Nie rozróżnicie winiaku zwykłego od eksportowego. A właśnie trunki stanowią gros mego dodatkowego zarobku.”

„Innym źródłem są tzw. bony konsumpcyjne, służące głównie w czasie dancingów jako forma zapłaty. Zaprzeczam, że je już otrzymałem albo twierdzą, że otrzymałem za mało. Z zasady dopisuję kilka złotych do rachunku, gdy gość protestuje, to proszę by przeliczył. Jeśli umie przeliczyć i mnie przyłapie, to przepraszam, jeśli nie potrafi się doliczyć, to mnie przepraszają i jeszcze mi daje extra napiwek. A na samym tylko chlebie zarabiam dziennie jeszcze 30 złotych.”

„A na drugim końcu „kantują” szef kuchni i dwaj kierownicy: administracyjny i finansowy. Co kilka dni robią tzw. „wewnętrzny remanent” i okazuje się, że zaoszczędzili 10 procent na mięsie i na innych produktach. Na tym zarabiają 20.000 miesięcznie. Ja zaś z moich extra 10.000 muszę opłacać i „blokierkę”, która liczy i wypuszcza dania z kuchni, co mi pomaga zadowolić gości; muszę też opłacać portiera, który do moich stolików przysyła mi „odpowiedzialnych” klientów:

„Praca nasza jest nerwowa, bo przesładują nas „Pichowcy” tj. urzędnicy państwowej inspekcji handlu. Ale najczęściej zamawiają i zjedzą obiad, ja wystawiam rachunek, który oni odsyłają kierownikowi, ten zaś go niszczy. Musimy i te pozycje odrobić na gościach. A poza „pichowcami” musimy jeszcze utrzymać całe tabuny „Arabów”, różnych dyrektorów zjednoczenia, którzy wpadają do nas zwykle w towarzystwie swych przyjaciół. Te kontrole nazywają „degustacją”. Czasem towarzyszy im też jakiś dziennikarz, który w zamian za rachunek napisze o nas jakąś pochlebną notatkę.

„Kelner musi być psychologiem, musi umieć rozróżnić między gośćmi tzw. „jeleni” tj. jednodniowych milionerów, którzy się rozpierają i szastają pieniędzmi. Udają bogaczy, czasem klócą się o 5 złotych, a ja im zabiorę 100 złotych. W tym czasie sprzątaczką zaczyna zbierać szybko zlewki i niewypróżnione butelki, które sprzedaje bufetowej za pół ceny i powstają znowu butelki pełne.”

Takie oto w skrócie są wyznania kelnera wczasowego. Wyjaśniają mechanizm i strategię kantów, uprawianych przez całą spółkę wyzyskiwaczy. Wyrzucenia ciekawe.

Luksusowe inwestycje — Sklep z fajkami

Pisze o tym Michał Radgowski w *Polityce* z 18 września br. Przypomina, że dwa lata temu, otwarto przy ul. Kruczej, obok Grand Hotelu, reprezentacyjny sklep z fajkami. Wnętrze superluksusowe, ze ścian zwisają powiększone fotografie wspaniałych fajek. Jest to jak warszawiacy orzekli, jedyny w tym rodzaju sklep, nie tylko w Europie, ale w całym świecie.

W sklepie ruch. Klienci nastraszeni przez lekarzy o niebezpieczeństwie raka płuc, przychodzą by zakupić fajkę. Ale sklep choć ma fajki na wystawie, fajek nie sprzedaje. Nie można tam również nabyć niezbędnego dla palacza fajki, tytoniu, ani wyciorów i innego ekwipunku, jako niezbędnych akcesoriów fajki. Co więc sprzedaje się w tym sklepie?

Ano co. Wódki, które podobno są lepsze dla zdrowia od tytoniu, parasole męskie, skórzane i plastikowe portfele. Aha i zapalniczki, nie tyle nowe, a raczej przynoszone przez zrozpaczonych posiadaczy, którzy z powodu błędnej konstrukcji maszyny, nie mogą z niej wykręcać iskry. A ponadto sklep jest wyposażony, dobrze wyposażony, w zapalki. Istnieje nawet projekt otwarcia jeszcze jednego takiego salonu, tym razem z zapalkami.

O nowych wynalazkach.

Pisze *Życie Gospodarcze* z 29 sierpnia w swojej kolumnie „Żywocik gospodarczy“: „Wprawdzie, pisze autor dowcipów, nie mamy w Polsce kleju, by dobrze sklejał koperty do listów, za to przemysł polski produkował ostatnio tzw. klej epoksydowy, którym w przyszłości sklewane będą statki morskie, co zastąpi dotychczasowe żmudne spawanie. Autor mówi, że bardzo to będzie po polsku — „boso, ale w ostrogach.“

Również ostatnio wykryto niebezpieczeństwo grożące współczesnym sukienkom. Stwierdzono, że mieszanka włókien naturalnych z syntetycznymi ma właściwości wybuchowe. W łódzkich wykańczalniach zdarzyło się już kilka wypadków eksplozji przy nagrzewaniu mieszanki. Istnieje przeto niebezpieczeństwo, że gdy słońce zacznie przygrzewać, mogą mieć miejsce pierwsze wybuchy sukienek na ulicy...

Jan Adamski

W PIERWSZYM tygodniu października otrzymałem z Niemiec Zachodnich dwie książki — dwa tomy przekładów z literatury polskiej. Pierwszy tom poświęcony jest współczesnej liryce polskiej i nosi tytuł „Neue Polnische Lyrik“. Przekładu licznych utworów poetyckich poetów z kraju i na emigracji dokonał Karl Dedecius, czołowy dzisiaj tłumacz poezji polskiej na język niemiecki. Druga książka przetłumaczona została również przez Dedeciusa, a zawiera wybór z utworów Tadeusza Różewicza, który zdobywa sobie w Niemczech Zachodnich imię nie tylko jako poeta, ale jako dramaturg. Ten wybór z Różewicza nosi tytuł „Formen der Unruhe“ (Kształty niepokoju) i wyszedł nakładem firmy Carl Hanser w Monachium, która ogłosiła w r. ub. przekład „Sklepów Cynamonowych“ Brunona Schulza. W tym samym tygodniu, a mianowicie 4. października, odbyło się w Edynburgu przedstawienie dwóch sztuk Sławomira Mrożka: „Policjanci“ oraz „Na pełnym morzu“, przy czym obie sztuki reżyserował znany dzisiaj szeroko szekspiolog polski Jan Kott. Książka jego p.t. „Shakespeare — Our Contemporary“ wyszła przed kilku miesiącami po angielsku, a dotychczas przetłumaczona została na szesnaście języków. Największe powodzenie, jeżeli chodzi o czytelników, miała ta rzecz chyba w NRF, gdzie należała do **bestsellerów** jeżeli weźmiemy ten dział literatury, a zatem krytykę literacką.

Te sukcesy polskich pisarzy w krajach Zachodu każą zastanowić się nad istotną penetracją naszej literatury i poezji i spytać czy istotnie jesteśmy świadkami jakiegoś przełomu, czy przebicia się piśmiennictwa polskiego w kierunku zachodnim i czy można mówić o trwałej popularności książek polskich w krajach Zachodu? Każdy człowiek, któremu się nie powodzi, ma skłonność do przesadzania swoich sukcesów, jeżeli one nareszcie spadną na niego. Podobnie narody którym los nie uśmiecha się, skłonne są przejaszkawiać każde swoje powodzenie i przedstawić jako sukces światowy rzeczy, które raczej należą do rządu efemeryd, czy też sukcesów lokalnych. Postarajmy się zbadać możliwe trzeźwo i rzeczowo to nowe zjawisko jakim jest niewątpliwie za-

LITERATURA

interesowanie poezją i literaturą polską na Zachodzie. Aby taka ocena przybliżała się najbardziej do prawdy, trzeba rzucić ją na tło historyczne i w największym skrócie przedstawić wysiłki — przeważnie daremne — piśmiennictwa polskiego przedostania się na zachód w ciągu ubiegłych lat 150.

W okresie niewoli literatura polska była zamknięta przed światem nie tylko granicami politycznymi, ale i obcęgami dwóch kultur, które również chciały się przedostać na Zachód — a zatem Niemiec i Rosji. W wielu wypadkach rodzaj literacki uprawiany przez naszych pisarzy był już przebrzmiały we Francji czy w Anglii: i jak słusznie zwrócono uwagę na fakt, że „Pan Tadeusz“ pojawił się na Zachodzie w momencie kiedy już największy koryfeusz poematu jak Wiktor Hugo odeszli od tego rodzaju literackiego uważając, że jest już staroświecki i zabrali się do powieści jako typu pisarskiego, który oddaje lepiej rzeczywistość. Powieść przez cały niemal wiek XIX stanowiła domenę Paryża — a powieść niemiecka przebijała się tylko mozolnie do Anglii czy Francji i dopiero zyskała sobie uznanie w wieku XX w osobach takich mistrzów jak Tomasz Mann. Natomiast powieść rosyjska zyskała sobie rozgłos na przełomie wieków XIX i XX i możnaby powiedzieć, że pod koniec XIX wieku wpływy powieści rozparcelowane zostały w Europie między Francję a Rosję. Wielcy autorzy rosyjscy jak Tolstoj, Dostojewski, Czechow, Turgieniew zyskali sobie światowe uznanie i przyćmili swoim blaskiem piśmiennictwa o mniejszym rozmachu czy mniejszej jaskrawości tematu.

Powieść polska nie mogła konkurować z bogatą, nadmiernie może bogatą powieścią francuską, która od Stendhala, Flauberta i Balzaca wylaniała coraz to nowe talenty i przodowała Europie aż do początku 1-ej wojny światowej. Powieść rosyjska zaćmiła nas swoją egzotycznością i swoją głębią psychologiczną. Jest rzeczą znamioną, że z pisarzy polskich poruszających momenty psychologiczne nikt — z Żeromskim na czele — nie potrafił wejść w swoim

POLSKA

PRZEBIJA

SIĘ NA

ZACHÓD

Napisał

Zbigniew Grabowski

czasie na Zachód, albowiem był stale dystansowany przez powieść rosyjską. Tym bardziej podziwiać należy sukces Sienkiewicza z jego „Quo Vadis“, które stało się światowym bestsellerem i zyskało mu nagrodę Nobla. Świadomie, czy nieświadomie Sienkiewicz rozumiał że literatura polska przebić się może na Zachód nie powieściami osnutymi na tle dawnych dziejów Polski, czy jej ówczesnej niewoli, ale dziełem, które miałyby charakter ogólny i przemawiało do wszystkich. Zdawał on sobie przypuszczalnie sprawę z tego, że Europa, która kosztowała dostatniego pokoju i płynęła pod hasłem wysunięciem przez Francję: „wzbogacajcie się“, „enrichissez-vous“, nie chce słyszeć o martyrologii i udękach, nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że pokój w Europie może nie być trwały z uwagi fałszywy układ stosunków na wschodzie Europy.

Sukces Sienkiewicza z „Quo Vadis“ jest tym bardziej godny uwagi ponieważ spotkał on pisarza, który — zdawałoby się — był bardzo wrośnięty w tematykę rodzimą i zyskał sobie sławę w kraju jako pisarz historyczny mówiący o dziejach własnej ojczyzny. Trudno dzisiaj uzmysłowić sobie ogrom sukces Sienkiewicza: zupełnie słusznie jeden z krytyków polskich mieszkających stale w Paryżu zajął się niedawno analizą „Quo Vadis“, jako pierwszego best-sellera w nowoczesnym tego

słowa znaczeniu. Znakomity pisarz francuski Herni de Montherlant daje w swych wspomnieniach relację z tego powodzenia powieści Sienkiewicza, podkreślając jakie wywoływała one spory i polemiki i jaki wpływ wywarła na plastyczne umysły młodych pisarzy francuskich. W Paryżu powstawały wówczas nawet kluby mające na celu analizowanie powieści Sienkiewicza i mówiono, że Paryż roi się od kobiet nazywanych „Les Quovadisiennes“. Ta moda na starożytny Rzym objęła nawet strój damski owej epoki.

Żalować wypada, że za dwoma nawrotami nie przedostał się na Zachód teatr polski w osobach dwóch dalej niedostatecznie niedocenianych mistrzów a zatem Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Ignacego Witkiewicza. Teatr Wyspiańskiego od „Wesela“ po „Powrót Odyssa“ był wówczas w Europie teatrem awangardowym, który śmiało mógł iść w zawody z najśmielszymi poczynaniami teatru niemieckiego. Jeszcze dzisiaj umiejętnie podane dramaty Wyspiańskiego w przekładzie na język niemiecki na przykład, mogłyby wzbudzić żywe zaciekawienie, a przejęcie „Powrotu Odysa“ na libretto opery mogłoby być wydarzeniem muzycznym. Nie zapominajmy, że Wyspiański chciał niektóre swoje dramaty przerobić na operę i że współpracował z Henrykiem Opieńskim nad wzięciem dramatu p.t. „Daniel“ na libretto opery.

Dramat Wyspiańskiego był jednym z największych w Europie wieku XX, dramatów poetyckich, był dramatem surrealistycznym jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, gdzie roi się i kłębi od nowych, śmiałych pomysłów reżyserskich by wspomnieć tylko „Noc listopadową“ i „Wyzwolenie“. Ten dramat wyprzedził wiele pomysłów, które dzisiaj lansują na Zachodzie dramaturdy awangardy. W jeszcze większym stopniu może nowatorem był S. I Witkiewicz, który żałośnie minął się ze swoim czasem. Jego dramaty wyprzedziły całą awangardę dzisiejszą z Ionescu, Beckettem i Pinterem na czele. Był to teatr nonsensu i absurdu, persyflażu i clownowskiego żartu, który dzisiaj daje o sobie znać w utworach Sławomira Mrózka i w jego sztukach takich jak „Indyk“ — gdzie zresztą odnajdziemy i wpływy „Wesela“ Wyspiańskiego — czy też

w nowej sztuce jego p.t. „Tango“, która niebawem wejdzie na sceny zachodnie. Jest jakaś ukryta czy poetycka sprawiedliwość w tym, że Sławomir Mrożek zdobywa sukcesy na Zachodzie, których nie danym było zaznać ani Wyspiańskiemu ani Witkiewiczowi. Dodać do tego należy fakt, że dwie sztuki Witolda Gombrowicza, a mianowicie „Ślub“ oraz „Yvonne, księżniczka Burgundii“ wystawione były niedawno w Paryżu, przy czym ta druga sztuka p.t. „Yvonne, Princesse de Bourgogne“ zyskała sobie gościnę w reprezentacyjnym teatrze Paryża Odéon — Théâtre de France, gdzie króluje Jean Louis Barrault, znakomity aktor i reżyser. Jest to pierwszy tego rodzaju sukces polskiego dramatu w Paryżu, na scenie tak reprezentacyjnej i cieszyć się wypada z tego powodzenia polskiego autora, dodając skromną uwagę, iż sztuki jego są jak najbardziej poczęte z ducha i techniki teatru Witkiewicza.

Zainteresowanie literaturą polską po drugiej wojnie a zwłaszcza od roku 1956 nie wydaje się być zjawiskiem przelotnym. Oczywiście, już zaraz po 2-jej wojnie istniały na Zachodzie sympatie dla młodej literatury polskiej i zapytywano się jaką rolę odegra ona w nowym układzie politycznych stosunków? Zapytywano z zaciekawieniem czy literatura oprze się naporowi indoktrynacji i narzuconej wiary politycznej i nadśluchiowano Europy Wschodniej — starając się dostrzec w każdej śmielszej wypowiedzi zapowiedź liberalizacji stosunków w bloku komunistycznym. Jednakże do roku 1956-go przekłady z literatury polskiej dotyczyły głównie autorów już znanych i uznanych jak Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Parandowski, Maria Dąbrowska, Jerzy Andrzejewski, Adolf Rudnicki, jak i poeci doby raczej wczorajszej niż dzisiejszej. Największe może zaciekawienie na Zachodzie wywołał film polski, który przebił się na Zachód obrazami takimi jak „Kanał“ a potem ugruntował pozycję filmem „Popiół i Diament“. Przełom październikowy wywołał całą falę tłumaczeń z nowej literatury polskiej w tym takie dzieła jak „Poemat dla dorosłych“ Ważyka i opowiadania Marka Hłaski.

Marek Hłasko stał się symbolem buntu młodych, wyrazicielem tra-

gicznej epoki, beznadziejności i grozy współczesnego życia polskiego, ale — rzecz ciekawa — nie utrzymać się by tak powiedzieć w repertuarze zachodnim tak długo jakby należało przypuszczać. Niektóre jego utwory jak „Następny do Raju“ i „Cmentarze“ pojawiły się zbyt późno w przekładach na język angielski, co sprawiło, że zostały one niejako przeskoczone przez rzeczywistość, która wybitnie się poprawiła — a Zachód wołał już nie dopuszczać do swojej świadomości tak ponurych wizji tak niedawnej przeszłości. Żałować wypada, że rozgłos jaki towarzyszył pierwszym rzeczom Hłaski jakoś się nie utrzymał chociaż porusza on obecnie tematy wysoce pasjonujące rzucone na tło Izraela, a jego sztuka pisarska dojrzała i pogłębiła się. Opowiadania takie jak „Dzień Śmierci Jego“ oraz „Drugie Zabicie Psa“ i „Wszyscy stali odwrócenii“ należą do najlepszych jakie zna literatura polska naszego wieku.

Natomiast popularność Jerzego Andrzejewskiego utrzymywana jest zagranicą dalej a jego powieści poczynając od „Popiołu i Diamentu“ aż po „Idzie Skacząc Po Górach!“ wyrobiły mu dobrą pozycję na Zachodzie. Największe powodzenie, jeżeli chodzi o nakłady, ma on w Niemczech Zachodnich, gdzie zresztą popularność autorów polskich, zwłaszcza nowej generacji, jest najbardziej uderzająca. „Myśli nieuczesane“ Leca miały na przykład w NRF aż 12 nakładów i dotychczas sprzedano ponad 60 tysięcy egzemplarzy tej odważnej i nieprzeciętnej książki.

Nie tylko jednak powieść Polski współczesnej ma ogromne wzięcie w Niemczech Zachodnich, ale i poezja głównie młodego pokolenia, zyskała sobie w NRF rynek, który da się tylko porównać z sytuacją sprzed lat niemal 140, kiedy Polska i poezja polska były popularne w Niemczech. W ciągu ostatnich lat kilku pojawiły się trzy zbiory liryki polskiej w znakomitych przekładach Karla Dedeciusa: „Polnische Poesie 20. Jahrhunderts,“ gdzie znajdujemy utwory od Kasprowicza poprzez Tuwima i Pawlikowską aż po Herberta i Harasimowicza, „Lektion der Stille“, w której uwzględniono również i poetów emigracyjnych, oraz „Neue polnische Lyrik“, o której już wspominałem na wstępie te-

go szkicu. Dedecius jest niewątpliwie najświetniejszym tłumaczem poezji polskiej w Europie. Obok niego jest coraz więcej tłumaczy z prasy polskiej, jak Maryla Reiffenberg, która przełożyła powieść Miłosza „Dolina Issy“ i Garda Hagenau. W NRF wyszły w ostatnich latach książki Brunona Schulza, Witolda Gombrowicza, Tadeusza Nowakowskiego, Adolfa Rudnickiego, a na scenach niemieckich wystawia się dzisiaj dramaty Mrózka i Różewicza i całej plejady młodych polskich dramaturgów. Dramat polski korzysta z wielkiej koniunktury na teatr jaki istnieje dzisiaj w NRF: w samej Nadrenii zbudowano po wojnie 40 nowych teatrów, a teatry niemieckie grają wszystkie nowości repertuaru światowego. Niejednokrotnie dramaty angielskie i amerykańskie mają dzisiaj swoje prapremiery w teatrach NRF.



Oczywiście każdy kraj Zachodu okazuje swoje, by tak powiedzieć preferencje w stosunku do pisarzy polskich: poezja polska nie jest ani w części tak znana dzisiaj we Francji jak w Niemczech Zachodnich, gdzie trafia na wyjątkowo dobry odbiór. Na szczęście i we Francji znalazł się sposób i okazja na podanie poezji polskiej w odpowiedniej formie. Przed kilku miesiącami pojawiła się „Anthologie de la poésie polonaise“, zredagowana przez K. A. Jeleńskiego przy udziale licznych tłumaczy francuskich i polskich. Powstała antologia, której dotychczas odczuwało się wybitnie brak i przeciętny Francuz interesujący się literaturą obcą może sobie wyrobić na jej podstawie pojęcie zarówno o tematyce i rozpiętości poezji polskiej jak i jej odrębnym tonie i nastroju. K. A. Jeleński jest rzutkim ambasadorem literatury polskiej we Francji, który wylansował niejedną już polską książkę, a przyczynił się najwydatniej do zaznajomienia świata francuskiego z drobkiem pisarskim Witolda Gombrowicza. Jeleński pisuje stale na łamach doskonałego miesięcznika paryskiego „Preuves“ i występuje na licznych kongresach i zjazdach międzynarodowych, mając do dyspozycji nie tylko język francuski ale również angielski, włoski i niemiecki. Tak się złożyło, że w Niemczech Zachodnich

mamy Tadeusza Nowakowskiego, który znakomicie pisze po niemiecku i który często na łamach poważnej prasy niemieckiej a zatem dzienników jak „Die Welt“ oraz tygodnika jak „Die Zeit“ pisze o współczesnej literaturze polskiej. We Włoszech podobną rolę spełnia Gustaw Herling-Grudziński, który współpracuje z czasopismami literackimi Włoch, pisząc biegle po włosku, a dodajmy, że jego książka „Inny Świat“ była jedną z pierwszych, która przebiła się na Zachód i zyskała sobie uznanie najpierw w W. Brytanii a potem w innych krajach jako jedna z najbardziej zastanawiających relacji o obozach Zw. Sowieckiego.

Największe sukcesy, jeżeli chodzi o nakłady i jeżeli chodzi o rozpiętość tematów i rodzaju w stosunku do literatury polskiej wykazuje — jak się już rzekło — rynek niemiecki, gdzie pojawiają się przekłady książek polskich od Kołakowskiego i jego prac filozoficznych aż po sztuki Mrózka i Różewicza. Rynek niemiecki okazał się najbardziej chłonny w stosunku do literatur obcych, a ilość przekładów z tych literatur jest dzisiaj rekordowa. Ocenia się, że na rynku księgarskim NRF pojawia się rocznie ponad 25 tysięcy tytułów, co jest również rekordem europejskim, zważywszy, że do niedawna jeszcze rekord ten dzierżyła W. Brytania mogąca się wykazać 21 tysiącami tytułów rocznie.



W zestawieniu z NRF nakłady pisarzy polskich tłumaczonych we Francji są o wiele niższe, przy czym w Paryżu niejednokrotnie decydują pewne „smaki polityczne“ a zatem, że forytuje się niejako autorów o nastawieniu wybitnie lewicowym. Największe bodaj powodzenie jeżeli chodzi na przykład o utwory Kazimierza Brandysa wykazują Francja i bodaj Włochy, natomiast tego samego powiedzieć nie można o NRF. We Francji osiągnęła sukces swoją powieścią psychologiczną „Przejście przez Morze Czerwone“ Zofia Romanowiczowa.

Sytuacja rynku angielskiego jest bardzo specjalna, albowiem jest to rynek niesłychanie oporny w stosunku do literatur obcych, rynek w dużej mierze samowystarczalny,

choć posilkowany wielką strugą literatury amerykańskiej. Między rynkami Anglii i USA istnieje dzisiaj pewnego rodzaju osmoza, a zatem książki, które zyskały sukces w Anglii pojawiają się natychmiast w Ameryce i odwrotnie wielkie sukcesy amerykańskie są natychmiast przedrukowywane w Anglii. Czasami autor szuka od razu wydawcy w Ameryce licząc na wyższe honoraria i potem dopiero w gorliwej amerykańskiej powraca do swego rodzinnego kraju. Rynek angielski przyjmuje z dużą niechęcią książki obce: uznaje właściwie tylko powieść francuską, natomiast w stosunku do innych literatur — nawet wobec tak wspaniałych pisarzy jak Tomasz Mann — zachowuje sporą obojętność. Inaczej jest w Ameryce, która jest bardzo chłonna w stosunku do literatur obcych i tam właśnie pisarze polscy z kraju i na emigracji odnoszą sukcesy, poczynając od pamiętnej książki Czesława Miłosza „Zniewolony umysł“, a kończąc na aforyzmach Leca i opowiadaniach Mrózka.

W W. Brytanii ugruntował się może najbardziej Jerzy Andrzejewski, a przed tym jeżeli chodzi o nakład prowadził Leopold Trymand swoją powieścią „Zły“ i „Gospodą Siedmiu Rejsów“. Niewątpliwym sukcesem w oczach krytyki angielskiej odniósł Bruno Schulz tłumaczony przez Celinę Wieniewską, a duże zainteresowanie krytyki wywołała „Ferdynand“ Gombrowicza. Największe wrażenie w Anglii wywarły dwie książki polskich autorów, a mianowicie „The Captive Mind“ Miłosza, która sprawiła, że wyrażenie „the captive mind“ weszło do słownictwa angielskiego, oraz eseje szekspirowskie Jana Kotta. Wprawdzie krytyka angielska potraktowała szkice Kotta najsurowiej z krytyki światowej ale tłumaczy się to tym, że Anglicy uważają Szekspira za swoją własność i niechętnie słuchają nowych interpretacji swojego wieszca przez cudzoziemców, a także i tym, że wnioski Kotta są nieraz podane w bardzo jaskrawej formie. Z tym wszystkim jest to rzecz, która poruszyła naprawdę krytykę i miała swoje echa na deskach teatru angielskiego bowiem Peter Brook, czołowy dzisiaj reżyser angielski, przyjął interpre-

tację Kotta w wystawieniu dramatów Szekspira.

W tym dorocznym przeglądzie nie omawiam zjawisk takich jak autorów polskich piszących w językach obcych — a zatem na przykład w Anglii twórczości Jerzego Pietrkiewicza, który ma za sobą dorobek sześciu czy siedmiu angielskich powieści i którego utwory znalazły się również w t.zw. „paperbacks“, co jest dowodem ich popularności, czy też Ferdynanda Zweiga, który ma za sobą dwanaście książek socjalistycznych od roku 1945-go a omawiających sytuację robotników angielskich, kobiety angielskiej, jak również i nastroje uniwersyteckiej młodzieży w W. Brytanii. Ta strona działalności literatury polskiej czy też raczej autorów polskich zasługiwałaby na osobne omówienie z którego okazałoby się, że dorobek pisarzy polskich w tej dziedzinie od Ameryki po Australię jest wcale poważny.

Tutaj chodziło nam o podkreślenie zjawiska rosnącej popularności literatury polskiej w krajach Zachodu, zjawiska, które obejmuje i narody mniejsze, albowiem w Szwecji mamy również do czynienia z zaciekwaniem nowym dramatem polskim a w Holandii pojawia się sporo książek autorów polskich, głównie w przekładzie niestrudzonego Willema Meijera. Tak samo w Szwajcarii na półkach księgarskich dostrzec można coraz to więcej prze-

kładów z języka polskiego, a teatry szwajcarskie udzielają gościny dziełom młodych dramaturgów polskich.



Jest to zjawisko wysoce pocieszające, które wypada zanotować. Czy jest ono tylko wynikiem koniunktury politycznej, a zatem faktu, że Zachód chce się doszukać w literaturze polskiej jakichś oznak liberalizacji stosunków na Wschodzie po za tym, że jest ciekawy jak myślą i czują ludzie żyjący pod uciskiem totalnego systemu? Wydaje się, że sprawa ta jest bardziej skomplikowana i że chodzi tutaj nie tylko o moment politycznej koniunktury. Przez wzrost zaciekwienia literaturą polską w chwili obecnej Zachód daje do poznania mianowicie, że bez Europy Wschodniej nie ma mowy o prawdziwej Europie i że ta Europa Wschodnia ma do powiedzenia wiele rzeczy oryginalnych i odrębnych. Zachód wyczuwa świadomie lub nieświadomie w tej literaturze z Polski nie tylko inny ton, ale pewną siłę biologiczną, pewien rozmach i entuzjazm, który nie osłabi pomimo trwającej od roku 1939 okupacji, ucisku i niedoli. Ten fakt jest pocieszający i zachęcający nie tylko dla Zachodu, ale przede wszystkim dla nas, którzy w dynamizmie i w biologicznej sile naszej literatury widzimy jedną z najlepszych gwarancji nie tylko przetrwanie narodu, ale i jego rozwoju.

Zbigniew Grabowski



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W.7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNET.

PRZENIESIENIE na południową granicę odczułem niemal jak zesłanie. Później okazało się, że decyzja Komendy powierzenia odcinka granicznego oficerowi znającemu stosunki polsko-ukraińskie była przemyślaną i celową. Porwany z wiru wielkomięskiego życia znalazłem się w warunkach tak skrajnie odmiennych jak pozytyw i negatyw fotograficznej kliszy. Wstąpiłem w kraj zaczarowany, budzący miłość od pierwszego wejrzenia. Biesiada dla oczu błędzących po dzikich górach, które z każdej strony wyglądały inaczej, o każdej porze przedstawiając inny widok, raz kąpiąc się w słońcu, to poszarpane oparami lub w ginącym świetle zarysami pnące się gdzieś ku niebu jakby rosły w oczach i odcinały się od reszty świata. Konno lub na trzęsącej się po górskich wertepach bryczce wędrowałem po nowym odcinku granicznym aż po Cisnę do pięknego dworku Aleksandra Fredry. Zamieniłem komfortowe mieszkanie na prymityw górskiej chałupy, zwoje centralnego ogrzewania na gliniany piec i jaskrawe światło elektryczne na łagodny poblask lampy naftowej przyciągającej cmy i w tym nowym otoczeniu czułem się niespodziewanie dobrze. Cisza, spokój... czas stanął. Nie chciało się nawet otwierać radia tracąc zainteresowanie tym co się działo gdzie indziej. A tu nie działo się nic. Było to nowe i bardzo miłe. Kto tego nie zaznał ani nie zrozumie ani do tego tęsknić nie może.

Nie śniło się młodemu oficerowi, że w tym odciepm od świata zakątku gromadzą się burze, które w tym roku 1932 oprą się nawet o Rzym.

Odcinek graniczny obejmował powiaty leski i sanocki z siedzibą Komendy w Woli Michowej, małej wiosce o milę na północ od przełęczy Łupkowskiej. Ludność ukraińska żyła w harmonijnej zgodzie z nielicznymi Polakami. Strażnik polski z Poznańskiego czy Pomorza pogodził się z uczęszczaniem do cerkwi, lecz odczuwał boleśnie gdy we własnym państwie jego dziecko wracało z jedynej szkoły i zwracało się do ojca po ukraińsku. Mimo harmonijnego sąsiedzkiego współżycia ludność ukraińska była nastawiona antypaństwowo, podżegana przez kler greckokatolicki.

Najbardziej buntowniczym był miejscowy proboszcz w Woli ks. Warecha. Akcję swoją prowadził umiejętnie nie wchodząc w kolizję z prawem. Wytykałem mu to przy częstych spotkaniach, lecz pozycja jego była silna bo cieszył się zupełnym zaufaniem biskupa przemyskiego. Ogrywałem go niemilosernie w karty, zmniejszając w ten sposób kapitał propagandowy. Głó-

KAZIMIERZ SCHLEYEN

POWSTANIE

wą zaś separatystycznego ruchu ukraińskiego był ks. Witoszyński, kanonik ze Smolnika. Wkrótce złożył mi wizytę, nie tyle ze względów kurtuzji ile w zamiarze poznania z kim będzie miał do czynienia na swoim terenie. Zagadnął po rusku, lecz chętnie zgodził się na rozmowę po polsku, gdy mu przypomniałem, że tak często chwali się swoim polskim szlacheństwem.

Burza jednak nadciągała i wybuchła w powiecie leskim. Powód był błahy, lecz atmosfera była tak naładowana, że drobna iskra mogła wzniecić pożar. Oto właściciel Rymanowa, hr. Potocki, wprowadził w swoich posiadłościach „Święto Pracy“. Polegało ono na tym, że w poszczególnych miejscowościach ludność miała jeden dzień w roku poświęcić wspólnej pracy dla dobra własnej gminy i na cel przez siebie wybrany np. odnowienie kościoła, szkoły lub naprawę drogi. Była to istotnie zdrowa koncepcja, która mogła wykazać, jak wiele można uczynić wspólnym wysiłkiem. Eksperyment udał się tam, gdzie sięgał osobisty autorytet Potockiego. Ale laurów tych pozazdrościł starosta sąsiedniego powiatu leskiego, propagując na swoim terenie „Święto Pracy“. Potworzono komitety lokalne i wydawało się, że akcja rozwinię się pomyślnie. Doszło jednak do wiadomości, że w jednej wsi ludność się burzy i nie chce słyszeć o pańszczyźnie. Starosta polecił młodemu inspektorowi rolnemu by udał się na miejsce i rozwiązał komitet jeżeli mieszkańcy odnoszą się do projektu nieprzychylnie, bo akcja jest dogodna. W miejscowej szkole czekał komitet. Na zebraniu brak było tylko wójta, w którego gminie odbywało się posiedzenie protestacyjne.

Po chwili przed budynkiem szkoły zgromadził się rozsierdzony tłum krzyżujący: „My nie chcemy pańszczyzny“. Członkowie komitetu zwiali przez okno do ogrodu a inspektor wezwał by weszła delegacja, której żądania będą uwzględnione. Wtargnęli jednak wszyscy i małą salkę szkolną wypełniła gromada wrzeszczących i wygrażających pięściami. Wreszcie dopuścili delegata starostwa do głosu. Oświadczył, że komitet rozwiązuje i „Święta Pracy“ nie będzie. To na chwilę uspokoiło zebranych. Zażądali jednak by im to dać na piśmie. Oświadczenie to napisał i wręczył wójtowi. Jakaś baba porwała kartkę i stwierdziła: „tu pechatki nema“. Inspektor przyrzekł,

że pieczętkę da w starostwie, bo jej ze sobą nie wozi. Rozjuszona baba zdzieliła go motyką po głowie. Rannego wywleczono na szosę a podniecony tłum ruszył na posterunek policji i rozbroił go porywając karabiny. Lotem błyskawicy rozniosło się po powiatach leskim i sanockim, że Polacy chcą zaprowadzić pańszczyznę. Rzucana iskra trafiła na podatny grunt, ruchawka rozszerzyła się niezmiernie szybko. Wybuchło „powstanie o pańszczyznę“ właśnie na terenie, który tradycyjni pańszczyźnianych nie posiadał. Był kiedyś Królewszczyzną i nazwa Wola powtarzała się często. Na wielu rozstajach były krzyże „pańszczyźniane“, postawione ku upamiętnieniu zniesienia przez Austriaków resztek pańszczyzny w r. 1848. Do tych krzyży zmierzała ludność, by je bronić. Rozpoczęły się gwałty i ilość buntowników zaczęła sięgać w tysiące. Trudno było się zorientować jakie rozmiary przybierze ten ruch. Z innych jednostek zaczęli przybywać na pomoc strażnicy, przybyła konna szkoła policyjna z Mostów Wielkich i wreszcie batalion wojska pułku sanockiego pod dowództwem kpt. Karnibada, zmarłego w Londynie ppłk.

Różne wersje krążyły wśród Ukraińców, aż wreszcie ustaliła się następująca: Potocki widział się z Marszałkiem Piłsudskim w Przemyślu i założył się z nim o sto tysięcy talarów (dolarów), że zaprowadzi pańszczyznę. Marszałek powiedział, że do tego nie dopuści i dlatego ani wojsku ani Straży Granicznej strzelać nie wolno, ale Potocki ma swoje własne wojsko w hełmach. Pierwsza do akcji weszła Szkoła Policyjna. „Pany“ chcą odkopać krzyże i postawić na ich miejsce czerwone. Jeżeli krzyż czerwony utrzyma się przez dobę, to wszystko przepadło i pańszczyzna już jest. Beznadziejna głupota tej wersji mogła powstać tylko na tle ciemnoty podburzanej przez czynniki antypaństwowe.

Nadarzyła się doskonała sposobność, by rozprawić się z największym podżegaczem, proboszczem w Woli Michowej. Trzeba go było zdyskredytować w oczach parafian. Zanim na drugi dzień przybył przerażony do Komendy pytając dlaczego nic nie robię. Rzuciłem oskarżenie, że sam do tego się przyczynił. Odpierał z oburzeniem, że nie przyłożyłby ręki do takiej akcji. „Ale buntował pan na każdym kroku. Oto lista tych, co wyruszyli z Woli.

O PAŃSZCZYZNĘ

Chór kościelny w komplecie, ani jednego nie brak.“ W toku rozmowy wyszedłem z nim do przyległego ogrodu. Oplotki były niskie i zza węgłów mieszkańcy przyglądali się, gdy coś pilnie notowałem w notesie. Po odejściu księdza wysłałem strażników na wieś z poleceniem aresztowania trzech przeciwników proboszcza, zresztą Bogu ducha winnych. Ludność zaczęła szemrać, że proboszcz wydaje komendantowi miejscowych ludzi. Nazajutrz wezwałem proboszcza i powtórzyłem scenę z notatnikiem. Pość świadków powiększyła się. Gdy bezpośrednio po tym nakazałem aresztowanie tym razem winnych podżegaczy, ludność zawrzała. To jednak nie wystarczyło do zdyskredytowania księdza. Był on kierownikiem bardzo dobrze prosperującej kooperatywy ukraińskiej, w której zatrudniał swoją kochankę, urodziwą Parańkę. Po zamknięciu sklepu sprawdzał rachunki i odbierał kasę. Parterowy budynek mieścił się w rynku, tuż za nim wznosił się pagórek. Nagromadzony za budynkiem chrust, obłany naftą i podpalony, stworzył wrażenie, że kooperatywa się pali. Głośny dzwon pożarniczy zaalarmował ludność biegnącą ku rynkowi. Wyważono drzwi i zastano parę w negliżu. W nocy za 5 złotych wybito szyby w probostwie. Uwierzono, że było to dziełem zazdrosnego narzeczonego Parańki. Proboszcz wyjechał na urlop i nie powrócił już do parafii.

Władze centralne potraktowały zajścia poważnie, nie rozumiejąc ich podłoża. Nie zrozumiały i później. Przypisywano je agitacji komunistycznej lub organizacjom terrorystycznym. Jedno i drugie było błędne. Agitatorzy komunistyczni byli rozszyfrowani i nie pojawiali się nigdzie. Organizacje terrorystyczne posiadały instrukcje pedantycznie opracowane w Niemczech, przewidując nawet posypywanie drogi papryką lub tytoniem dla zmylenia wachu psów przy udawaniu się na robotę destrukcyjną. Było nie do pomyślenia, by szkoleni terroryści nie przecięli nigdzie jedynej linii telefonicznej biegnącej na przestrzeni 200 km., często lasami. Systematycznie buntowana ciemnota porwała się na miniaturowe powstanie, które jak łatwo przewidywałem w meldunkach musiało wygasnąć z powodu braku aprowizacji. Zapatrzeni w żywność na kilka dni, nie mogli przecież rabować swoich, ani obca wieś nie miała zamiaru żywić pare-

set ludzi przybywających z dalszych stron. Niemniej zadanie władz wykonawczych nie było łatwe. Szło bowiem o to, by uniknąć rozgłosu i niepotrzebnego przelewu krwi. Jeden zabity i pięciu rannych to niezbyt krwawy plon agresji tysięcy chłopów. Przypisać to należy spokojowi, wielkiemu umiarowi i rozważnemu opponowaniu sytuacji. Oprócz kilku dygnitarzy, którzy nie pokazali się na terenie akcji nikt z nich nie został odznaczony. Osobiście ustanowiłem rekord życiowy niespania przez tydzień, poczem ległem wyczerpany, grożąc okaleczeniem temu, kto śmiałby mnie obudzić. Zbudzono mnie jednak meldując, że przybyli posłowie.

Przybyli dwaj ukraińscy posłowie na Sejm z powiatu leskiego, należący do BBWR, ksiądz Jaworski i mój dobry znajomy ze Lwowa Kola Baczyński. Zamierzali odbywać wiece w terenie. Odradziłem stanowczo, jako niezbyt celowe. Zapropnowałem, by zostali u mnie i zapoznali się z materiałem, który będzie dla nich cenny. Sytuacja przedstawiała się następująco:

Trzy diecezje metropolii lwowskiej, przemyska i stanisławowska miały dużą samodzielność. Najbogatsza stanisławowska, najmniej rozpolitykowana, dysponująca dużymi posiadłościami leśnymi, dbała bardzo o dobra doczesne. Próba zaprowadzenia celibatu przez ks. Chomyszyna nie powiodła się. Natomiast biskup przemyski ks. Kocołowski prowadził politykę zdecydowanie antypaństwową. Postępował w sposób bezwzględny, łamiąc każdy opór w swojej diecezji. Usuwał z parafii proboszczów lojalnych wobec państwa, mianując na ich miejsce posłusznych sobie zauszników. Ci lojalni księża należeli do dawnej grupy Starorusinów, przeważnie starcy sprawujący swą funkcję od dziesiątków lat. Reakcja parafian przeszła oczekiwania Przemysła, lecz nie ostudziła wojowniczości biskupa. Przywiązani do swego duszpasterza, który ich ochrzcił, żenił i chrzczył ich dzieci, nie mogli pogodzić się z jego krzywdą. Nie znalazłszy innego wyjścia wsie z proboszczem zaczęły gremialnie przechodzić na prawosławie. Usłyszawszy to ks. Jaworski wołał: „Ja do samoho Marmadżoho pidu“. Istotnie ten stan rzeczy nie mógł być obojętny nuncjuszowi papieskiemu w Warszawie, którym był ks. Marmaggi.

Posłowie zrezygnowali z wiecowania, gościli u mnie przez trzy dni, wyjeź-

dżając tylko dla sprawdzania otrzymanych informacji. Poczem w skromnej siedzibie oficera polskiego odbywały się narady, jak zaradzić samowoli biskupa przemyskiego.

Problem obrządków sztucznie rozdmuchany do zagadnienia walki narodowościowej, sprowadzał się do bardzo prostej kwestii. Jeżeli odległość do cerkwi wynosiła dwa kilometry, a do kościoła nieraz przeszło dwadzieścia, ludność powoli ruszczyła się. Brak ekspansji Kościoła rzym-kat., wymagającej sporych nakładów finansowych, przypisać należy w dużej mierze stanowisku Watykanu, sprzyjającego w pewnym stopniu Kościołowi gr-kat. w nadziei, że ekspansja ta rozszerzy się poza Zbrucz na prawosławnych Ukraińców. To założenie miało pewne uzasadnienie, lecz przestało być celowe, gdy za międzą zapanowało bezbożnictwo. Teren jednak został utracony.

Tym razem Stolica Apostolska zareagowała szybko i zdecydowanie. Utworzone zostało Biskupstwo Łemkowskie, wyjęte spod jurysdykcji przemyskiej i podległe bezpośrednio Watykanowi. Biskup otrzymał nazwę Administratora Delegatury Apostolskiej na Łemkowszczyznę. Obejmowała ona powiaty graniczne Nowy Sącz, Jasio, Krosno, Gorlice, Sanok i Lesko. Siedzibą biskupstwa została później Krynica, lecz pierwszą rezydencją był Rymanów Potockiego. Biskupem został olbrzymiego wzrostu ks. Maściuch. Przyjął mnie bardzo rad, bo nie znał terenu i nie był dostatecznie poinformowany o swoim zadaniu.

Gdy z granic Polski pobierano ziemię na kopiec na Sowińcu, sypany ku czci Marszałka Piłsudskiego, odbywały się uroczystości nastrojowe i w sensie pojednania politycznego doniosłe. Kiedy w zmrroku przy świetle pochodni pobierano ziemię, Biskup Łemkowski intonował „Boże coś Polskę“ i śpiewała z nim tłumnie zgromadzona ludność ukraińska.

Na kanwie tego opowiadania można lepiej wyczytać istotę problemu polsko-ukraińskiego, stale aktualnego i przez obcych podsycanego do stanu rozdrażnienia. Wszczęta akcja jak „szlachty zagrodowej“, czy wyodrębnienia Łemkowszczyzny nie była polonizacją, lecz repolonizacją. W bibliotece londyńskiej można znaleźć spis Łemków. Wśród nich przeważają stare, szlacheckie nazwiska polskie. We wspólnej niedoli, w walce z przeciwnikiem tępiącym wiarę, eksterminującym obydwie narodowości, najwyższa pora na pojednanie i zespolenie sił do pokonania złych mocy.

Kazimierz Schleyen

KONFLIKT SOWIECKO-CHIŃSKI (II)

Potencjał gospodarczy Chin — Handel z krajami kapitalistycznymi — Start sowiecki

W CZASIE objazdu państw afrykańskich z początkiem roku 1964 premier Chin, Czu-en-lai odwiedził również i Somalię, gdzie w wywiadzie, udzielonym korespondentowi Agence France Presse ujawnił, że po 14 latach istnienia Chin ludowych, kraj jego prowadzi już handel ze 100 krajami względnie terytoriami. Premier również dodał, że w tym samym okresie Chiny spłaciły długi zagraniczne w całości.

Wprawdzie Chiny ludowe utrzymywały stosunki dyplomatyczne tylko z 40 państwami co dowodzi, że wymianę handlową rozwinęły one z wcale pokaźną liczbą państw kapitalistycznych, popełniając w ten sposób jeden z grzechów głównych, zarzuconych Chruszczowowi i jego teorii pokojowego współistnienia.

Chiny ludowe, kraj o 700 milionach ludności, stanowią dziś potencjalny rynek dla większości państw kapitalistycznych. Niezmiernie niska stopa życiowa mas ludności i małe racje żywnościowe, pozwoliły reżymowi utrzymać te masy przy życiu. Brak jest tylko pszenicy, którą od kilku lat dostarczają Chinom bogate w pszenicę kraje, głównie Kanada. Brak natomiast Chinom całego szeregu produktów przemysłowych, w szczególności maszyn, narzędzi precyzyjnych i instalacji dla przemysłu chemicznego. Ponadto Chiny nie posiadają własnych stoczni budowy okrętów, bardzo skromną ilość rafinerii ropy naftowej oraz zakładów przeróbki stali. Tym właśnie tłumaczą się pielgrzymki eksporterów kapitalistycznych, urządzenie w Pekinie wystaw i targów przemysłowych, jako pierwsze kroki do robienia businessu.

Ostatnie lata prowadzenia handlu z zagranicą dowiodły, że Chiny są zdolne do utrzymania wymiany handlowej na poziomie 1½ miliarda dolarów rocznie, a kwota ta wzrasta z każdym rokiem, dzięki kredytom ofiarowanym przez konkurujące ze sobą państwa kapitalistyczne.

Chiny ze swej strony wyszły również na świat z własnymi targami.

Na jednym z targów, urządzonym w Paryżu przez chińską agencję eksportową, wystawiono takie produkty jak ryż, soję, herbatę, skóry i futra, towary bawełniane i jedwabne, a ponadto produkty mineralne jak cynę rtęć i srebro. Dużym zainteresowaniem cieszyły się przedmioty sztuki chińskiej od dawna znanej ze swej oryginalności.

Hong — Kong

Uderzyć musi każdego fakt, że Chiny ludowe nie domagają się zwrotu tej brytyjskiej kolonii. Jej istnienie tłumaczą Chińczycy jako „niekorzystne wydarzenie historyczne“, które kiedyś w przyszłości, będzie wymagać „wyprostowania“. Jednak istotnym powodem nienaruszenia istniejącego stanu rzeczy jest znaczenie Hong-Kongu, miasta i portu, przez który odbywa się cały prawie handel Chin z resztą świata i przez który płyną do Chin, szerokim strumieniem, twarde waluty państw kapitalistycznych. Już bowiem w roku 1960 handel Chin z Hong-Kongiem zasilił chiński bilans handlowy kwotą 200 milionów dolarów, czyli tyle ile potrzeba Chinom na pokrycie dostaw pszenicy z Kanady i Australii.

Chiny nie domagają się również i zwrotu portugalskiej posiadłości Macao, położonej naprzeciw Hong-Kongu, poprzez którą, chociaż w mniejszym stopniu, odbywa się handel zagraniczny, nazwany przez Chińczyków „Handlem pośrednim“, by uniknąć zarzutu bezpośredniej wymiany towarów z państwami kapitalistycznymi.

W samym tylko Hong-Kongu Chiny utrzymują 9 własnych banków, z których główny, Bank Chiński, posiada filie w Singapurze i w Londynie. Ten ostatni załatwia wszelkie transakcje finansowe zarówno z państwami kapitalistycznymi jak i państwami „trzeciego świata“ i współpracuje z główną chińską agencją zakupów w Bernie szwajcarskim. Tu również dokonuje się „charter“ statków dla przewozu zamówionych

na zachodzie towarów, słaba strona Chin, bo podważa import i obniża koszty eksportu. Jednak w ostatnich latach Chiny czynią starania zwiększenia własnej floty handlowej którą zasilają stocznie francuskie i polskie.

Zdobywanie walut zagranicznych

Jednym ze źródeł, które przynosi Chinom wcale pokaźny dochód w walutach zagranicznych jest wysyłka z Hong-Kongu paczek żywnościowych przez Chińczyków, żyjących w wolnym świecie dla głodujących rodaków. Do roku 1963 wysyłką zajmowała się firma Hong-Kong Chinese Enterprise Ltd., której obroty finansowe szły poprzez banki chińskie. Ale już w tym roku utworzono 4 czysto chińskie syndykaty współpracujące z chińskim biurem podróży, które zajmują się zakupem, ocleaniem i wysyłką paczek żywnościowych.

Rozmiar tych przesyłek i obroty tłumaczą cyfry. Tak n.p. już w 1961 wysłano z Hong-Kongu do Chin 3,7 milionów paczek dwufuntowych, które przyniosły Chinom dochód 27 milionów dolarów.

Drugim źródłem dochodu jest opłata celna i koszt przesyłki paczek, które wysyłający musi pokryć całkowicie w walucie zagranicznej, a ponadto przesyłki pieniężne, zresztą po dobrym kursie, co w 1962 r. dało Chinom dalszy dochód 126 milionów dolarów.

Dalszym źródłem dochodu wymyślonym przez Chiny są przesyłki znane pod nazwą „Nawóz sztuczny za ryż“. Chińczycy, żyjący po za granicami Chin mogą zakupić przez te same syndykaty kupony dla dostawy sztucznego nawozu, oczywiście po wygórowanych cenach i płatnych również w walutach zagranicznych. Paczki zawierające sztuczny nawóz wysyłają syndykaty władzom rejonu, w którym odbiorca zamieszkuje, za co odbiorca otrzymuje porcję ryżu. W jednym i drugim wypadku reżim chiński zarabia na głodzie swych obywateli.

Wreszcie innym jeszcze pomysłem chińskim jest stworzenie t.zw. „Chińskiej Spółki Zamorskiej“, która wydaje udziały na mające dopiero powstać zakłady przemysłowe n.p. cukrownie, rafinerie nafty, fabryki papieru i gumy syntetycznej i elektrownie. Udziały te sprzedaje się Chińczykom, zamieszkującym zagranicą, zaś dywidendę wypłaca się wyznaczonemu obywatelowi w Chinach, Udziały oprocentowane są na 8 procent, z czego odbiorca otrzymuje połowę w gotówce, a drugie połowę w kuponach towarowych.

To źródło przyniosło skarbowi chińskiemu w 1962 r. przeszło 220 milionów dolarów, zaś w sumie obroty via Hong-Kong i Macao dały w tym roku 375 milionów dolarów, nie licząc dodatkowych dochodów z turystyki i ze sprzedaży wody dla Hong-Kongu, za co miasto płaci rocznie 4 miliony dolarów.

Należy jeszcze wspomnieć również o eksporcie srebra z Chin do państw zachodnich, który już w roku 1961 przyniósł Chinom 44 miliony dolarów.

Kredyty

Wspomnieliśmy już wcześniej, że za wyjątkiem Ameryki, Japonia i państwa zachodnie prześcigają się wzajemnie z ofertami udzielenia Chinom korzystnych kredytów związanych z dostawą samochodów i zakładów wyrabiających sztuczne włókna. Francuskie i holenderskie konsorcje zainteresowane są w budowie zakładów sztucznych nawozów i w dostawie statków morskich. Szczególnie zainteresowana w handlu z Chinami jest Francja. Już we wrześniu 1964 r. otwarta została w Pekinie francuska wystawa instrumentów precyzyjnych, a następną w o wiele większych rozmiarach urządzono we wrześniu b.r. Ta ostatnia ma zapoznać Chiny z postępem techniki francuskiej. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Chinami otwarło Francji szeroko bramę dla jej eksportu, ale nawet już wcześniej n.p. w latach 1961—1963 eksport produktów zbożowych wynosił około 600,000 ton rocznie. Według obliczeń francuskich rynek chiński jest zdolny do wchłonięcia rocznie importu w sumie 700 milionów dolarów, z czego, jak twierdzą, Francja zabezpieczyła już dla siebie 200 milionów.

Jak można już teraz przewidzieć, pomoc francuska dla Chin polegać będzie na pierwszym miejscu na budowie najnowszych typów rafinerii nafty, a niezależnie od tego Francja dostarczy Chinom również maszyny i aparaturę wiertniczą oraz specjalistów.

Rozbudowa przemysłu chińskiego z jednej a wzrastająca konsumpcja nafty z drugiej strony zmusza Chiny do importowania wcale pokaźnej ilości nafty z państw na zachodzie. Do czasu, przed konfliktem, głównym dostawcą były Sowiety. Jednak już w czasie swojej wizyty do Afryki, Chou-en-lai odwiedził również i Algierię i omówił już podstawy zakupu nafty algierskiej. W związku z tym odwiedził następnie Pekin Edgar Faure, imieniem francusko-algierskiej spółki eksploatacji nafty w Saharze. Po jego rozmowie z Mao-Tse-Tungiem odwiedziła w 1964 r. Paryż delegacja chińskich ekspertów przemysłu naftowego. Zaś w listopadzie 1964 r. grupa ekspertów francuskich odwiedziła Pekin. Przewiduje się zawarcie umowy na dostawę 3 milionów ton nafty algierskiej rocznie, w zamian za produkty chińskie. Cała transakcja ma być sfinansowana przez udzielenie Algerowi zwiększonych kredytów przez banki francuskie.

Niezależnie od tego Chiny prowadzą również rozmowy o budowę w stocznicach francuskich statków morskich. Innymi artykułami eksportu francuskiego są lokomotywy, wagony oraz maszyny rolnicze jak również pomoc w technicznej rozbudowie całego systemu komunikacji kolejowej.

Rozwój przemysłu zmusza obecnie Chiny do importowania rocznie 3 milionów ton nafty. Jednak okres importu nafty należy uważać tylko za przejściowy, bowiem Chiny posiadają na swym terytorium prawie niewyczerpane zasoby nafty, które 1953 r. obliczono na 20 milionów ton. Ujemną stroną eksploatacji źródeł jest fakt, że są one rozrzucone na obszarze około 2 milionów kilometrów kwadratowych, głównie w rejonach Tarimu i Dżungaru t.j. w autonomicznym Ujgurze, a więc bardzo oddalone od zaludnionych terenów nadmorskich, bo bliżej granicy sowieckiej. Tereny te cierpią na brak wody i często przechodzące burze piaskowe. Pozbawio-

ne są komunikacji kolejowej i drogowej, co zmusiło i zmusza do korzystania przeważnie z węgla.

Poszukiwania nafty datuje się od roku 1950, t.j. po roku od powstania Chin komunistycznych. Do roku 1957 poszukiwania objęły 290.000 klm. kw., a rezultatem tych prac było znalezienie jedenastu pól naftowych.

W okresie II planu gospodarczego (1958-1962) nazywanym „długim skokiem“, wykryto na terenie dalszych 480,000 klm kw. w regionie Szechranu, niedaleko miasta Nanczongu nowe źródła, co oczywiście było zasługą sowieckich inżynierów i zastosowania przez nich nowoczesnego sprzętu prospektacji. Pod koniec 1960 r, t.j. gdy Chruszczow nakazał ekspertom wstrzymanie dalszych poszukiwań, odkryto dalsze 32 bogate złoża nafty. Tu dzięki komunikacji, eksploatacja była możliwa, co tłumaczy cyfry. Tak n.p. gdy w 1950 r. wydobycie nafty na terenie całych Chin wynosiło tylko 200,000 ton metrycznych, w roku 1961 wzrosło już do 5,3 miliona, zaś w 1965 przewiduje się wydobycie 12 milionów ton. Jednak wskutek szybko rozwijającego się przemysłu, kraj zmuszony jest pokrywać deficyt 3 milionów ton z importu. Tu rozwój głównie przemysłu stalowego zapewnił Sowiетom stale rosnącą dostawę produktów naftowych, głównie gazoliny. Tym tłumaczy się też bardziej powolna rozbudowa przez Sowiety rafinerii nafty, na co Chińczycy od dawna kładli silny nacisk.

Stąd gdy w 1960 Chruszczow polecił wstrzymać dostawę gazoliny Chińczycy wprawdzie odczuli ten odwet, jednak nie tak poważnie, gdyby konflikt był wybuchł o dwa lata wcześniej, bowiem w międzyczasie zabezpieczyli sobie dostawę z innych źródeł. Sowiety natomiast zmuszone zostały do znalezienia nowych odbiorców dla nadmiaru swej nafty i tym tłumaczy się budowa t.zw. „naftociągów przyjaźni“ do Polski, Niemiec Wschodnich, Czechosłowacji i Węgier, co niezależnie od zysków ma jeszcze w większym stopniu uzależnić te państwa od Rosji i uderzyć w Rumunię, która na terenie Komekonu odważyła się sprzeciwić narzuceniu jej przez Sowiety statusu państwa rolniczego.

Jednak na plany sowieckie Rumunia zareagowała w 1963 r. zwiększe-

niem obrotów z Chinami o 10 procent i wysyłanie do Chin delegacji handlowej, wśród której była wcale liczna grupa ekspertów przemysłu naftowego. Mieli oni nadzorować eksport rumuńskiej ropy naftowej do Chin, a jednocześnie dopomóc Chinom przy budowie rafinerii ropy. W rok później Węgry zawarły z Chinami umowę o dostawę rur stalowych, lokomotyw dieslowych oraz maszyn, potrzebnych w rafineriach ropy i sprzętu dla transportu.

W 1964, o czym wspomnieliśmy już wcześniej, Chiny zabezpieczyły sobie dostawę ropy algierskiej, a jednocześnie zawarły wstępną umowę z przemysłem francuskim o wybudowanie rafinerii, zdolnej do przerobienia rocznie trzech milionów ton ropy naftowej. Francuzi dostarczą ponadto Chinom nowego rodzaju rury odporne na siarkę i nowoczesne urządzenia dla rafinerii.

W tym samym czasie Chiny zawarły jeszcze jedną umowę z Włochami o wybudowanie rafinerii ropy w Mandżurii za kwotę pięciu milionów dolarów. Anglia zaś dostarcza im rury do gazu ziemnego oraz dodatkowy sprzęt jak pompy, potrzebne w rafineriach ropy.

Jak wynika z ogłoszonych przez Chiny cyfr, rozbudowie przemysłu naftowego nadano pierwszeństwo. Plan na następne lata przewiduje nie tylko pełne pokrycie dla ich własnej gospodarki, ale również eksport nadwyżki do Japonii, gdzie zamierzają uderzyć w eksport ropy sowieckiej. Biorąc pod uwagę niezmiernie tanią siłę roboczą, nowoczesny proces rafinowania ropy i krótszy transport, plan Chin ma wszelkie widoki realizacji.

Tadeusz Radwański

Józef Garliński
„Z I E M I A”

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność” i „Matki i żony”).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

PIERWSZEGO października w zachodnio-niemieckim mieście Neustadt właściciel prywatnego przedsiębiorstwa Herr Friedrich zwołał konferencję prasową, na której ogłosił utworzenie polsko-niemieckiej spółki do handlu maszynami.

Tego samego dnia wiadomość tę podała cała prasa niemiecka.

Wpływowy dziennik Frankfurter Allgemeine Zeitung nie kryje, że było to niespodzianką zarówno dla polskich, jak i zachodnio-niemieckich kół gospodarczych. Hamburgski Die Welt wyraża przypuszczenie, że nowopowstała spółka zmonopolizuje w swych rękach handel między Polską a Niemcami Zachodnimi.

Amerykański tygodnik Time stwierdza, że zawarcie spółki jest pierwszym tego rodzaju porozumieniem między krajem komunistycznym a prywatną firmą na Zachodzie.

Utworzenie polsko-niemieckiej firmy pod nazwą „Depolma” jest wynikiem długiego procesu szukania nowych form współpracy gospodarczej między Wschodem a Zachodem, ale tworzy nowy, ważny precedens i na tym w pierwszym rządzie polega jej znaczenie.

Nowy etap współdziałania

Guenther Friedrich stoi na czele stosunkowo niewielkiej firmy „Ibag” — Internationale Baumaschinenfabric Aktiengesellschaft. Obroty tej firmy w roku ubiegłym dochodziły do 10 milionów dolarów. Jest ona „karzełkiem” w porównaniu do wielkiego Krupp’a czy Rheinstahl’a. A jednak tej firmie udało się zawrzeć kontrakt, który przy sprzyjających warunkach może przynieść milionowe dochody. Nie to jest jednak ważne. Z polskiego punktu widzenia warto się zastanowić nad zakresem i formami współpracy zachodniej firmy prywatnej z państwowym „Polimexem”. Oba te przedsiębiorstwa powołują nową firmę „Depolma” z siedzibą w Niemczech Zachodnich i podlegającą niemieckim prawom. „Polimex” wpłaca jednak 55% kapitału, „Ibag” 32,5% a resztę prywatnie Herr Friedrich. Kapitał zakładowy wynosi 200,000 marek.

Firma ma charakter handlowy, nie wytwórczy. Jej głównym celem jest zbieranie w Niemczech Zachod-

WSCHÓD I

nich zamówień na maszyny produkowane w Polsce według specyfikacji, a często i dokumentacji niemieckiej. „Depolma” będzie również organizować współpracę między zakładami przemysłowymi obu krajów oraz w dziedzinie planowania produkcji i sprzedaży maszyn. Firma zamierza również spełniać rolę pośrednika w transakcjach z krajami trzecimi.

Zakres jej działania obejmuje więc poraz pierwszy wszystkie dotychczasowe próby współpracy handlowej i produkcyjnej między światem komunistycznym a Zachodem.

Trochę historii

W okresie rządów Stalina kraje bloku komunistycznego nie przywiązywały zbyt wielkiego znaczenia do handlu zagranicznego. W pierwszych latach powojennych, mniej więcej do 49 roku Polska eksportowała na Zachód przede wszystkim węgiel, a sprowadzała urządzenia przemysłowe i maszyny. Wartość wywożonego węgla wynosiła więcej niż połowę ogólnej wartości ówczesnego eksportu polskiego.

Wynikało to z dwóch faktów: po pierwsze Polska, podobnie jak inne kraje komunistyczne nie miała wiele do zaoferowania na eksport na rynki zachodnie. Po drugie — wszystkie kraje komunistyczne prowadziły gospodarkę autarkiczną bazującą na samowystarczalności. Budowano gospodarcze repliki systemu sowieckiego, nie mając oczywiście do tego ani warunków geograficznych, ani gospodarczych.

Okres ten zakończył się z przyjęciem Chruszczowa do władzy. Ówczesne władze sowieckie, zaniepokojone niezwykle szybkim rozwojem gospodarczym krajów zachodnich, szczególnie Ameryki i Wspólnego Rynku, podjęły decyzję zasadniczego zreorganizowania systemu współpracy gospodarczej bloku komunistycznego.

W maju 58 roku ogłoszono zasadę „międzynarodowego podziału pracy” i utworzenia jednolitego rynku. We wrześniu 62 roku Chruszczow ogłosił na łamach „Problemów Pokoju

i Socjalizmu“ trzy zasady integracji gospodarczej krajów należących do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej -RWPG. Zalecił on: utworzenie władzy ponad-narodowej, podjęcie wspólnych inwestycji i całkowitą koordynację planów inwestycyjnych

Niepowodzenie tych projektów, znane najlepiej na Zachodzie z przykładu „herezji rumuńskiej“, skłoniło rządy komunistyczne krajów Europy Wschodniej do szukania szerszych kontaktów z krajami zachodnimi. Na tę decyzję, podejmowaną zresztą stopniowo i z zastrzeżeniami, wpłynęło też wiele innych czynników jak stopień rozwoju gospodarczego poszczególnych krajów, które wyszły z okresu budowy „socjalistycznej bazy przemysłowej“ i weszły w okres bardziej zróżnicowanej gospodarki, czy też presja społeczeństw domagających się poprawy warunków bytu w dwadzieścia lat po zakończeniu wojny.

Formy współpracy gospodarczej

W miarę rozwoju handlu zagranicznego między Wschodem i Zachodem zmieniały się formy współpracy gospodarczej. Kraje komunistyczne odczuwają stały brak kapitałów, środków płatniczych w wymianie z Zachodem, tradycji handlowych i ustalonych rynków zbytu.

W pierwszych latach ożywienia stosunków handlowych Polska, podobnie jak inne kraje bloku sowieckiego próbowała zawierać z krajami zachodnimi umowy wiązane. Polegały one na tym, że zakup towarów na Zachodzie uzależniony był od sprzedaży towarów polskich w krajach Zachodnich. W praktyce zmieniło się to w najbardziej prymitywne formy handlu wymiennego. Dochodziło do tego, że polskie centrale handlu zagranicznego kupując np. maszyny w Anglii starały się obarczyć kontrahenta sprzedażą na rynku angielskim np. polskich konserw mięsnych. Przy umowie wiązanej było to warunkiem zawarcia transakcji. Polska chciała w ten sposób wyrównać brak środków płatniczych. W rezultacie sprzedając swe towary za pośrednictwem firmy nie

zainteresowanej w stałych dostawach tych produktów i robiącej to z niechęcią, byle się pozbyć kłopotu, Polska nie zdobywała dla siebie stałych rynków zbytu, nie tworzyła własnej sieci handlowej.

Tego rodzaju umowy zawierane są jeszcze teraz, ale ich miejsce zastępują powoli inne formy handlu i współpracy gospodarczej.

Wspólna produkcja przemysłowa

W lutym 65 roku dyrektor generalny wielkiej zachodnio-niemieckiej firmy Krupp, Bertholt Beitz, oświadczył na konferencji prasowej w Waszyngtonie, że zawarł z władzami polskimi porozumienie co do zasad utworzenia wspólnych przedsiębiorstw przemysłowych na terenie Polski.

W kilka dni później Trybuna Ludu zaprzeczyła tym wiadomościom i dotychczas nie wiemy czy i jakie porozumienie będzie zrealizowane. Niemniej Beitz zainicjował nową formę współpracy gospodarczej, która rozwinęła się już dość poważnie z innymi krajami i innymi firmami.

Dyrektor Generalny Krupp'a chciał rozwiązać własny problem nadmiaru kapitałów a braku rąk do pracy. Najprostszym rozwiązaniem było by sprowadzanie robotników z Polski, gdzie istnieje nadmiar sił roboczych, krótko mówiąc bezrobocie. Było to jednak z wielu względów politycznych a nawet psychologicznych niemożliwe. Wpadł więc na pomysł eksportu fabryk z Niemiec do Polski, względnie niektórych działów fabryk. Ta myśl wyraża istotę wszelkich projektów określonych na zachodzie mianem „ko-produkcji“.

Zawierając tego rodzaju umowy firma zachodnia zyskuje nie tylko nowe „ręce do pracy“, ale również obniża znacznie koszty inwestycji i zdobywa rynki zbytu na Wschodzie.

Korzyści gospodarcze kraju komunistycznego są również duże: zdobycie dodatkowych stanowisk pracy bez własnych nakładów kapitało-

wych, zdobycie rynków zachodnich poprzez partnera i udział w zyskach, oraz, co najważniejsze — patenty, dokumentacje i rozwiązania techniczne produkcji. Słowem — modernizacja.

Umowy o wspólnej produkcji przybierają różne formy. Oto trzy najważniejsze przykłady:

1) Podejmowanie wspólnych inwestycji w krajach trzecich. Polska buduje przy współudziale firmy Krupp fabrykę cementu w Jugosławii. Węgry i Austria budują siłownię w Indiach, Bułgaria buduje statki rybackie na zamówienie i według specyfikacji Kruppa dla Abisynii.

2) Produkowanie części i komponentów przez kraj komunistyczny na użytek firmy zachodniej. Szwedzka firma Elektrolux zamawia w Polsce metalowe skrzynki do lodówek. Inna firma szwedzka IKBA kupuje w Polsce meble w stanie surowym produkowane na maszynach i według wzorów szwedzkich. Niektóre polskie fabryki mebli stały się w praktyce produkcyjnej filiami firmy szwedzkiej.

3) Najdalej idącą formą współpracy jest podejmowanie wspólnych inwestycji na terenie kraju komunistycznego. Takie inwestycje proponuje właśnie Krupp.

Dotychczas władze komunistyczne broniły się przed przyznaniem, że chodzi tu o wspólną własność „kapitalistyczno-komunistyczną.“ Mówiło się więc o „wspólnym zarządzie“. Obiekty przemysłowe miałyby po dłuższym okresie czasu przechodzić na własność państwa komunistycznego.

Umowa zawarta ostatnio przez „Polimex“ z zachodnio-niemiecką firmą „Ibag“ i jej dyrektorem Friedrich'em nie ukrywa już, że jest to spółka właściwego typu „par excellence“ kapitalistycznego.

Jak już powiedzieliśmy spółka ma w zasadzie charakter handlowy, ale zawarta umowa przewiduje rozszerzenie działalności na produkcję, podejmowanie sub-kontraktów i wspólnych inwestycji zagranicznych.

W dodatku spółka ma siedzibę na Zachodzie.

Znaczenie nowych umów

Umowy o wspólnej produkcji przemysłowej między krajami Europy

Wschodniej i Zachodniej stają się stopniowo zjawiskiem powszechnym. Objęły już one, obok Polski, Rumunię, Węgry, Czechosłowację i Niemcy Wschodnie. Mówi się o nich w Bułgarii, a nawet w Sowietach. Dotychczas zawierane były między poszczególnymi przedsiębiorstwami: państwowymi z jednej strony, prywatnymi z drugiej. Ostatnia umowa handlowa zawarta między Polską a Włochami i podpisana w Warszawie 14 lipca br. zawiera poraz pierwszy porozumienie państwowe w tej dziedzinie. To nowa forma współpracy, choć nie wiadomo jeszcze w jaki sposób rząd włoski zamierza skłonić firmy prywatne do zawierania umów o wspólnej produkcji z Polską. Sądząc zresztą z przykładów niemieckich i szwedzkich nie powinno być z tym trudności. Za zawieraniem takich umów wypowiedział się w czasie swej niedawnej wizyty w Polsce brytyjski minister Spraw Zagranicznych Stewart.

Wynika z tego jasno, że obie strony uważają je za korzystne. Warto się jednak zastanowić jakie jest ich znaczenie zarówno z gospodarczego jak i politycznego punktu widzenia.

Korzyści gospodarcze wypada tylko podsumować: zatrudnienie zbędnych rąk roboczych — problem, który w Polsce jest szczególnie dotkliwy, uzyskanie dodatkowych mocy produkcyjnych, podniesienie poziomu technicznego, zdobycie nowych rynków zbytu, a tym samym znaczne złagodzenie problemu braku dewiz.

Konsekwencje polityczne są bardzo poważne, choć dwojakiego rodzaju. Umowy o wspólnej produkcji zwiększają niewątpliwie potencjał gospodarczy państw komunistycznych. Tym samym w pewnym zakresie umacniają rządy w tych krajach i utrwalają stabilizację stosunków.

Są to z naszego punktu widzenia minusy, jest to „wykalkulowane ryzyko“. Wykalkulowane dlatego, że umowy o wspólnej produkcji mogą zapoczątkować nowy proces nie tylko gospodarczy, ale i społeczny, a co za tym idzie polityczny. Przyczyn

BILETY

KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

nią się do podniesienia dobrobytu ludności — Beitz nalegał na znaczne podwyższenie zarobków robotników, podniosą i utwierdzą znacznie fachowców kosztem aparatczyków. A co najważniejsze, przełamią izolację społeczeństwa od Zachodu.

Są to wszystko przypuszczenia daleko idące, może zbyt daleko idące. Ale rozważając użyteczność nowych form współpracy gospodarczej między Wschodem a Zachodem — warto o nich pamiętać. Warto przemyśleć, czy fakt ewolucji stosunków między Wschodem i Zachodem nie otwiera nowych możliwości i nie zapoczątkowuje nowych procesów, które mogą wprowadzić utwierdzić stabilizację panujących dziś stosunków, ale równie dobrze mogą ją naruszyć i zmienić.

J. Krok-Paszowski

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie

rozpoczyna drugi rok swej
działalności

Po letnim okresie wakacyjnym, który dla Ośrodka nie minął zresztą beczynnie praca w tej organizacji weszła w nowy etap jej poczyną. Zapoczątkowany on został decyzją przyznającą P.O.S.K. uprawnienia organizacji charytatywnej, co z kolei umożliwiło wszczęcie podstępowania o formalne przejęcie przez Ośrodek domów Stowarzyszenia Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego (Polish University College Association Ltd.) oraz domów Stowarzyszenia Techników Polskich w W. Brytanii. Aby transakcja mogła być formalnie przeprowadzona konieczna jest w wypadku domów P.U.C.A. Ltd. zgoda Komisji (Charity Commission), która z ramienia państwa nadzoruje organizacje charytatywne. Sprawa ta jest w ręku adwokatów P.O.S.K. i załatwienie jej wymaga szeregu czynności formalnych, które mogą potrwać pewien czas.

Dnia 6 października br. minął rok od powstania Polskiego Ośrodka. W związku z tym Zarząd P.O.S.K. wydał czwarty Komunikat Informacyjny pt. „U progu drugiego roku“, w którym szczegółowo informuje o wynikach dotychczasowej pracy, podaje imienną listę wszystkich członków oraz wysokość wpłaconych przez nich kwot na rzecz Ośrodka, a nadto omawia niektóre zasłyszane opinie i zastrzeżenia, jak również wyjaśnia wątpliwości wysuwane w dyskusjach różnego rodzaju zespołów na tematy związane z P.O.S.K. Komunikat ten, jak i poprzednie komunikaty sekretariat P.O.S.K. (9, Princes Gardens, London, S.W.7) wysyła wszystkim zainteresowanym bezpłatnie na życzenie.

Ostatnio ukazały się w prasie artykuły dyskusyjne omawiające bądź bezpośrednio działalność i cele Polskiego Ośrodka, bądź też nie wymieniając tej organizacji poruszające tematy i zagadnienia będące celem i treścią poczyną P.O.S.K. Zarząd Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego prosi o podejmowanie dyskusji i okazywanie jak najszerzego zainteresowania problemami związanymi z Ośrodkiem.

Czy wybuchy wodorowe są szkodliwe dla ludzkości?

Z zagadnień fizyki jądrowej

Oczywiście tak. Skutki wybuchów bomb termojądrowych przenoszą się za pośrednictwem atmosfery na wszystkie punkty na kuli ziemskiej. Jeśli wybuchy bomb będą częste i to nawet bomb o małej zawartości substancji radioaktywnych powstanie niebezpieczeństwo zmian fizycznych, chemicznych i biologicznych warunków naszego życia. Szczególnie niebezpieczny jest wpływ tych wybuchów na genetykę, a więc rozwój przyszłych pokoleń oraz ze względu na tworzenie się w atmosferze trujących związków chemicznych. Niebezpieczeństwo genetyczne wiąże się z izotopem węgla o symbolu C14. Jest to izotop promieniotwórczy, którego czas połowiczny rozpadu wynosi 5720 lat. Jądra jego atomów wyrzucają w czasie rozpadu cząstki Beta i przekształcają się w jądra atomów innego pierwiastka — azotu. Węgiel C14 można także otrzymywać za pomocą cząstek Alfa i azotu N14, za pomocą neutronów. Ta ostatnia reakcja wskazuje nam, że izotop węgla C14 można otrzymać z azotu znajdującego się w dużych ilościach w atmosferze ziemskiej. Mając więc do dyspozycji duże ilości neutronów, możemy produkować spore ilości izotopu C14.

Stwierdzono, że każdemu wybuchowi bomby jądrowej towarzyszy pojawienie się obok innych substancji promieniotwórczych również znacznych ilości węgla C14. Nic dziwnego — bomby jądrowe są potężnymi źródłami neutronów. Co się jednak dzieje z tymi promieniotwórczymi jądrami? Oczywiście ulegają one stopniowemu rozkładowi promieniotwórczemu. Rozpad ten następuje jednak bardzo powoli. Dopiero po 5720 latach rozpadnie się połowa wytworzonych atomów, a po upływie dalszych 5720 lat połowa pozostałej połowy itd. Przez długie więc tysiące lat wytworzone atomy C14 będą brać udział we wszystkich związkach chemicznych znanych na ziemi na równi z atomami węgla niepromieniotwórczego i będą przynikać do komórek naszych organizmów. Gdy promieniotwórcze atomy znajdują się w naszym organizmie w dużych ilościach, natychmiast zaczną oddziaływać na budowę komórek — będą bombardować ich wnętrza za pomocą prędkich elektronów. Atomom będzie przecieżyć wszystko jedno, gdzie się rozpadają.

Szczególnie ważne dla naszego bytu może być osadzanie się promieniotwórczych atomów węgla w komórkach naszego organizmu, co z kolei może doprowadzić do zmiany ich budowy i w konsekwencji do zwyrodnienia naszego gatunku. Ta groźba oczywiście istnieje tylko wtedy, gdy nastąpi duża koncentracja w organizmach. Małe ilości nie stanowią niebezpieczeństwa. Każdy

z nas posiada w swoim organizmie nieznaczne ilości węgla C14, wchłanianego z atmosfery wraz z powietrzem przy oddychaniu, które pochodzi z bombardowania cząstek powietrza przez promienie kosmiczne.

Drugim poważnym niebezpieczeństwem, które towarzyszy nawet bardzo odległym wybuchom bomb wodorowych — to niebezpieczeństwo tworzenia się na ziemi trujących związków chemicznych. W odróżnieniu od pierwszego nazwijmy je niebezpieczeństwem katalitycznym. Niebezpieczeństwo katalityczne wydaje się jeszcze bardziej groźne niż niebezpieczeństwo genetyczne. Otóż w naszej atmosferze pod wpływem energii wyzwolonej przy wybuchach bomb jądrowych może nastąpić połączenie chemiczne pierwiastka azotu i tlenu w tlenek azotu, który jest trujący. Bomba jądrowa umożliwia właśnie zajście tej reakcji chemicznej. Teraz w obliczu skażenia naszej atmosfery promieniotwórczością od wybuchu bomb jądrowych, wzmagają się również niebezpieczeństwo zajścia tej reakcji chemicznej. Izotopy promieniotwórcze mogą bowiem działać jako czynniki wywołujące tę reakcję. W atmosferze może pojawić się duża ilość kwasu azotowego, która doprowadzi do zniszczenia roślinności. Zaś brak roślinności jest równoważny ze śmiercią zwierząt i ludzi. W wielu krajach stwierdzono już, pewien wzrost kwasowości deszczu — dzisiaj jest on jeszcze mało niebezpieczny. Często z doniesień prasowych dowiadujemy się, że tu czy ówdzie spadł deszcz promieniotwórczy. Komunikaty te pochodzą czasami z krajów położonych po przeciwnych stronach kuli ziemskiej, niż mieszczą się poligony doświadczalne dla wybuchów jądrowych. Samoloty-laboratoria, które nad wieloma krajami stale szukają chmur promieniotwórczych, podają czasami niepokojące wyniki poszukiwań. Nad Francją np. wykryto już kilkakrotnie na wysokości 3 tysięcy metrów roje promieniotwórcze pyłów, który z wielką szybkością przesuwa się w różnych kierunkach, pędzony wiatrami. Chmury promieniotwórcze pochodzą od wybuchów jądrowych. Mogą one przebywać olbrzymie przestrzenie, mogą nawet kilkakrotnie okrążyć ziemię. Czasami napotykać chmury deszczowe i wówczas substancje

promieniotwórcze kończą swą wędrówkę i opadają. Mówimy wówczas o deszczach promieniotwórczych lub radioaktywnych. W Stanach Zjednoczonych stwierdzono silną promieniotwórczość łąk na kilku farmach; już nie będzie można na nich wypasać bydła. Jest to przypadek jeszcze niezbyt groźny, lecz sygnalizujący wielkie niebezpieczeństwo.

Odnalezienie Neutrino

Neutrino jest chyba jednym z najbardziej tajemniczych z 30 składników atomu dotychczas odkrytych. O istnieniu jego wiadomo było od przeszło 20 lat, ale dopiero w roku 1956 fizycy atomowi natrafili na jego ślady w pozostałościach po reakcji atomowej przeprowadzonej w laboratorium.

Czym właściwie charakteryzuje się neutrino? Otóż wiadomo jest, że cząsteczka ta porusza się z szybkością światła, nie posiada masy ani ładunku elektrycznego i penetruje masę ołowiu o grubości 160 milionów kilometrów bez jakiegokolwiek oporu. Wiadomo jest także, że każdy centymetr kwadratowy kuli ziemskiej jest bombardowany bilionem neutrino w ciągu sekundy. W poszukiwaniu tych właśnie, naturalnie istniejących neutrino, amerykański fizyk atomowy dr F. Reines z Cleveland Case Institute of Technology udał się do Południowej Afryki, gdzie zainstalował swoje laboratorium w krypcie, na głębokości 3 kilometrów w starej kopalni złota. Rozumował on, że tylko cząsteczki neutrino będą zdolne przebić się przez tak grubą warstwę ziemi, reszta zaś promieni kosmicznych będzie zatrzymana. Ściany swego podziemnego laboratorium obstawił puszkami zawierającymi olej mineralny. Rozumował on dalej, że neutriny rozbijają atomy skały, w której znajduje się laboratorium, spowodują powstanie cząsteczek zwanych mezonami, które z kolei penetrując oliwę spowodują jej iskrzenie się (scintillations). Oczekiwanie nie zawiodło Dr Reinesa, udało mu się wykryć 7 naturalnych neutrino.

Oczywiście jest to bardzo niewiele w porównaniu z ilością, która bombarduje kulę ziemską, ale jest to bardzo poważny krok naprzód. Neutriny, których obecność w promieniowaniu udało się wykryć doświadczalnie, posiada-

ją energią rzędu 10 bilionów eletrowolt i powstały prawdopodobnie przez zderzenie się promieni kosmicznych z atmosferą ziemską. Dużo wyższy ładunek energii stanowi właściwie jedyną różnicę pomiędzy naturalnymi i sztucznymi neutronami. Doświadczenia te są olbrzymim krokiem naprzód, otwie-

rającym drogę dalszym dociekanom w zrozumieniu kompleksów natury i materii.

Ciekawym jest, czy uczeni potrafią dowiedzieć, że neutryny są końcowym produktem, lub inaczej mówiąc — popiołem rozpadającej się materii, lub też podstawowym składnikiem w tworzeniu nowej materii.

W. Lewandowski

KONGRES HISTORYKÓW W WIEDNIU

W Muzeum im. gen. Sikorskiego odbyło się zebranie publiczne Polskiego Towarzystwa Historycznego w W. Brytanii poświęcone sprawozdaniu z XII Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych w Wiedniu, który odbył się w sierpniu br. Zagajając obrady gen. M. Kukiel wskazał, iż w porównaniu do poprzednich w Warszawie, Zurichu (przed wojną), Paryżu, Rzymie i Sztokholmie, ostatni wiedeński był najbardziej imponujący. Wzięło w nim udział 2270 historyków i był on najgruntowniej pod względem naukowym przygotowany. Mówca wskazał przy tym na 4 grube tomy „rapports“ (referatów) na stole prezydalnym, które były substratem wszystkich dyskusyj kongresowych.

Gen. Kukiel wskazał z kolei na trudności, jakie mieli historycy emigracyjni z sprawą dopuszczenia do obrad kongresowych, z uwagi na zmiany jakie zaszły w organizacji Komisji Studiów Słowiańskich. Niemniej z różnych tytułów (jako przedstawiciele uniwersytetów, dawni członkowie komisji itp.) zostali zaproszeni, ale jedynie prof. O. Halecki był pełnoprawnym członkiem jako jeden z przedstawicieli Watykanu i wchodził do Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. To pozwoliło mu na wgląd w olbrzymią organizację obrad i możliwość występowania w krytycznych momentach, dzięki też starannemu oponowaniu przygotowanego materiału. Do wystąpień miał wielokrotne okazje, gdy tylko była konfrontacja między Wschodem i Zachodem, między cywilizacją chrześcijańską i zmaterializowaną, odczłowieczoną historiografią.

Z odczytanego sprawozdania prof. Haleckiego z Kongresu wynikało, iż historycy polscy z emigracji mogli brać udział w drugiej części poszczególnych dyskusji, na którą zwykle nie było już dość czasu. Mocniejsze stanowisko mieli delegaci z Kraju, jak prof. Gieysztor, wiceprezes Komitetu Międzynarodowego czy prof. Wolski. Przemawiając na otwarciu w sali Opery Wiedeńskiej, w Burg Theater składał

w imieniu Uniwersytetu Jagiellońskiego życzenia młodszemu o rok Uniwersytetowi Wiedeńskiemu, który w tym roku obchodził swe 600-lecie. Historycy z Kraju złożyli Kongresowi Księgę Zbiorową na 400 stron, lepszą od analogicznych, złożonych w Rzymie lub Sztokholmie. Omawiała ona w drugiej połowie nie bezkrytycznie dorobek ostatnich 10 lat historiografii polskiej. Z tytułowana była: „La Pologne au XII Congres des sciences historiques à Vienne“.

Podniesiony został następnie wydatny udział historyków marksistowskich, którym przewodzili delegaci sowieccy. Przedstawili oni 5 ważnych raportów. Przez zręczne zachowanie się na kongresie potrafili zyskać sobie sympatię i stworzyć atmosferę dla przyjęcia propozycji urządzenia następnego kongresu w Moskwie. Gen. Kukiel omówił następnie przygotowanie w ciągu trzech miesięcy poprzedzających Kongres specjalnego zeszytu Tek Historycznych, na które złożyły się prace prof. Haleckiego zawierające syntezę Tysiąclecia Polski i Austrii oraz mówiące o miejscu ludów słowiańskich w Europie Środkowej i Wschodniej oraz prace członków delegacji z Londynu: prof. L. Koczego, płk. A. Sawczyńskiego, gen. M. Kukieła i prof. T. Komarnickiego.

Po omówieniu kilku przykładów wpływów marksistowskiej historiografii wspomniano przykłady pominięcia spraw polskich, np. przy omawianiu konfederacji, nie było polsko-litewskiej, co wytknął dopiero historyk niemiecki Rhode. W ogóle choć marksści byli w mniejszości i stanowili zaledwie grupę 372 na 1564 z Zachodu, to jednak zdołali niejednokrotnie zmajoryzować i pokierować według swoich postulatów obrady. Ze strony historyków zachodnich bowiem, nie było żadnej uzgodnionej koncepcji do przeciwstawienia.

Sprawę tę szczegółowo oświetlił prof. Koczy. Wskazał on przy tym, iż na kongresie zarysował się kryzys, zarówno rozwojowy, naukowy, jak i strukturalny. Genezy jego mówca upatruje w przemianach jakie nastąpiły od po-

czątku XIX wieku w ustosunkowaniu się do zagadnień słowiańskich, przechodząc przez fazę filologiczną, potem historyczną, a ostatnio i archeologiczną. Gdyż w argumentach archeologicznych szukają ostatnio Sowiety poparcia dla swoich tez, z braku argumentów w źródłach pisanych.

Prof. Komarnicki omówił następnie dyskusje, jakie toczyły się na kongresie w zakresie najnowszej historii, przy czym historycy marksistowscy występowali przeciw zbytnej eurocentryzmowi w traktowaniu dziejów na rzecz ogarnięcia badaniami również kontynentu afrykańskiego, południowoamerykańskiego i azjatyckiego. Wreszcie p. G. Tomiak omówił zagadnienia oświatowo-kulturalne poruszone na kongresie oraz ruchów oporu, przy czym wysunięty był postulat włączenia tych ruchów do ogólnej historii wojny.

Przed dyskusją gen. Kukiel omówił jeszcze prace komisji historii wojskowej na kongresie, która również uległa dezorganizacji przez śmierć poprzednich jej kierowników. Z założycieli jej pozostał jedynie gen. Kukiel. Niemniej na komisji tej panowała nadal prawdziwa atmosfera naukowa. Na komisji tej gen. Kukiel miał odczyt o ustosunkowaniu się wojsk austriackich do powstania styczniowego.

W dyskusji zabrał głos m. in. prof. H. Paszkiewicz, który wystąpił z zasadniczą krytyką koncepcji wielkich kongresów międzynarodowych, które nie przyczyniają się do rozwoju nauki, a dają powód do zwiększającego się pesymizmu w związku z rolą, jaką na nich odgrywiają historycy sowieccy lub w ogóle marksistowscy. Sam nie mógłby brać udziału w kongresie, aby nie dawać przeciwnikom jego koncepcji na temat historii Rosji okazji do ataków na które nie mógłby — ograniczony do kilku minut — dać właściwej odpowiedzi.

Zdaniem mówcy kongres w Wiedniu był ostatnim, w którym historycy emigracyjni mogli wziąć udział. Na kongresie mokiewskim obecność ich będzie — jak przewiduje też prof. O. Halecki — niemożliwa.

J. O. N.

WPLACILI DO NASZEGO PRZEDSTAWICIELSTWA W PARYŻU NA LEKARSTWA DO KRAJU

6954 L. S. Ln. Det. (Ppłk. A. Potoczek) F. 67,00, 4088 L. S. Co. (Por St. Koziowski) F. 40,00, 4013 L. S. Co. (Kpt. J. Jaworski) F. 73,50, 4096 L. S. Co. (Kpt. M. Nomark) F. 45,00, 4507 L. S. Co. (Mjr. Kroja-Kopeć) F. 100,00.

Serdecznie dziękujemy!

Wspomnienie o Aleksandrze Kawałkowskim

Dnia 19 sierpnia 1965, zmarł nagle na terenie Szwajcarii, gdzie spędzał okres swych wakacji, na atak serca śp. Aleksander Kawałkowski.

Urodzony w Warszawie, dnia 8 sierpnia 1899, należał do grona młodego pokolenia piłsudczyków i w listopadzie 1918 roku zgłosił się jako młody człowiek, do formującego się Wojska Polskiego, poświęcając się karierze wojskowej.

Ukończywszy szkołę podchorążych w 1920 roku, zostaje mianowany podporucznikiem oraz instruktorem i wykładowcą w szkole podchorążych piechoty.

W roku 1925 wstępuje do Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie, którą ukończył w roku 1927 w stopniu kapitana. Od 1 października 1927 do 1 października 1932, jako kapitan dyplomowany pracuje w Wojskowym Instytucie Historycznym. W okresie tym zarysowuje się w Jego charakterze specjalne zamiłowanie do studiów historycznych oraz dyplomatycznych, między innymi przeprowadza studia okresu Wojen Napoleońskich i staje się jednym z poważnych znawców tego okresu i tej epoki.

Opuszczając w październiku 1932 służbę wojskową w Wojsku Polskim, obejmuje stanowisko Dyrektora Departamentu w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia Publicznego w Warszawie.

Zamiłowania śp. Aleksandra Kawałkowskiego do studiów i prac w dziedzinie polityczno-dyplomatycznej, skłania Go do przejścia do Polskiej Służby Dyplomatycznej.

W roku 1936, zostaje mianowany Konsulem R. P. w Paryżu, a we wrześniu 1937, Konsulem Generalnym R. P. w Lille oraz Radcą Emigracyjnym przy Ambasadzie R. P. w Paryżu i na tym stanowisku zastaje śp. Aleksandra Kawałkowskiego, ostatnia wojna.

W tym okresie, przejścia do Polskiej Służby Dyplomatycznej, miałem możliwość zetknąć się bliżej ze śp. Aleksandrem Kawałkowskim i ocenić, jak wielką pracę, z wrodzonym sobie talentem i energią dał ze siebie z pożytkiem dla sprawy polskiej na terenie Francji.

W momencie wybuchu wojny, mianowany Delegatem Cywilnym Ambasady RP. w Paryżu, do spraw wojskowych, potrafił dzięki swej energii i szacunkowi, którym był otaczany na terenie Północnej Francji, zorganizować, nie-

mal masowy zaciąg ochotniczy, wśród licznej kolonii polskiej na tym terenie, do tworzącej się Armii Polskiej.

Zaciąg ten pozwolił uzupełnić poważnie szeregi Brygady Podhalańskiej, która walczyła pod Narvikiem oraz utworzenie Pierwszej Dywizji Grenadierów i Drugiej Dywizji Strzelców na terenie Francji.

Obydwie te jednostki Wojska Polskiego, odznaczyły się specjalnie bohater czyny udział w walkach na terenie Francji.

Po zakończeniu działań wojennych — pozostaje na terenie Francji — jako radca Ambasady RP w Paryżu i Vichy, do spraw specjalnych.

W porozumieniu z Akcją Kontynentalną w Londynie, organizuje Polską Organizację Walki o Niepodległość (P. O. W. N.) na terenie Francji, Belgii i Holandii i zostaje mianowany Szefem Głównym tej organizacji oraz Tajnym Delegatem Rządu RP w Londynie na terenie Francji.

Wkłada w tym okresie w powierzoną mu pracę, całą swą energię i znajomość ludzi, tak potrzebną w tajnych pracach, jakie miał do wykonania przed sobą P. O. W. N.

Poszukiwany wielokrotnie przez Gestapo, jak również przez policję francuską z okresu rządów w Vichy, udaje mu się dzięki szczęśliwemu przypadkowi uniknąć aresztowania.

Awansowany dwukrotnie, ostatnio 23 września 1944 do stopnia podpułkownika, odznaczony zostaje Krzyżem kawalerskim „Virtuti Militari“ oraz złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. W momencie uwolnienia Paryża — przebywając tam od pewnego czasu w końcu sierpnia 1944 roku, obejmuje wraz z oddziałami P. O. W. N. uwolnione przez Niemców gmachy stanowiące własność Rządu Polskiego, Ambasady, Konsulatu Generalnego oraz Domu Polskiego.

Mianowany we wrześniu 1944 roku Radcą Ambasady z tytułem Ministra Pełnomocnego, organizuje ją i kieruje, jako chargé d'Affaires, do czasu przyjazdu Ambasadora przy Rządzie Francuskim Kajetana Morawskiego.

Opuszcza to stanowisko w dniu 5 lipca 1945 w momencie uznania przez Rząd Francuski, nowych władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Działalność pisarską rozpoczął śp. Aleksander Kawałkowski na terenie Francji w roku 1956.

Od tego okresu do chwili zgonu 18 pozycji ogłoszonych przez Niego prac

w języku polskim, w Paryskiej „Kulturze“ na polityczne, aktualne tematy, obejmujące zagadnienia tak polskiej polityki w obecnym stadium, jak i obecnej polityki francuskiej.

Ogłasza również w kwartalniku „Politique Etrangere“ w języku francuskim, 3 poważne artykuły na tematy obecnej polityki francuskiej w zasięgu światowym.

Z ogłoszonych prac w Paryskiej Kulturze — wymieniam kilka zasadniczych jak:

„Historia Dwudziestolecia“, „U Progu Piątej Republiki“, „Polska w Drugiej Wojnie Światowej“, „Francja 1961 Roku“, „Alternatywa“, „Potwierdzona Alternatywa“, „Bitwa o Europę“, „Komekon i Europa“, „O pojednanie polsko-niemieckie“.

W kwartalniku Politique Etrangere:

„Pour une Europe independante et reunifiée“. „Vers la fin d'une double hegemonie“. „Arguments pour initiative française“.

W artykułach tych przy poważnym i gruntownym zgłębieniu tematów, ze swoistym temperamentem, stara się podać czytelnikowi swoje myśli i spostrzeżenia oraz wyciąga odpowiednie wnioski. Będąc zwolennikiem obecnej polityki francuskiej, kierowanej przez gen. de Gaulle'a, dochodzi między innymi do wniosków, jaką rolę przeznacza gen. de Gaulle — Polsce w organizacji Zjednoczonej Europy.

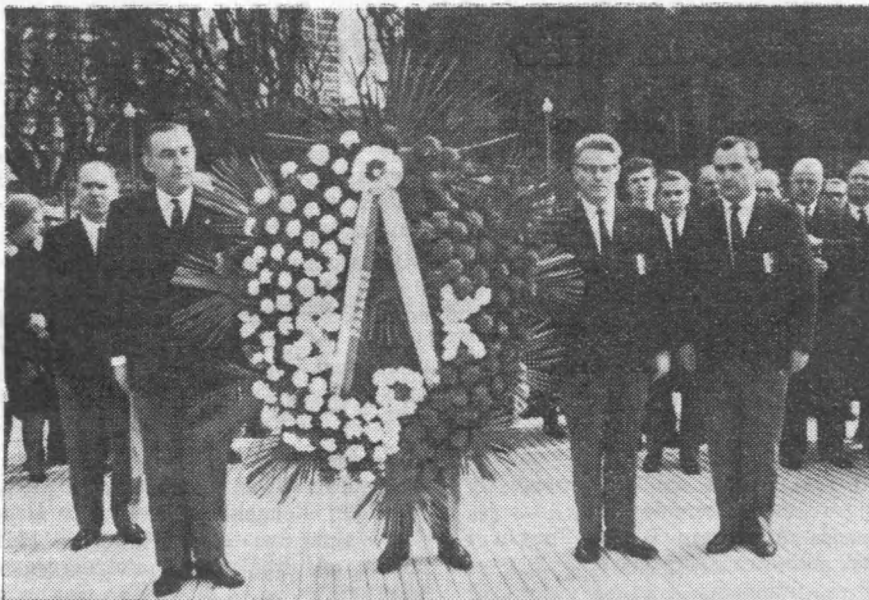
Od roku 1953 pracuje zawodowo, jako dyrektor w dziale handlu zagranicznego w firmie „Compagnie Financiere“, jak również „Compagnie Metropolitaine et D'Outre Mer“.

Będąc członkiem „Academie Internationale Libre“, nie przestaje również brać udziału w polskim życiu kulturalnym w Paryżu, jako członek „Towarzystwa Historyczno-Literackiego“ oraz jako prezes „Komitetu Miejsowego“ Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Poświęcam te kilka słów pamięci Aleksandra Kawałkowskiego, mego przyjaciela, którego śmierć niespodziewana pozbawiła środowisko obecnej polskiej emigracji politycznej, jednego z bardziej zasłużonych i do śmierci bardzo czynnych Polaków, o którym i Jego działalności, napewno pamiętać będą wszyscy, którzy Go znali.

W przyszłości pozostawione przez Niego prace, będą dokumentami polskiej myśli politycznej z tego ciężkiego okresu.

Bohdan Janikowski



W 35 rocznicę istnienia Stow. Polskich Kombatantów, dawniej Zw. b. Obrońców Ojczyzny w Argentynie przedstawiciele Stowarzyszenia złożyli wieniec przed pomnikiem wojennym. Na pierwszym planie stoją: A. Zebrowski, Z. Kulpiński, T. Czarnobrywy i A. Grynkiewicz.

„NASZA SPRAWA“

Pod powyższym tytułem ukazała się w Buenos Aires obszerna broszura z okazji 35-ej rocznicy istnienia w tym kraju Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, dawniej Związku b. Żołnierzy i Obrońców Ojczyzny.

Obok wypowiedzi i życzeń od b. dowódców oraz szeregu osób reprezentujących polskie życie społeczne w Argentynie, publikacja zawiera informacje o historii Stowarzyszenia i kilka interesujących artykułów m. in. Z. Kulpińskiego: „Żołnierz Polski w Tysiącleciu“, A. Florkowskiego: „2 Polski Korpus w Apeninach“, ks. S. Walkowskiego: „Sztandar z Ostrej Bramy“, Z. D. Białego: „Pamiętne Dnie“, F. Perekładowskiego: „Zwariowane Wojsko i Giewontowi Rycerze“, J. Zgoły: „Mel-dunek na Boska“, W. Fuksy: „W służbie Melpomeny“.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA W SOLURZE

Koło SPK w Solurze zorganizowało, podobnie jak w latach poprzednich, uroczystość święta żołnierza, która w tym roku cieszyła się dużą frekwencją Polaków mieszkających w tym ośrodku. Program obchodu obejmował: Mszę św. odprawioną przez ks. Franię i akademię z okolicznościowym programem.

Koło zorganizowało również wspólny obiad, który dostarczył okazji do spotkania towarzyskiego b. żołnierzy.

Kol. K. Vincenz, niezmordowany propagator słowa ojczystego wśród Pola-

ków szwajcarskich, również i tym razem zorganizował piękną wystawę książki polskiej.

DELEGACI SPK ORAZ INSTYTU PIŁSUDSKIEGO U GEN. SOSNKOWSKIEGO

25 września br. delegaci SPK S. Gierat, J. Krzyżanowski, K. Bendyk i W. Nurczyński oraz delegat Instytutu J. Piłsudskiego E. Kleszczyński odwiedzili gen. Sosnkowskiego z okazji 80 rocznicy jego urodzin. Delegacja SPK udekorowała generała swoją odznaką honorową, a p. Kleszczyński wręczył mu pergaminowy dyplom Rady Instytutu J. Piłsudskiego.

ODZNACZENI ZŁOTĄ ODZNAKĄ SPK

Dom Kombatanta w Londynie gościł w dniu 16 października działaczy kombatanckich odznaczonych złotą odznaką SPK z okazji święta żołnierza. W imieniu władz głównych dekoracji osób wyróżnionych dokonał prezes Federacji SPK gen. K. Ziemiński. Odznaczenia otrzymali:

Astachowicz Bolesław (z Koła 451 Bradford), Badocha Roman (372 Londyn), Bieliński Kazimierz (183 Blackburn), Buben Dymitr (174 Hereford), Dela Tadeusz (344 Oxford), Gnatowski Leon (372 Londyn), Guze Jerzy (432 Derby), Grabowski Henryk (451 Bradford), Kipp Wacław (451 Bradford), Krassowski Wacław (112 En-

field), Kraszkiewicz Włodzimierz (365 Bridgewater), Lis Franciszek (220 Penrhos), Michałowski Józef (382 Loughborough), Pacewicz Ryszard (439 Sheffield), Puszkiewicz Ryszard (469 Penley), Sobocka Anna (11 Londyn), Suchodolski January (120 Londyn), Wenzel Władysław J. (114 Londyn), Wierzbicki Władysław (106 Londyn), Żeromski Gustaw (451 Bradford).

Z tej okazji Zarząd SPK W. Brytania podejmował obecnych na uroczystości lampką wina.

RADA STOWARZYSZEŃ POLSKICH W EDYNBURGU

Konsulat reżymowy w Glasgowie usiłuje rozszerzyć zakres swego działania wśród emigracji. Mając swą siedzibę w Glasgowie, konsulat ograniczał się do penetracji wśród Polaków glosgowskich ostatnio zainteresował się Polakami w Edynburgu.

Na organizowane przez konsulat w Glasgowie przyjęcia, a było ich już kilka, zapraszani byli właściciele (Polacy) sklepów spożywczych, pod pretekstem zacieśnienia stosunków handlowych. Ostatnio odbyło się przyjęcie po raz pierwszy w Edynburgu, zorganizowane przez konsula Kwaśniewskiego, na które zostali zaproszeni ci, którzy ostatnio bawili w Polsce oraz kierownicy polskich biur podróży, których główna działalność nastawiona jest na Polskę.

Na przyjęcie przybyło ponad 30 osób. Amatorzy „czystej wyborowej“ nie zawiedli się. Pomimo bardzo intensywnej konsumpcji, napoju tego na przyjęciu nie zabrakło. Po paru kolejkach konsul zasypał zebranych na przyjęciu szeregiem pytań, związanych z ich pobytem w kraju: co im się podobało, a co nie podobało?, czy mają jakieś zastrzeżenia co do hoteli?, czy mają jakieś zastrzeżenia co do odpraw celnych? itp. Wątpić należy, czy z otrzymanych odpowiedzi konsul był zadowolony, bo zastrzeżeń i krytycznych uwag posypało się mnóstwo.

Ale nie o to przecież chodzi — urządzanie mocno zakrapianych przyjęć i inne względy mają na celu, co nie mogło ująć uwadze polskich organizacji społecznych w Edynburgu. Rada Stowarzyszeń Polskich postanowiła bliżej zainteresować się działalnością konsulatu i na specjalnie zwołanym zebraniu zastanowić się na środkami zaradczyimi. Rozwiązanie tego zagadnienia znacznie ułatwił przedstawiciel* miejscowego Koła SPK, dr St. Mglej, który odczytał pismo okólne Zarządu Oddziału SPK W. Brytania, następującej treści:

Z życia Polaków w świecie

Zostaliśmy powiadomieni, że zdarzały się wypadki, wprawdzie nie liczne, że niektórzy Koledzy, członkowie SPK, brali udział w okolicznościowych przyjęciach organizowanych przez konsulaty komunistycznego reżymu warszawskiego.

Ponieważ tego rodzaju postępowanie jest nie tylko sprzeczne z założeniami ideowymi i statutowymi SPK,

lecz również jest wyrazem niełojalności w stosunku do olbrzymiej większości Kolegów zdecydowanie odcinających się od komunistycznych władz Polskiej Republiki Ludowej, Zarząd SPK w W. Brytanii uprzejmie prosi o powiadomienie wszystkich członków Kół indywidualnie, że tego rodzaju postępowanie jest niedopuszczalne i pociągnie za sobą konsekwencje organizacyjne, wynikające ze statutu SPK i założeń ideowych Stowarzyszenia.

Po odczytaniu tego pisma Rada Stowarzyszeń Polskich nie zastanawiała się już dłużej nad tym zagadnieniem, przyjmując to pismo za podstawę do uchwalenia odpowiedniej rezolucji i zaleceń dla stowarzyszeń wchodzących w skład Rady.

S. B.

PONAD STO TYSIĘCY FLORENÓW ZEBRANO W HOLANDII DLA GENERAŁA MACZKA W RAMACH RADIOWEJ AKCJI ZBIÓRKOWEJ „OD SERCA“

Nie ma chyba kraju, w którym by pamięć Polaków czczona była z większym pietyzmem, niż w Holandii. Świadczą o tym nadzwyczaj starannie utrzymane groby żołnierzy polskich, liczne pomniki, ulice polskie i doroczne, wzruszające obchody rocznic wyzwolenia. Zwłaszcza w Axel, Bredzie i Driel Holendrzy oddali Polakom swe serca i przyjaźń.

Oto bezkrwawe zwycięstwa 1. Dywizji Pancernej i Samodzielnej Polskiej Brygady Spadochronowej, równe w wartości — osiągnięciom orężnym sprzed 21 lat. Ale i sam dowódca zwycięskiej 1. Dywizji Pancernej, generał Stanisław Maczek, któremu w swoim czasie zaoferowano w Holandii posiadłość i willę i którego imieniem nazwane zostały ulice w Axel i Bredzie, napewno nigdy nie spodziewał się, że w chwili gdy znajdzie się w ciężkiej potrzebie; w Holandii w ciągu jednego zaledwie wieczoru zbierze się dla niego sto tysięcy florenów!

A stało się to w poniedziałek wieczorem, 25 października 1965 r. Na apel w ramach akcji radiowej „VAN HARTE“ („Od serca“), socjalistyczno-robotniczego towarzystwa „VARA“, dziesiątki Holendrów spieszyło do punktów zbiórkowych w różnych miastach, względnie chwytano za słuchawkę telefonu, by przyjść z pomocą znajdującemu się w potrzebie polskiemu Generałowi i jego ciężko chorej córce.

Podczas audycji radiowej nadawanej na zmianę z różnych części Holandii (m. in. z Amsterdamu, Bredy, Maastrichtu i Sas van Gent) przeprowadzane były krótkie wywiady zarówno z Polakami jak i Holendrami (m. in. z burmistrzami Axel i Bredy) o generale Maczku, 1. Dywizji Pancernej i wyzwoleniu Holandii.

W tym samym czasie generał Maczek z żoną i ciężko chorą córką w towarzystwie reportera radiowego, znajdował się w samolocie wynajętym przez radio holenderskie w drodze z Hiszpanii do Edynburga. Po wylądowaniu, w nadanym przez radio wywiadzie, generał Maczek dziękował do głębi wzruszony, a jednocześnie szczęśliwy, że dzięki nieoczekiwanej pomocy radia i społeczeństwa holenderskiego, zabezpieczyć będzie mógł przyszłość swej chorej córki.

B. S.



Moment dekoracji honorową odznaką SPK z okazji 35-lecia SPK w Argentynie.

Od lewej: M. Bogusławewicz, A. Florkowski, Z. Biały (prezes) i Z. Kulpiński.



D E S S O U S

Moda bielizniana
z Kolekcji
Jesienno-Zimowej
1965/6
paryskiej firmy
WARNER

Kombinacja ściśle
przylegająca do ciała
ze stanem wyrobionym
bez szwów. Założeniem
jest zachowanie „linii
naturalnej“ bez sztucznych
wypukłości nawet pod
suknią z lekkiej tkaniny
lub pod obcisłym swetrem.

We francuskim ten tytuł „dessous“ byłyby wieloznaczny, jak wieloznacznym jest to słowo, choć na pierwszy rzut oka oznacza tylko „spód“. Natomiast w języku polskim od razu wiadomo o co chodzi — o dessous damskie. Tylko co to jest to dessous, a właściwie te dessous, bo we francuskim to słowo w odniesieniu do tego, co nas w tej chwili interesuje, znane jest w liczbie mnogiej? Po przejrzaniu słowników i encyklopedii okazuje się, że odpowiedź nie jest wcale taka prosta.

Mała Encyklopedia P.W.N. (W-wa 1959) mówi po prostu, że to „bielizna damska“, natomiast Słownik Wyrazów Obcych P.I.W. (W-wa 1959) określa to szczegółowiej: „spodnia część damskiego stroju; spód noszony pod suknią, dawniej również bielizna.“ A więc według Słownika dawniej była to bielizna, ale nie teraz. Kto ma rację? Zająłem więc do wydawanej obecnie „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej“ i — ze zdumieniem — wogóle tego słowa nie znalazłem. Co może oznaczać, że Słownik ma rację, dawniej była to bielizna, obecnie nie. Tak jak w Małej Encyklopedii jest słowo „Katyń“, a w tej nowej „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej“ nie ma go, bo dawniej oznaczało ono co innego, a co innego obecnie. Widać, że autorzy tej Wielkiej Encyklopedii nie lubią wywlekać „dessous“ pewnych spraw na światło dzienne.

Dokładniejszą definicję znalazłem w wydanym również w Warszawie (1962) „Słowniku Mody“ E. i A. Banachów: „dessous“ — wyraz francuski oznaczający „spód“, a w naszym języku używany do określenia tego, co się nosi „pod spodem“, pod ubiorem właściwym, a więc — „eleganckiej bielizny“. Mam jednak dwa zastrzeżenia co do tej definicji — dlaczego obejmuje ona tylko „elegancką“ bieliznę, a po drugie, czemu nie określa, że tu chodzi tylko o bieliznę kobiecą? Wielki francuski Larousse mówi tak: „bielizna kobieca, którą nosi się pod suknią: biustonosz, majtki albo slip, kombinacja itd.“ To jest jasne, ale dlaczego Słownik Wyrazów Obcych mówi, że „dawniej“ była to bielizna. Przecież w krajach socjalistycznych coś pod ubiorem kobiety noszą. To tylko tu na jednej „surprise party“ kapitalistycznego zachodu nadałem się na babkę, która w tańcu mruknęła jakby od niechcenia, że jest strasznie gorąco, choć ona ma na sobie tylko trzy części garderoby w tym dwa pantofelki. Sprawdziłem to natychmiast, spoglądając za dekolci i rzeczywiście zobaczyłem od góry noski tych pantofelków i nie po drodze. Nic... to nie zupełnie zgodne ze stanem faktycznym, bo były tam różne rzeczy,

lecz wszystkie pochodzenia naturalnego i nie mające nic wspólnego z tekstylem, ani z tym, co wylicza Larousse. Ale to wyjątkowy wyjątek i normalnie wszystkie kobiety pod spodem coś noszą, nawet chazajki u Ruska. A może to u Mao tylko dawniej nosiły? Tam dzieją się dziwne rzeczy i kto wie... — nie jest więc wykluczone, że Słownik Wyrazów Obcych wyraża „chińskie“ tendencje.

Ale wróćmy do właściwego tematu. Siadając do maszyny miałem zamiar napisać tylko małą notatkę, zapowiadając ukazanie się poważnego opracowania pt. „Historia kobiecych dessous“, a tych, co o tym już wiedzą, poinformować, że nie z winy autora książka ta ukaże się nie teraz, lecz dopiero w przyszłym roku. A tym autorem jest znany pisarz Jacques Laurent, bardziej znany pod swym literackim pseudonimem Cecil Saint-Laurent. Nim dojdę do rzeczy muszę znowu zrobić dygresję w inne podwórko. Każdy wie, że we Francji żyje wielki pisarz, nagroda Nobla, François Mauriac (80 lat). Otóż napisał on książkę o miłośniku panującym nam Karolu Wielkim, książkę bardzo pochlebną, którą niezyczliwi krytycy określili jako panegiryk, a Mauriaca nazwali hagiografem (od „hagiografia“ — piśmiennictwo kościelne, poświęcone opisom żywotów świętych). Do tych ostatnich należy Jacques Laurent, którego ten żywot św. Karola tak zdenerwował, że w kilka tygodni napisał i wydał książkę pt. „Mauriac pod de Gaullem“ („Mauriac sous de Gaulle“, wyd.: La Table Ronde), w której i po autorze i po przedmiocie jego kultu tak się przejechał, że wiele brwi uniosło się bardzo wysoko. We Francji sprawy prasy reguluje specjalna ustawa z 1881 roku i w niej jest artykuł o obrazie prezydenta Republiki. Od wprowadzenia jej w życie do epoki V-ej (obecnej) Republiki było tylko siedem spraw z tego artykułu, natomiast od 1959 roku już ponad 300. To też nic dziwnego, że brwi się tak unosiły, bo wiadomo było jak to się skończy. I skończyło się skazaniem autora na trzy grzywny po 2000 frs. Ma to związek z naszym tematem: po pierwsze Jacques Laurent nagle zaczął publicznie odsłaniać pewne „dessous“ polityczne, (aż się boję tu dodać nazwiska, ale i tak wiadomo jakie...) drugie, ten proces i jego skutki opóźniły dessous — niepolitycznych. Wyszło to stąd, że prokurator w okarzeniu, a przewodniczący sądu w uzasadnieniu wyroku, stwierdzili, że ta książka nie jest należycie udokumentowana, że ma za wiele twierdzeń niczym nie popartych, że nie może więc być uważana

(Dokończenie na stronie 43)



Modele „Kobra“ bielizny damskiej paryskiej firmy WARNER

Zupełnie obcisła nie zmienia w niczym kształtu sukni czy swetra. Materiał użyty nazywa się „Lycra“ a technika szycia ta sama jak przy kostiumach kąpielowych. Wzorzysto-kolorowa bielizna tego typu ma też w gruncie podwójne przeznaczenie: można jej po prostu używać na plaży zamiast opalaczy.

ROZSIEDLI się — we trzech pod oknem na izbie, zdala od kominka. Jeden siedział ze sztywno wyciągniętą nogą, drugi miał opaskę na niedawno zoperowanym oku. Trzeci nie pokazywał światu żadnych zewnętrznych objawów choroby. Siedział milczący i smutny, jakby się wstydził, że nie jest ani sparaliżowany, ani ślepy.

— Ależ ten C. — powiedział starszek ze sztywną nogą — mówię wam panowie zupełna ruina, matuzalem. Gdyby nie ta jego święta żona...

— Jest młodszy ode mnie conajmniej o pięć lat — odpowiedział ten z opaską na oku — Pan kolega ma rację, robi wrażenie kompletnego starca, aż wstyd.

Trzeci milczał dalej. Czuł znowu leciutkie drętwienie palców w lewej dłoni i ze wszystkich sił starał się nie myśleć o tym.

— Ambulans coś nie przyjeżdża — mruknął sparaliżowany — Też wybrali godzinę na zabranie nas do szpitala, przecież to niemal świt. Jak dojedziemy to na śniadanie w naszym obozie już będzie zapóźno, a tutaj jeszcze za wcześnie.

— Wiadomo, polska organizacja — zaśmiał się ślepy. Na złość nam zrobili, żeby pokazać jacy to oni tutaj w szpitalu są ważni.

Na izbie panował mrok. Za oknami leżał wczesny ranek wiosenny, mokry i nieprzychylny. Kominek jednak grzał dobrze a za drzwiami prowadzącymi do kancelarii mimo wczesnej pory poruszał się już ktoś zwa-wo, szeleszcząc papierami.

W rogu, blisko kominka, ale zdala od okna jakgdyby się bały światła dnia, siedziały dwie kobiety. Podobne były do siebie jak liście z tego samego drzewa — jeden jesienny, a drugi pulsujący sokami młodej wiosny. Siedziały skurczone, zmarznięte, otulone w czarne futerka, z twarzami zasłoniętymi czarnym tiulem, który podkreślał jeszcze ich ogromne podobieństwo.

— Kogoś tu chować będą dzisiaj w szpitalu — zauważył sztywnonogi i dodał szeptem „Ładne kobietki, co?”

— Nie widzę — odpowiedział ślepy, ale jak pan mówi, że ładne, to muszą być ładne. Pan kolega to, ho, ho... znamy, znamy. Legendy chodzi panie dziejku, legendy. W naszym obozie też — jak to tam było z

KLARA EVANS

POŻEGNANIE

tą, no jakże jej? Z tą co podawała w jadalni?

Sztywnonogi roześmiał się skromniutko. — Ech, panie kolego, były czasy, były — z Beliną po dworach, oj były czasy...

Na drugim końcu szpitalnego obojścia w baraku nr 10 Manius Tomaszewski od chwili przebudzenia się o czarnym jeszcze świecie, niepokoił się o swego pułkownika. Wychylił zza kotary łóżka rozczochraną głowę, sprawdził. No tak, łóżko naprzeciw było puste. Sanitariusz powiedział mu wczoraj, gdy pana pułkownika z łóżka zabierali, uśpionego i bezwładnego, że do Warszawy wyjeżdża, do rodziny, Ale Manius nie uwierzył. Do jakiej znów tam Warszawy miały pułkownik jechać? Przecież z Wilna był, tam się urodził i tam ożenił. Gdyby do Wilna jechał, to co innego ale do Warszawy?

Chyba, że Bolszewicy znowu pod Warszawę podchodzili. Ale wówczas miejsce Manusia byłoby przy pułkowniku.

Manius był młody, najmłodszy na sali. Nie przysługiwała mu jeszcze nawet renta starcza. A bić to jeszcze potrafiłby tak samo jak wtedy, gdy los go zetknął z panem pułkownikiem po raz pierwszy pod Warszawą w 1920-tym.

Przytulił znów głowę do poduszki i zaczął myśleć. Ile to lat temu było gdy się spotkali — pan pułkownik i on, a potem ile to lat minęło gdy się ich losy rozeszły aż do spotkania tu — chorych na jakieś głupie choroby, z których ich wyleczyć nie umiano? Manius z trudem zaczął sobie przypominać co mu takiego właściwie było i na co to takiego chorował, że nie chciano go puścić na wojnę, chociaż pan pułkownik odjechał na front ze swojego łóżka nie dalej jak wczoraj?

Ta jego choroba przypominała mu włoską kampanię. Brzmiała w ustach lekarzy jak imię kobiety, włoskiej ładnej kobiety. Imiona włoskich kobiet były takie dziwne, nieraz nie do wymówienia, ale wtedy w II-gim Korpusie gdy stacjonowali pod Ankoną, umiał się z nimi obchodzić i

bez imion — na migi. Jakże naprzykład było na imię tej czarnej, tej z kafejki rozwalonej niemieckim szrapnelem? Sclerosa Preciosa... Beata... Disseminata?... Nie pamiętał. Uniósł się na łokciach, chciał zawołać na sanitariusza Ignacego, że jest już gotów i że pan pułkownik rozkazał mu, rozkazał mu.....

Z panem pułkownikiem odnaleźli się jak w korcu maku — po tylu latach. Leżał tu jak pies bezdomny, a zupełnie przecież zdrowy, może tylko trochę przeziębiony i myślał jak zwykle — o Polsce, o wojnie, o Ruskach, o wiatraku, gdzie jednocześnie z panem pułkownikiem zdobyli krzyż walecznych. Siedzieli wtedy w 1920-tym w tym wiatraku i dawali sygnały do swoich.

Gdy właśnie rozpamiętywał to kilka miesięcy temu, sanitariusz Ignacy wszedł do separatki, powiedział „nowy pacjent przyjeżdża, Maniusiu. Tylko nie krzycz i nie wymyślaj. Wielki pan przyjeżdża. Pan minister, pan pułkownik“.

A gdy go przywieźli i położyli na tym trzecim wolnym łóżku po sierżancie Sabatku, to aż mu serce skoczyło w piersi, aż zapłakał z radości. Pan pułkownik, jego pan pułkownik z wiatraka spoczął na łóżku pod przeciwległą ścianą...

Nie gadali do siebie wiele, to prawda. Ale po co im było gadać? I tak wiedzieli. Mieli swoje sprawy, o których inni wiedzieć nie mogli. Ten wiatrak naprzykład. Albo to, że Manius był pierwszym gościem na ślubie pana pułkownika z paniemką z pod Lidy, ze śliczną panną Anią.

A teraz go zabrali. Gdzie go zabrali? Chciał właśnie dzisiaj opowiedzieć panu pułkownikowi o Monte Cassino. Bo właśnie wszystko sobie przypominał. Jasno i dokładnie, jakby to działo się wczoraj.

Pana pułkownika zabrali cichaczem, gdy Manius spał. Może dlatego, że mu nie chcieli dać przydziału, może woleli, żeby siedział na tyłach? Ale on, Manius, czuł, że coś się święci. Wiedział, że Pan pułkownik chciałby iść na front. Trzeba więc było poszukać go, ostrzec, że coś tu knują. Tak samo jak z ich

PUŁKOWNIKA

chorobami, chociaż obaj byli zdrowi i mocni. To tylko oni mówili, że trzeba leżeć spokojnie i brać lekarstwa, bo Bolszewicy jeszcze daleko. Maniusz wiedział lepiej, ale czy pan pułkownik wiedział?

Ostrożnie wysunął jedną nogę z łóżka. Zza drzwi dobiegły go urywki rozmowy. To siostra nocna zdawała służbę siostrze dziennej.

Usiadł na łóżku z ogromnym wysiłkiem. Sclerosa?... Rosa...

Napewno nazywała się Rosa, napewno. Ale czy na nazwisko miała Disseminata, tego już nie mógł sobie przypomnieć. Miała wielkie czarne oczy, była podobna do krowy, którą mu Moskale w 1940-tym zarżnęli na jego oczach w jego własnej oborze pod Marcinkańcami i zaraz potem wysłali go bydłącym wagonem do załtajskiego kraju, bo był osadnik, wojskowy, Polak.

Plaszcz pana pułkownika wciąż jeszcze wisiał na kołku. Zlaził z łóżka, podszedł ku niemu ostrożnie, przymierzył. Podciągnął nogawki szpitalnej piżamy żeby nie było ich widać z pod płaszcza i pokuśtykał ku drzwiom. Siostry w dyżurce rozmawiały o wyprzedzaży filiżanek w miasteczku.

Wypadł na korytarz, potem bokiem przez drzwi na pole, na powietrze.

Mzył deszczyk. Było bardzo wczesnie. Przebiegł szybko ścieżkę, która w lecie szalała stubarwnymi odzieniami róż. Na ślubie pana pułkownika z panną Anią też były setki róż i w ogrodzie i na stołach. Sama panna Ania miała bukiet z bieluteńkich róż, które o wschodzie słońca zerwała dla niej matka pana pułkownika. Maniusz pamiętał nie tylko ich kształt, ale i zapach.

A teraz trzeba było odnaleźć pana pułkownika. Trzeba było go ostrzec i uprzedzić, że znowu Czerwoni idą na Warszawę i że spotkają się ze sobą w wiatraku... w wiatraku...

Doszedł do izby przyjęć. Zajrzał ostrożnie przez szybę. Coś tam się działo, ktoś wchodził i wychodził, pachniało świeżo narodzonym dniem i mokrą trawą, zupełnie jak wtedy,

gdy siedzieli w wiatraku i szrapnelle gwizdały im koło głów. A oni wtedy nic — tylko siedzieli uparcie i przesyłali raporty morsem. Cholera, nie się nie bali, tacy byli młodzi i pewni siebie. I tylko pomyśleć, że za tak głupią służbę obaj dostali po Krzyżu Walecznych.

Otworzył ostrożnie drzwi do izby przyjęć. Pewnie stąd pan pułkownik wyruszy na Ruska, trzeba sprawdzić.

Mimo półmroku panującego w pokoju Maniusz od razu spostrzegł pannę Anię, czyli panią pułkownikową. Siedziała w kącie i twarz miała zakrytą jakąś krepą. Może to była tylko taka babska moda, ale ten tiul, czy krepka wyglądały jak żałoba.

Panna Ania — pani pułkownikowa siedziała bez ruchu. Koło niej jakaś inna pani zgarbiła się na krześle, ukrywając twarz w dłoniach. Może to była jej matka? Nie poznawał.

Pod oknem przy stole trzech nieznanym niecierpliwilo się i wymyślało na ambulans. Ale gdzie był pan pułkownik?

I naraz Maniusz zrozumiał, że pan pułkownik ukrywał się przed żoną, żeby mu swym płaczem i prośbami nie przeszkodziła iść na wojnę. Musiał być gdzieś tu bliźutko, czuł to. Po prostu ukrywał się przed panną Anią — panią pułkownikową.

Ale przecież powinien był jej wytłumaczyć, że właśnie tak się należało zrobić. Że znowu była wojna z Bolszewikami i że oni we dwóch muszą dojść do rozwalonego młyna. I że tym razem wrócą obaj z Virtuti Militari. Wszedł do izby, przyknuł cichutko drzwi za sobą. Podszedł na palcach do panny Ani — pani pułkownikowej, ale ona nie zauważyła jego podejścia.

Stanął więc na baczność. Rozjaśnił gębę uśmiechem od ucha do ucha, że to niby nic, zwyczajna rzecz, wojskowa powinność.

— Kapral Tomaszewski melduje się pani pułkownikowej — wyszeptał, bo wiadomo było, że Bolszewicy mieli wszędzie swoje podsłuchy.

Młoda kobieta cofnęła się w tył na krześle.

— Kapral Tomaszewski melduje się posłusznie — powtórzył Maniusz ze zdumieniem, gdyż jasnym było, że ani nazwisko, ani szarża nie już pannie Ani — pani pułkownikowej nie mówiły. Czyżby zapomniała? Dotknęła ramienia drugiej, starszej kobiety, jakgdyby w samoobronie. Przed kim? Przed nim — przed Maniusiem Zauważyl, że miała powieki czerwone od łez.

Druga kobieta uniosła krepę z nad twarzy. Przyjrzała mu się uważnie. „Panie Tomaszewski... — wyszeptała — panie Tomaszewski...”

Ale on spoglądał na nią obojętnym wzrokiem. Przypominała mu nawet kogoś, ale nie pamiętał kogo. Chciał rozmawiać tylko z panną Anią — panią pułkownikową.

I naraz poczuł do niej straszny żal, za to że jest także w zмовie przeciw niemu z tymi wszystkimi, którzy mu cichcem wczoraj pana pułkownika z łóżka zabrali i nie dawali iść na wojnę. Tylko on mógł teraz uratować pana pułkownika, tylko on jeden. Zebrał go żal tak wielki, że zapomniał o ostrożności. Wyprostował ramiona, nasrozył się.

— Panie pułkowniku — zawołał — Panie pułkowniku:

Trzej staruchowie, którzy siedzieli pod oknem, ożyli nagle.

— Pan o mnie pyta — zaskrzeczał ten ze sztywną nogą — jestem gotowy do drogi — Pan przyjechał z ambulansem?

— Pan o mnie pyta — zaskrzeczał ten co nie widział i zaczął wstawać mozolnie z krzesła.

Trzeci, któremu palce drętwiały coraz bardziej i wiedział już, że będzie musiał przyznać się do tego za chwilę, pozostać tutaj, żeby może już nigdy nie wrócić do obozu, ani do ukochanej działki warzywnej, wyjąkał z trudem i ze zdziwieniem:

— Czy pan mnie szuka? Służę. Wówczas Maniusz oszalał.

— Wy — krzyknął — Wy? Pana pułkownika wołałem, mojego pułkownika. Co wy, dziady sakramencie, truposze, staruchy, psiekrwie, zgagi, zarazy, paralityki — co wy macie do niego — do mojego pułkownika? I podsadził im pod nosy pięść olbrzymią jak jego własną krzywdą, — tym, truposzom, staruchom, łachudrom, kalekom, lebiegom, co się podszywać śmieli pod najjaśniejszą rangę. —

POŻEGNANIE PUŁKOWNIKA

Ja wam pokażę — krzyczał — łamagom, łachmyzom, zaskrońcom...

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do izby przyjęć wpadł sanitariusz Ignacy, a za nim dzienna siostra.

— Hej, panie Manius — zawołał sanitariusz — a co to takiego? Co to za spacer? Do łóżka marsz, ale to już... i podszedł ku niemu z wyciągniętymi rękami. Ale Manius szalał dalej. Wyślizgnął się z objęć sanitariusza, uderzył dzienną siostrę w pierś tak, że zatoczyła się pod ścianę.

— Na Bolszewika, na Bolszewika — zaryczał — Pan pułkownik tu się ze mną umówił, pan pułkownik na mnie czeka. Oddajcie mi pułkownika!

Wówczas smutna pani, której chyba nigdy przed tym w życiu nie widział, oderwała się od panny Ani — pani pułkownikowej i podeszła do Manusia.

— Panie Tomaszewski — powiedziała — Panie Maniusiu, proszę wrócić na salę. Mój mąż... zawahała się i głos jej załamał się jakoś dziecinnie, jakby nie miała swoich lat a była wciąż młodą dziewczyną — Mój mąż niedługo już przyjdzie po pana...

Administrator szpitala wyszedł z kancelarii i skierował się w jej stronę.

— Pani pułkownikowo — powiedział — Może pani z córką... ciało jest już w kaplicy.

Manius spojrział na trzech strachów i na pannę Anię — panią pułkownikową i na nieznaną kobietę. Ta nieznaną miała dobre oczy. Może można jej było uwierzyć?

— Dobrze, wróć. Ale ja czekam, niech mu to pani powie. Bo my z panem pułkownikiem nie mamy wiele czasu.

Sanitariusz Ignacy objął go mocnym ramieniem. I naraz Manius poczuł ogromne zmęczenie. Tak, ta z kafejki pod Anconą napewno nazywała się Rosa, czyli Róża. Pan pułkownik hodował róże, a gdy szli pod wiatrak, to nucili cichutko pod nosem legionową o nich piosenkę. Śliczna Rosa, podobna do jego Krusuli, o nazwisku podobnym do jego choroby. Tak, wojna i róże...

Powiesił się na ramieniu Ignacego,

zupelnie już wyczerpany. Wywlekli go na dwór. Słońce wstawało leniwe, a poprzez chmury jeden promień padał jak pas złotogłowiu na szpitalną ścieżkę.

Od kaplicy szpitalnej doszedł go dźwięk dzwonu. Kobiety w czarnych tiulach wahająco i niezgrabnie, jakby się bały wyjść po za krąg ciepłego pieca i ludzkiej obecności, także wyszły za próg. Pochyliły głowy, skierowały się w stronę dźwięku dzwonu. Drzwi od kaplicy były szeroko otwarte i Manius ujrzał we wnętrzu, poprzez plecy Ignacego coś niewielkiego, kwadratowego, okrytego białoczerwonym sztandarem.

Zaparł się w ścieżkę nogami i znów róże, pułkownik, choroba i Rosa przemieszały mu się we wspomnieniu w jedną nie do rozwikłania całość.

— Idę panie pułkowniku — zawołał — zaraz idę, ino nieco sił nabiorę.

Zobaczył jak dwie kobiety, panna Ania-pułkownikowa i ta druga niemłoda zniknęły we drzwiach kaplicy. Wydawało mu się, że dojrzał na moment w promieniu słonecznym panna pułkownika sadzącego szerokimi, energicznymi krokami przez rabaty kwiatowe w stronę ich szpitalnego baraku. Na głowie miał rogatywkę — tę samą, która mu kula bolszewicka przestrzeliła „na durch“ tam, pod wiatrakiem. Pan pułkownik spieszył się i tylko ruchem ręki dał Maniusowi znak, że na niego czeka.

— Idę panie pułkowniku, idę — zawołał znów Manius i omdlał w ramionach sanitariusza.

Sanitariusz Ignacy dojrzał w półmroku kaplicy szpitalnego księdza, wschodzącego w czarnych liturgicznych szatach na stopnie ołtarza.

— Wieczne odpoczywanie — westchnął i obejrzał się za siostrą, żeby mu dopomogła przy Maniusiu, który mu ciążył teraz niewypowiedziane, zapatrzony w jakieś sobie tylko znane obrazy.

— Disseminata, panie pułkowniku — wyszeptał Manius — A na imię miała, na imię miała... Przypomnę sobie pod wiatrakiem — powiedział i dał się podeprzeć siostrze od prawego boku w drodze do baraku numer 10.

Klara Evans



„Zozefinka“ z Mniszchów wojewodzina Potocka

ZE Szczęsny Potocki, pan możny i bogaty i dostojnik Rzplitej, był zdrajcą przekupnym i nikiemnym, który sprowadzając wroga wojska na własną ojczyznę, zadał śmiertelny cios jej samodzielnemu istnieniu, temu nikt nie ośmieliłby się zaprzeczyć. Są jednak historycy, którzy na podstawie dokumentów usiłują dowieść, że za lat młodzieńczych „serce w nim było tkliwe lecz skrzywdzone. Strute zbyt wcześnie i długo drażnione, poszło ku złemu...“. Takiego właśnie bajronowskiego Szczęsnego, pełnego szlachetnych uczuć i porywów, maluje nam Antoni Malczewski w swoim poemacie „Maria“, pod postacią marzycielskiego i czulego Wacława. Więc może istotnie dopiero gorzyc i ból po młodziutkiej i bardzo ukochanej żony zrodziły w nim tego węża podłości i zdrady, który miał go w końcu doprowadzić do Targowicy.

Tragiczne dzieje małżeństwa 19-letniego Szczęsnego z piękną i cnotliwą Gertrudą Komorowską są zbyt dobrze znane, żeby się nad nimi dłużej zatrzymywać. Wściekły gniew urażonego w swej bezgranicznej pyrze „królika ziem ruskich“ na wiadomość że syn jego ośmielił ożenić się ze zwykłą szlachcianką, pośpieszne wysłanie Szczęsnego zagranicę a wreszcie brutalny mord niepożądaną synową przez nasłanych z

TRZY ŻONY TRAGICZNEGO ZDRAJCY

krasnopolskiego pałacu kozaków dworskich, taki był koniec tej krótkiej miłości a zarazem też koniec szlachetnych uczuć Szczęsnego, młodego panka. Kiedy po śmierci ojca w 1774 r. powrócił do Krystynopola, trudno było w tym ponurym i niepojętym człowieku poznać uroczego niegdyś młodzieńca. Uciekając od bolesnych wspomnień swoich małopolskich posiadłości, przeniósł się wkrótce potem na Ukrainę, gdzie położony w powiecie braclawskim Tulczyn miał być odtąd jego siedzibą.

Jakkolwiek głównym tematem tego opowiadania są niezwykle dzieje pięknej awanturnicy, która jako Zofia Greczynka przeszła do historii, jednak choćby krótkimi błyskami musimy oświetlić drogę, która doprowadziła Szczęsnego do małżeństwa z tą kobietą, tak odmienną od ideału jego pierwszej miłości.

Urodzony w 1752 r. Szczęsny Potocki, był synem Franciszka Salezego, jednego z najbogatszych magnatów na obszarze Rzplitej. Jak słabym musiał być charakter tego dziedzica olbrzymich włości w Małopolsce i na Ukrainie, jeśli po śmierci tego okrutnego ojca, który miał na sumieniu mord jego ukochanej żony, zastosował się do jego wyrażonej w testamencie woli i ożenił się z Józefiną Mniszchówną. Nie było to małżeństwo szczęśliwe „żozefinka“, jak ją ogólnie nazywano, zdradzała niemal od początku swego niekochanego i niekochającego

jącego męża, co też on odpłacał z naddatkiem. Mimo tych małżeńskich rozdzwięków, życie w Tulczynie toczyło się zwykłym trybem „wielmożów“ owego okresu, a zabawy, teatry amatorskie i polowania gromadziły licznych gości, którzy niepamiętni tragedii pierwszego rozbioru, używali życia w całej pełni.

Niedaleko pałacu tulczyńskiego wznosiły się groźnie warowne mury Kamieńca Podolskiego, gdzie nad bezpieczeństwem wschodnich granic Rzplitej czuwało doświadczone oko komendanta Wittego. Pewnego dnia 1778 r. zjawił się tutaj Karol de Boscamp — Lasopolski, zaufany Stanisława Augusta, który wysłany do Stambułu w misji dyplomatycznej, przywiózł stamtąd dwie urocze dziewczyny greckie. Obie te siostry, Helena i Zofia Clavone, były posłu-



„GRECZYŃKA Z ZOFIÓWKI“

gaczkami w podrzędnej gospodzie stambulskiej, skąd Lasopolski wykupił je i przywiózł je do Polski. Poniżej starsza z nich Helena, nie wchodzi w orbitę naszych zainteresowań, zostawimy ją własnemu losowi a natomiast przyjrzymy się bliżej zaledwie 13 lat liczącej siostrze Zofii. „Zbyt sławną na nieszczęście nasza stała się w historii Polski ta kobieta, by dziejów jej nie dotknąć“ — pisze o niej Julian Ursyn Niemcewicz w swych „Wspomnieniach“ Na razie była to jeszcze mała dzikuska o niezwykłej urodzie, która oddana pod opiekę żony jednego ze starszych oficerów, szybko nauczyła się języka polskiego i dobrych manier. Jej niezwykły wdzięk podbija nie tylko serce młodego Wittego, niesympatycznego i mało urodziwego Józefa ale łagodzi również gniew komendanta, który na wiadomość, że syn jego poślubił potajemnie „tę grecką przybłądę“ każe go w pierwszym impecie zakuć w kajdany. Dwuletni pobyt w Paryżu, dokąd młodzi Wittowie wyjeżdżają w 1780 r. wykańcza jej światowe wykształcenie a olśniewająca uroda otwiera drzwi mniej wybrednych salonów.

Po śmierci starego komendanta w 1784 r. syn obejmuje jego stanowisko a Zofia podnosi coraz wyżej swą piękną głowę, na której diabelskie różki wyglądają coraz wyraźniej spod aureoli udanej anielskości.

Wkrótce potem rozpoczynają się ciągle rozjazdy Zofii po Europie oraz jej liczne i bardzo podejrzone kontakty. Ta niezwykła ruchliwość i częste spotkania z Potemkinem, potwierdzałyby opinie większości historyków, że piękna komendantowa była agentką rosyjską a wciągnięcie Szczęsnego w sferę planów politycznych „północnej aliantki“ należało do nałożonych na nią zadań. Nie było ono zresztą zbyt trudne, gdyż tulczyński magnat już od jakiegoś czasu starał się o pozyskanie względów Katarzyny II, w nadziei, że z rąk jej otrzyma koronę Polski.

Kiedy w 1788 r. na jednym z posiedzeń Sejmu Czteroletniego Szczęsny wystąpił bardzo zdecydowanie w obronie zatwierdzonej gwarancją rosyjską Rady Nieustającej, nikt nie miał już wątpliwości, że wojewoda ruski przyłączył się do obozu zdrajców. Ogólna pogarda, podkreślana licznymi pamfletami, uniemo-

żliwiła Szczęsnemu pobyt w kraju i zmusiła do wyjazdu zagranicę. I tu natrafiamy na pierwszy ślad jego spotkania z piękną Zofią, które miało mieć miejsce w 1789 r. Wówczas to znajdowała się ona w orszaku Potemkina w Jassach, dokąd wojewoda ruski udał się wzorem innych malkontentów, aby toczyć układy ze swymi rosyjskimi protektorami, jednak zupełnie otwarcie przy jego boku zobaczymy „Greczykę“ dopiero w Grodnie w 1793 r.

Radosne odgłosy trzeciomajowej konstytucji nie znalazły echa w sercu zupełnie już zaprzędanego Katarzynie Szczęsnego. Ogarnięty „świętym“ oburzeniem, że ktoś ośmiela się godzić w „złotą wolność“ i ustanawiać równość stanów, zniechęcony przez ogół zdrajca, ośmiela się rozsyłać listy do głównych twórców konstytucji. Wreszcie odmówiwszy przysięgi, wyjeżdża znowu do Jass, gdzie czeka już na niego Zofia, aby siłą swej piękności pchnąć go ostatecznie do przepaści, którą sam sobie wykopał.

I teraz następuje rzecz dziwna, która zasługuje na specjalne podkreślenie. Konfederacja ułożona w Jassach a podpisana de facto w Petersburgu 27 kwietnia 1792 r, zostaje nominalnie podpisana dopiero 14 maja w małym miasteczku Targowica, położonym niedaleko granicy rosyjskiej. Reżyserom tej całej tragi — farsy, wydawało się zapewne, że umowa podpisana na terenie Polski, będzie miała bardziej przekonujące znaczenie. Szczęsny Potocki zostaje mianowany marszałkiem a Ksawery Branicki i Seweryn Rzewuski obejmują komendę nad wyruszającymi przeciw własnej ojczyźnie wojskami, do których Katarzyna przyłączyła „łaskawie“ swoją armię.

Pod sztandarem targowickim i rosyjską opieką wraca też do Polski piękna Zofia choć narazie ukrywa się jeszcze w opuszczonym przez Józefinę Tulczynie, gdzie „pan marszałek“ przebywa ze swoim sztabem.

A jak też wobec tych faktów zachowuje się komendant Józef Witte? Zniecierpliwiony ciągłą nieobecnością żony, opuszcza samowolnie Kamieniec, aby gonić po świecie za niewierną. Za swą niesubordynację musi wprawdzie zapłacić utratą stanowiska, szybko jednak otrzymuje inne. Zresztą pieniądze i dobra

uzyskane do Szczęsnego za zezwolenie na rozwód z piękną Zofią uwalniają go od wszelkich kłopotów finansowych. I tak Zofia jest wolna i mogłaby zostać panią tulczyńską, gdyby nie upór Józefiny, która choć sama nigdy nie była wzorem wierności, pod żadnym warunkiem nie godzi się na rozwód. Dopiero nagła jej śmierć w roku 1798 r. otwiera sprytniej Greczynce drogę do tytułu wojewodziny.

Szczęśny, wciąż jeszcze zakochany w swej nowej żonie, składa o jej stóp wszystko co tylko bogactwo dać może. Dla niej to każe założyć ową sławną „Zofiówkę“, uwieczniony poematem Stanisława Trembeckiego, ogród zwany „cudem Ukrainy“. Cacko to, ze swymi sztucznymi górami i jarami, kosztowało 8 milionów złotych i przez długie lata było tematem dla malarzy i poetów.

Podczas jednak, kiedy piękna wojewodzina bawiła się wesoło otoczona hałaśliwym i niezbyt wyszukany towarzystwem, mąż jej którego zdrowie pogarszało się gwałtownie, zaczął coraz częściej zamykać się w swoich bocznych apartamentach, gdzie mógł spokojnie wspominać dzieje młodzieńczej miłości. Kiedy umarł w 1805 r. nawet Zofia nie miała odwagi wyrwać mu ze skostniałej ręki miniatury Gertrudy Komorowskiej.

Targi o spadek, jakie miały miejsce po jego śmierci były tak wstrętne, że lepiej o nich zapomnieć... Zofia, odziedziczyczora Tulczyn, próżno usiłowała pozorami bogobojności pozyskać szacunek ludzki. Choć pamięć jej występków przetrwała jej śmierć w 1825 r., równie żywe jednak pozostało też wspomnienie jej niezwykłej piękności i wdzięku.

Słowacki zwiedzając w jakiś czas później Zofiówkę, opisując swe wrażenia w liście do matki, widział „Grzeczynkę“ na tle wspaniałej przyrody „jako Irys chodzącą po łące“. Czarodziejską różdżką poezji oczyszczona z grzechów przeszłości, była dla niego tylko jedną z najpiękniejszych kobiet XVIII wieku.

Dla historyków jednak, bardziej trzeźwo patrzących na wypadki dziejowe, właśnie jej niezwykła piękność była tą diabelską siłą, która słabego i rojącego o koronie polskiej Szczęsnego pchnęła na drogę ostatecznej zdrady.

Hilda Jankowska

WDZISIEJSZEJ gawędzie zajmujemy się problemem astmy, tej niezmiernie przykrew choroby, na którą cierpi wiele osób, niezawsze zdając sobie sprawę z tej przyczyny.

Astma jest schorzeniem objawiającym się przez paroksymowy brak tchu, któremu towarzyszy spazm mięśnia oskrzelowego, czyli jednego z mięśni które regulują oddech.

Jedną z bardzo częstych przyczyn astmy jest alergia, a także poważną rolę w tym schorzeniu grają bodźce psychiczne, aby przytoczyć choćby następujące przykłady: przewrażliwienie rodziców w stosunku do dziecka przeważnie jedyne — może spowodować atak u dziecka; brak harmonii w życiu domowym, niepokoje, obawy i lęki — wszystkie te czynniki niezadowolenia psychicznego odgrywają rolę w wywołaniu ataku. Po za faktorem psychicznym, spazm mięśnia oskrzelowego może być również wywołany przez n.p. posiłek, na który dana osoba jest uczulowa (tak jak n.p. truskawki, lub jajka), przez wciągnięcie w płuca zimnego powietrza, lub mgły, przez zaburzenia gruczołowe, a w wypadku kobiet — także z powodu braku jednego z potrzebnych hormonów w pewnym, określonym czasie okresu menstruacyjnego. Astmę spowodować może nie tylko sam spazm mięśnia oskrzelowego, ale też jego opuchnięcie, które wywołane być może przez: wchłonięcie pyłków nasiennych, kurzu pokojowego lub kurzu z książek, styczności z futrem zwierzęcym, najczęściej kota lub psa, lub też przez wchłonięcie przez drogi oddechowe polenu pewnych gatunków roślin pokojowych. Jako chorobie zawodowej, atakom astmy podlegają czasami drukarze przez używanie w swej pracy kleju akacjowego, stosowanego czasami do kolorowego druku. Astma może też być nieraz powodowana przez serum, znajdujące się w pewnych typach zastrzyków stosowanych w leczeniu innych schorzeń jak np. w zastrzyku przeciwtężcowym. Oczywiście, są to wypadki dość rzadkie.

Czy istnieją przyczyny schorzeń astmatycznych, czyli tak zwana predyspozycja?

Tak. Istnieje wyraźna predyspozycja rodzinna do zapadania na astmę. Osoba, której ojciec lub matka chorowali na astmę będzie na

Gawędy lekarskie

A S T M A

pewno miała do niej większą skłonność niż człowiek, w którego rodzinie nikt na astmę nie chorował. Stwierdzono również, że kobiety są na to schorzenie odporniejsze od mężczyzn.

Pierwsze ataki astmy przypadają przeważnie na okres dzieciństwa lub wczesnej dojrzałości.

Zajmijmy się teraz klinicznym obrazem astmatyka, Cierpiący na to schorzenie na zapytanie lekarza potwierdza często, że w dzieciństwie cierpił na egzemę, lub też, że przed pierwszym atakiem astmy przechodził ciężki atak bronchitu, albo miał zapalenie płuc. W charakterystycznym wypadku atak astmy pojawił się w nocy, przy czym pacjent udawał się na spoczynek poprzedniego wieczora czując się zupełnie normalnie. W nocy, przeważnie nad ranem, budził się z uczuciem duszenia się, nie mógł zacerpać oddechu, a objawom tym towarzyszył stan lękowy. Pacjent siadał na łóżku, lub szukał dopływu świeżego powietrza. Jest zjawiskiem ciekawym, że ataki mogą powtarzać się regularnie na weekendy, co może być powodowane przez nieszczęśliwe warunki domowe lub rodzinne, o których nie ma się czasu myśleć podczas tygodnia wypełnionego pracą.

Astmatyk podczas ataku często przybiera pozycję „gargoyle“ z katedry Notre-Dame: podtrzymuje głowę rękami, z łokciami opartymi na kolanach. Twarz ma przeważnie bladą i pełną niepokoju. Czubki uszu i usta mogą mieć sinawy odcień. Oddech jest trudny, krótki i nierówny. Po każdym wciągnięciu powietrza w płuca następuje powolny i słaby wydech. Wysiłek przy wydychaniu jest tak duży, że gra mięśni na szyi daje się łatwo zauważyć.

Kilkanaście lat temu przeważał pogląd, że atak astmy często może być śmiertelny. Dzisiaj jednak stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że ludzie, o których mówiono, że zmarli w ataku astmy — w rzeczywistości zeszli z tego świata na zupełnie inne schorzenie, a tylko przypadek chciał, że także chorowali na astmę. Obecnie można powiedzieć z dużą dozą prawdopodobień-

stwa, że mało kto umiera w ataku astmy.

Jeśli chodzi o leczenie astmy, wiele znamy dzisiaj środków, które można stosować z powodzeniem. Do nich należą: adrenalina dawana w postaci zastrzyków podskórnych, lub w formie „nebulacyjnej“ czyli rozpylonej. Jest to po prostu forma adrenaliny rozpuszczonej w wodzie, którą się wdycha przez rozpylanie. Drugim skutecznym lekiem jest rozpuszczanie pod językiem preparatu zawierającego izoprenalinę. Czasami także jedna pigułka efedryny może okazać się bardzo skuteczna. Metodą łatwą do zastosowania w domu jest umieszczenie w nogach chorego gorącej grzałki z jednoczesnym podaniem mu do wypicia filiżanki mocnej kawy. Jeżeli natomiast lekarz stwierdzi, że wyżej opisane lekarstwa i zabiegi nie przynoszą spodziewanej ulgi — ma jeszcze w odwodzie zastosowanie zastrzyku dożylnego z aminophiliny, która jest środkiem bardzo silnym. W wypadku astmy chronicznej stosuje się obecnie cykl kuracji cortizonowej.

W wypadku astmy na tle alergicznym, gdy alergia pacjenta została już klinicznie stwierdzona (n.p. uczulenie na futro kota, pierze w poduszce, kurz itp.) — unikanie styczności z substancją powodującą alergiczny atak astmy może szybko położyć kres schorzeniu. Warto też dodać, że w wypadkach kobiet cierpiących na astmę alergiczną — wrogię dla ich organizmu substancje znajdujemy nieraz w kosmetykach. Jednym ze składników kosmetycznych najczęściej wywołujących atak astmy jest t.z.w. korzeń fiołkowy (po angielsku „Orris-Root“) jeden z najpopularniejszych składników w fabrykach kosmetyków. W Anglii można znaleźć kosmetyki nie zawierające tego składnika.

Na zakończenie gawędy należy podkreślić to, co każdy lekarz wie z codziennego doświadczenia: a mianowicie, że postawa psychiczna i wyrabianie w sobie spokojnej pewności, że nie jest tak łatwo umrzeć w ataku astmy — są rzeczami niezmiernie wagi...

Dr. MICHAŁ

„Babie Lato“ przyniosło promyki nadziei na przyszłość. Zwłaszcza w dziedzinie teatru emigracyjnego. Okres bezwładu i marazmu przewyciężony został i — daj Boże — zakończony na dłuższy czas powrotem do pracy scenicznego reżysera dr Leopolda Kielanowskiego i jego wyborem na prezesa Z. A. S. P. Wystawiona przez niego na otwarcie sezonu sztuka „Kochany Kłamacz“ Jerome Killy'ego, omówiona w poprzedniej kronice, przyjęta została przez krytykę bardzo dobrze i stopniowo — jak to się mówi — rozkręciła się do tego stopnia, że nie tylko można było grać przy wypełnionej widowni, ale nawet trzeba było sezon przedłużyć o kilka przedstawień.

Wśród licznych wystąpień prasy nie brakło głosu Tymona Terleckiego, który obszernie omówił stronę dramatyczną sztuki i jej wystawę, przerywając w ten sposób dłuższy okres swego milczenia na temat teatru emigracyjnego. Obecnie czeka nas następny — tym razem całkowicie przymusowy — okres oderwania się jego od teatru londyńskiego, z powodu objęcia na szereg lat katedry polonistycznej na uniwersytecie chicagowskim. Może ożywający znowu teatr polski w Chicago, dzięki energii, talentom i oddaniu sprawie Elżbiety Dziewońskiej-Krzemińskiej oraz ew. współpracy Toli Korian, da mu sposobność do zajęcia się tamtejszymi sprawami teatralnymi. Tymczasem przed jego wyjazdem odbyła się w ścisłym gronie uroczystość nadania prof. dr Tymonowi Terleckiemu godności członka honorowego Związku Artystów Seen Polskich Zagranicą.

Wraz z ruszeniem naprzód żywego teatru zbiegło się i ruszenie sprawy kształcenia kadr nowego narybku aktorskiego. Przystąpiono do zorganizowania przy instytucji angielskiej i przy jej pomocy finansowej studium dramatycznego, którego kierownikiem ma być aktor i reżyser S. Szpiganiowicz. Ograniczamy się do tej ogólnikowej zapowiedzi, z braku oficjalnych informacji z Zarządu Głównego ZASP, którego referat informacyjny, upraszczając sobie najwidoczniej sprawę, ogranicza się do informowania jednego tylko pisma codziennego.

Nowe usum w pracy Teatru „Syrena“ dla dzieci i młodzieży stanowi wystawienie nowej sztuki pt. „Czarodziejski Ptak“ autorki angielskiej Mary Melwood, w przekładzie i reżyserii R. Kowalewskiej i z dekoracjami i kostiumami F. i J. Matyjaskiewiczów, nie w Londynie, ale najpierw w Manchester.

„BABIE LATO“

ŻYCIE

KULTURALNE

POLSKIEGO

LONDYNU

KONCERTY: Z uroczystości 25-lecia zorganizowanego polskiego życia lotniczego w Anglii związany był koncert Artura Rubinsteina, w nowoczesnym Fairfield Hall w Croydon, który przypadł na obchód 25-rocznicy Bitwy o Wielką Brytanię. Na jego program złożyły się niemal wyłącznie utwory Chopina i 4 Mazurki Karola Szymanowskiego dedykowane przez kompozytora Arturowi Rubinsteinowi. Koncert ten przyjęty był z wielkim uznaniem przez krytykę angielską.

Niejako w cieniu tych wielkich wydarzeń odbył się godny uwagi recital fortepianowy Henryka Mierowskiego zorganizowany przez angielski „Music Club“ afiliowany do „The Questors Theatre“, na Ealing'u. W niewielkiej, ale dosłownie napchanej po brzegi sali polski pianista, nie tylko wykonał kilka utworów Chopina, ale dał również dwa poważne, a nie tak często słyszane utwory z repertuaru klasycznego, w którym szczególnie celuje i Angielską suitę Bacha i Wariacje na temat Handla Brahmsa. Utwory te przyjmowane były z niezwykłym entuzjazmem przez słuchaczy.

W przededniu nowych wystąpień naszych zespołów sztuki ludowej, jak zapowiedziany na połowę listopada „Wieczór Tańców, Pieśni i Obrzędów Zwyczajowych“ zorganizowany przez zespół Polskiej YMCA „Mazury“, zanotować należy echa z części obrzędowej w dorocznie organizowanych przez Związek Rolników Polskich w W. Brytanii „Dożynek“ symbolicznych. Odstępując od dotychczasowego zwyczaju urządzania przy tej okazji rodzaju festiwalu polskich zespołów tańców narodowych, ograniczono się do jednego zespołu „Syrenka“ pod kier. J. Walczaka. Układ obrzędu był, jak zwykle, Ryszarda Kiersnowskiego. Wprowadzone zostały natomiast w większej mierze chóry i sola wokalne. Tak wystąpił Chór im. F. Chopina pod kier. Ryszarda Nawrota, solistka p. J. Hryniewicz i kapela ludowa pod dyr. J. Kamińskiego. Główną częścią programu widowiskowego była „Suita Kurpiowska“ w opracowaniu muzycznym i choreografii Walczaka i „Walczak Dożynkowy“ również w wykonaniu zespołu „Syrenka“ przy akompaniamencie wokalnym i orkiestralnym.

Pomimo zdekompilowania zespołu chorobami „Klub Piosenek“ powrócił do swych codwutygodniowych wieczorów. W pierwszym z nich wzięła udział Renata Bogdańska, która nie-

dawno występowała w Ameryce, Ina Sobieniewska i Tino Valdi. Nadto nadano kilka pieśni z taśmy m. in. J. Czerwińskiej, K. Kaliszewskiej i Karola Marka. W następnym wieczorze zapowiedziany był udział O. Rymaszewskiej, S. Błaszczyka i W. Skoczylasa.

WERNISAŻE: Otwarcie wystawy „Warszawie wczoraj i dziś“ w Doctor's Restaurant, niedaleko Harley Street, odbyło się zgodnie z planem, który szeroko omówiliśmy w poprzedniej kronice. Było rojno i byli reprezentanci krytyki wszelkich odmian. Z punktu sprzedano 8 czy 10 dzieł, co składa się na wyjątkowe powodzenie polskich malarzy poświęcających się tematyce Warszawy. Dzięki swemu wyjątkowemu położeniu, galeria ta ma bardzo interesującą już historię, gdyż w tym solidnym jednocześnie zakładzie gastronomicznym spotkać można wiele wybitnych osobistości. Ale to już nie należy do plastyki.

Dwa dalsze wernisaże odbyły się w nowej Barrett Gallery prowadzonej przez p. Irenę Czarnowską. Pierwszy z nich to było otwarcie jej własnej zaimprowowanej wystawy, wykorzystując przerwę między poprzednią i następną. Można było się przekonać z 40-ki pokazanych obrazów tej wychowawicy Studium Malarstwa Sztalugowego, iż przejąwszy zasady swobody malarskiej krzewione przez Mariana Bohusza-Szyszkę potrafiła nie tylko nawiązać do stylu swego mistrza, ale również zdobyć się na swoiste wypowiedzi. Uprawia rodzaj pół-abstraktu, poprzez który przebija jakiś wątek tematyczny, przedmiotowy lub figuralny. Koloryt ma na ogół szarmonizowany, co jest dobrym zadatkami wstępnym do późniejszych bardziej odważnych osiągnięć.

W tydzień potem nastąpiło otwarcie wystawy nieznanej nam dotychczas graficzki z Edynburga p. Janiny E.

Małkowskiej-Jankowskiej, lwowianki z pochodzenia. Po kilku wystawach w szkockiej stolicy, wyrobiła sobie wcale cenną pozycję w tamtejszym świecie artystycznym, zorganizowanym w kilku czołowych stowarzyszeniach malarzkich. W pokazanych pracach znaleźć można było całą gamę podejść do uprawianego rodzaju sztuki. W „Nocy świętojańskiej“, pierwszym drzeworycie wykonanym w W. Brytanii, widać nawiązanie do najlepszych tradycji polskiego drzeworytnictwa. Potem stopniowo artystka odchodzi od jego etnograficznej figuralności do prac coraz bardziej abstrakcyjnych, traktowanych grubą kreską, niekiedy wielokolorowych, ale już nawiązanych tematycznie i stylowo bądź do motywów starogreckich, bądź do zupełnie nowoczesnej grafiki stylu francuskiego. Niektóre prace mają miękkość kreski linorytowej. Szczególnie ujmujące są jej małe kompozycje w drzeworycie, mogące służyć jako motywy ornamentacyjne do exlibrisów lub zdobnych przerywników. Czystej ilustracyjności jednak unika. Kilka prac zostało od razu nabytych.

Najstarszym tradycyjnym ośrodkiem sztuki plastycznej nadal pozostaje siedziba „Ogniiska Londyńskiego“ Polskiej YMCA. Tam też zachowywany jest utarty już zwyczaj otwierania nowej wystawy przemówieniem kierownika Studium Malarstwa Sztalugowego, prof. M. Bohuza-Szyszki ilekroć chodzi o pokaz prac jego uczniów, czy dyplomantów. Tym razem przemówienie poprzedzone było wezwaniem do chwili skupienia dla uczczenia pamięci zmarłego niedawno wychowanka Studium, świetnego kolorysty Zygmunta Kłosa (1910-1965). Potem nastąpiło przedstawienie dwojga bohaterów wystawy — dyplomantów szkoły — Francis Pratta, Anglika i Krystyny Berens, Polki. Mówiąc o pierwszym po angielsku, językiem bogatym ale utrzymanym w gamie polskiej fonetyki, Bohusz-Szyszko podniósł niezwykle zdolności pedagogiczne Pratta, predystynowanego do rozpowszechniania tradycji szkoły polskiej, podnosząc przy tym jego wielką wrażliwość artystyczną przejawiającą się w jego zwiewnych wizjach malarskich.

Mówiąc o Krystynie Berens po polsku Bohusz-Szyszko podniósł wielkie zalety charakteru i solidność osiągnięć artystycznych po długich 7 latach studiów odbywających się w trudnych warunkach zawodowego i rodzinnego życia na emigracji. Malarstwo jej ma bowiem już wyraźne oblicze indywidualne i łączy kolorystykę utrzymaną przeważnie w głębokich ciemnych tonacjach z dużą zdolnością do kompozycji portretowych chwytających istotne

cechy charakterystyczne modelu. Oba przemówienia były poprzedzone rysem historycznym dotyczącym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i jego wydziału sztuki, którego Studium jest rodzajem kontynuacji. Na otwarciu było tłumnie, co świadczy o popularności tego ośrodka artystycznego. Jak na wszystkich powyżej omówionych wystawach, zwiedzający podejmowani byli lampką wina.

Dla całości obrazu życia plastycznego należy wspomnieć jeszcze nie tylko o pokazach, które odbywały się w trzech naczelnych galeriach polskich: Drian, Grabowskiego i Cassell, ale również i o siódmej z rzędu wystawie „Polskiego Plakatu Filmowego“ urządzonej przez kierownika Klubu Polskiej YMCA. Trwała ona stosunkowo długo przed ostatnią wystawą i składała się na nią zbiór 32 plakatów ponad 20 malarzy krajowych. Dotyczyły one nie tylko filmów polskich, ale i zagranicznych wyświetlanych w Kraju. Wśród wyróżniających się kompozycji graficznych lub malarskich znajdowały się prace J. Młodożeńca, H. Bodnara, F. Starowiejskiego i innych.

SZKOLNICTWO: Początek roku akademickiego musiał zaznaczyć się kilku akcentami z dziedziny szkolnictwa. Zaczęły się one od ogłoszenia o rozpoczęciu wpisów do Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, gdzie prowadzone są studia z zakresu polonistyki, historii i kultury polskiej. Nadto ma się tam możliwość ukończenia przerwanych studiów w różnych dziedzinach nauk humanistycznych, prawnych ekonomicznych i politycznych oraz technicznych z uzyskaniem stopnia magistra względnie inżyniera (RAST) lub doktora w danym zakresie. O specjalnej organizacji studiów dla studentów przebywających poza Londynem dowiedzieć się można z „Informatora Uniwersyteckiego“, specjalnie wydanego w tym celu.

W ślad za tym nastąpiło otwarcie drugiego roku studiów na „Kursie z dziejów kultury polskiej“ na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Kurs ten w zeszłym roku znalazł bardzo dobre przyjęcie wśród licznej grupy słuchaczy, rekrutujących się w poważnym procencie z kół nauczycielskich. Wśród wykładowców znajdują się oprócz profesorów J. Bujnowskiego (kierownik kursu), T. Sulimirskiego, H. Paszkiewicz, L. Koczeo, J. Pilatowej i M. Szyzko-Bohusza, także ks. J. Kołodziejczyk, dr L. Kielanowski, dr C. Halski i mgr. I. Karpińska.

Na początek roku szkolnego zwołana też była doroczna konferencja nauczycielska, zorganizowana wspólnymi siłami przez Zrzeszenie Nauczyciel-

stwa Polskiego wraz z Polską Macierzą Szkolną i Referatem Szkolnym SPK. Udział w niej wzięło ponad 100 nauczycieli z 25 szkół polskich, zarówno z Londynu, jak i 13 innych ośrodków prowincjonalnych. Tematem konferencji było wzmoczenie pracy szkolnej w związku z akcją Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej. M. in. omawiany był rozpoczynający się z początkiem r. 1966 Kurs wiedzy o Polsce współczesnej, organizowany przez Instytut Badania Zagadnień Krajowych, któremu poświęcony był artykuł w poprzednim numerze.

Bardzo w porę ukazała się w Bibliotece Szkolnej, jako jej Nr 10 praca mgr. Michała Goławskiego pt. „Szkolnictwo w Anglii — Informator i Poradnik dla rodziców i nauczycieli“, nakładem Polskiej Macierzy Szkolnej (Londyn 1965, str. 56). Pierwsza część dotyczy szkolnictwa angielskiego podając jego ustrój, adresy urzędów centralnych, podział od przedszkoli do uniwersytetów, wymagania egzaminacyjne, zagadnienie studiów zawodowych i uzupełniającą literaturę informacyjną.

Drugi dział dotyczy szkolnictwa polskiego: internatów i szkół przedmiotów ojczystych, organizacji oświatowych i polskich wydawnictw szkolnych. Książeczka jest nieodzowna dla rodziców polskich dzieci. Pomaga dać dzieciom należyte wykształcenie przy zachowaniu ich dla polskości. Autorowi udzielił specjalnej pomocy p. Jan Niedenthal z brytyjskiego ministerstwa oświaty, przy opracowywaniu rozdziałów dotyczących studiów zawodowych i uniwersyteckich. Z tego opracowania dowiadujemy się m. in., że 75 proc. młodzieży szkolnej uczęszcza do tzw. Secondary Modern Schools, 20 proc. do Secondary Grammar Schools, a tylko 5 % do Secondary Technical Schools. Obecnie jest ok. 100 szkół przedmiotów ojczystych z 4.500 dziećmi polskimi. Całość zamyka bogata bibliografia polskich podręczników szkolnych.

Z AMERYKI: Sale odczytowe Domu Techników przeżyły ostatnio rodzaj najazdu młodych prelegentów ze Stanów Zjednoczonych A.P., dawnych wychowanków uczelni londyńskich. Pierwszym z nich był inż. Roman Krzyżkowski, który mówi o „Amerykańskich Instytutach Planowania Przyszłości“. Zagał zebranie prezes Stowarzyszenia Elektryków Polskich inż. Szwarc wskaźując, iż prelegent jest jednym z pracowników instytutu „Tempo“ przy General Electric, jednego z trzech czołowych (obok Rand Corporation i przy Stanford University). Ilustrując pracę swoją w tym instytucji p. Krzyżkowski mógł posłużyć się epidiaskopem, co

bardzo uplastyczyło jego niezwykle interesujące wywody. Był to właściwie rozdział z jakiejś „Science Fiction“ (fantastycznej opowieści naukowej) poświęconej „Handlowi przyszłości“, gdyż te wszystkie badania przyszłości i jej planowania są źródłem dochodów, na którym opierać się musi być instytutów. Przewidywania dotyczą nie tylko przyszłych broni, ale również produkcji różnych maszyn czy towarów. Obecność Polaka w „truście mózgów“ jest niewątpliwie zdarzeniem z którego społeczność polska może być dumna.

W tydzień potem odbył się podobny odczyt prof. Ryszarda Syskiego z Uniwersytetu w Maryland. Zebraniu przewodniczył inż. K. Głuchowski, kierownik sekcji odczytowej Stowarzyszenia Techników Polskich, które zorganizowało ten odczyt nt. „Pracy naukowej prelegenta na terenie amerykańskim“ wespół z P. U. N. O. Prof. Syski wracał właśnie do domu przez Londyn z międzynarodowego Kongresu matematycznego w Lizbonie, na którym nie tylko wygłosił referat na temat swej specjalności (teoria prawdopodobieństwa, procesy stochastyczne), ale nawet przewodniczył na jednym z zebrań kongresowych. Po omówieniu swych wyważań z Lizbony szczegółowo przedstawił warunki pracy na swym uniwersytecie Maryland, jak również podczas wakacyjnych kursów specjalnych w Kalifornii, w których rok rocznie bierze udział. Ponadto sam brał udział w przygotowywaniu prac badawczych dla różnych instytutów i Naval Office (Urząd Morski USA).

J. Ostrowski

Czytaj polską książkę

Wzmacniające nerwy i oczyszczające krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

SALA zabrzmiała brawami. Dyrektor Instytutu, w otoczeniu najbliższych współpracowników, powoli szedł między rzędami krzeseł, zmierzając ku swemu honorowemu miejscu na estradzie. Wyglądał dostojnie i odświeżenie: lysiejąca głowa odbijała blaski lamp, a na szyi kwitł mu jaskrawy kwiat egzotycznego orderu. Mimo poważnego wieku poruszał się rześko i energicznie; tak energicznie, że jego sekretarka osobista, siedząca w dziesiątym rzędzie, zwróciła się do swej koleżanki i powiedziała, porozumiewawczo mrużąc oko:

— Popatrz, jak Stary chodzi dzisiaj! Jakby go nakręcili!

Koleżanka uśmiechnęła się znacząco:

— Moja droga, nie ma się czemu dziwić! Jego święto! Dwadzieścia lat na czele Instytutu! Spójrz tylko na te wszystkie grube ryby w pierwszych rzędach! Nic dziwnego, że Stary się tak puszy.

Istotnie, siedzący w pierwszym rzędzie pan minister bił brawo ze specjalnie na tę okazję włożonym wyrazem, mającym wyrażać równocześnie godność swego urzędu i oficjalne, zbiorowo-rządowe uznanie dla zasług jubilata. A za panem ministrem bili brawo przedstawiciele rządów sprzymierzonych i zaproszonych, a także dyrektorzy departamentów, naczelnicy wydziałów i co bardziej wysłużeni referenci (innych na uroczystość i bankiet nie proszono). A za władzami — publiczność. W glorii tych zbiorowych oklasków dyrektor Instytutu płynął, powiedziec można, ku swemu jubilejkowi fotelowi na podium; a dopłynawszy, zasiadł i bystrym jeszcze spojrzeniem spoza dostojnych, rogowych okularów zlustrował salę. Uśmiechnął się z odpowiednią dozą czynnego zaangażowania do pana ministra, odpowiednio mniejszym uśmiechem pozdrowił dyplomację, stopniowo redukując ciepło uśmiechu poprzez dyrektorów departamentów i naczelników wydziałów aż do referentów, na których spojrzał zaledwie życzliwym okiem. Pan minister wstał i wśród cichnących zwolna oklasków wszedł na mównicę, wydobywając z kieszeni tekst przemówienia, przygotowany wczoraj przez sekretarza (obecnie siedzącego w siódmym rzędzie) i napisany na maszynie przez maszynistkę mini-

JUBILAT

sterialną (której, naturalnie, nikt na uroczystość nie zaprosił). Stanąwszy pewnie za pulpitem, na którym złożył maszynopis, pan minister odchrząknął, odruchowo rzucił okiem na zegar, znajdujący się na drugim końcu sali („O, psiakrew, już kwadrans po siódmej! Diabli wiedzą, jak się ta cała historia przeciągnie!“), ujął w ręce brzegi pulpitu, pochylił się wprzód, życzliwie spojrzął po sali i zaczął:

— Panie, panowie — i ty, czcigony jubilecie...

Uroczystość popłynęła swoim torem.

Nie słuchając słów ministra, jubilat zajął się ważniejszymi problemami. Myślącym wzrokiem spoczywając na przeredzającym się uwłosieniu dostojnika („Chyba jednak farbuje te włosy. Ma przecież swoją sześćdziesiątkę. No tak zawsze okropnie dbał o swój wygląd zewnętrzny — aż do przesady...“) usiłował sobie przypomnieć, gdzie też mógł wetknąć te spinki z perłami, których ani rusz nie można było dzisiaj znaleźć. „Zawsze przecież kładę spinki do pudełka. Albo oddaję Janowi. A tu ani śladu. Jana nie podejrzewam — tyle lat już u nas służy. Więc co? Pod ziemię się nie zapadły?“ Usłyszał oklaski i przybrał wyraz przyjaznej czujności. „Diabli wiedzą, czy to pod moim adresem? Może facet coś na tematy patriotyczne, naszych osiągnięć w ogólności?“ Na wszelki wypadek zlekka skłonił głowę. Minister mówił dalej. „Jeżeli Jan nie wziął, to kto? Może zostały w mankietach i pojechały do pralni razem z koszulą? A to ładny kawał! Wiadomo, jak teraz wszędzie kradną! To już byłby koniec! Chyba że to Antoni — on czasem się do moich rzeczy dobiera. Muszę go zapytać: syn, nie syn, ale spinek nie powinien brać bez pytania. Właśnie mi są potrzebne, a on tam siedzi w moich spinkach.“ Zacerwienił się z irytacji i spod oka spojrzął na pierwszy rząd, gdzie siedziała jego rodzina. Zanim jednak skupił swoją uwagę na synu, odezwały się znowu oklaski, huczniejsze tym razem. Szybko

JEGO CHWAŁA, JEGO MYŚLI I JEGO SPINKI OD MANKIETÓW

zwrócił się w stronę mówcy — czyżby już skończył? Niemożliwie! A jednak tak: minister właśnie opuszczał mównicę. Jubilatą ogarnęła irytacja: ileż to razem wszystkiego trwało, to jego całe przemówienie? Dziesięć minut? A na jubileuszu tego bałwana od spraw kulturalnych pół roku temu gadał dobre pół godziny. No tak, ale on przecież wie że ja go mam za hetkę pętelkę, a tamten cymbał na czworakach przed nim chodzi.

— Monsieur le ministre, mesdames, messieurs...

A to co? Następny? Naturalnie, kolej na dyplomację. Dajcie spokój, ileż to jeszcze tych przemówień? Pięć, osiem? Widziałem rano program uroczystości, ale nie zwróciłem uwagi. Zaraz, zaraz, już wiem: przemówienia będą trwały do dziewiątej (z moim włącznie), a potem bankiet w sali recepcyjnej Instytutu. Jubilat wzdrygnął się. Bankiet! W moim wieku wolałbym o dziewiątej być w domu, w wygodnych pantoflach, a nie pić wina (czerwone wino już od lat mi nie służy, kiepsko po nim sypiam) i jeść potrawy, które są dla mnie za ciężkie i za tłuste. Zwłaszcza za tłuste. Chociaż diabli wiedzą, jak jest naprawdę z tym cholesterolem, lekarze podobno już nie są pewni, czy to szkodzi. Niektórzy nawet twierdzą, że pewna doza cholesterolu jest niezbędna dla organizmu. Znowu brawa? I to wyraźnie pod moim adresem, bo ambasador szarmancko wskazuje na mnie dłonią..

Jubilat uśmiecha się dobrotliwie, wkładając w uśmiech tyle ciepła, na ile go stać z myślą o zgubionych spinkach, czerwonym winie i cholesterolu. Przez chwilę słucha słów mówcy, ale ciężko po francusku. Nigdy nie nauczyłem się na prawdę dobrze po francusku. Oczywiście, francuski już nie ma tego znaczenia, co dawniej, ale jednak. Czytam swobodnie, ale mówię gorzej od Churchilla. Znowu przypominają mu się spinki i podejrzliwie patrzy w pierwszym rzędzie, ale, na-

turalnie, z tej odległości mowy nie ma o rozpoznaniu i zidentyfikowaniu jego spinek. A swoją drogą to bezczelność, powinien był mnie o to zapytać. Ma przecież dosyć swoich rzeczy."

Brawa. Ambasador w uśmiechach odstępuje miejsce następnemu mówcy. Jubilat przez chwilę go nie poznaje. W jakim języku ten gość gada? Ach, jest tłumacz, zaraz się dowiemu. Przedstawiciel akademii Nauk z Moskwy? No, no, taki kawał się przejechał na mój jubileusz. Teraz pamiętam, widziałem go na zjeździe — zaraz, zaraz, chyba w Teheranie? Nie, nie, już wiem, w Manili! Najeździł się człowiek, nie ma co. Tylko że dawniej sprawiało to przyjemność, a dzisiaj? Wszędzie to samo: aule, zjazdy, przemówienia, bankiety, odznaczenia. W Bankoku, coprawda, puszczała wspaniałe fajjerwerki z okazji zjazdu. A w... gdzie to było, ta śliczna brunetka? At, dawne dzieje! Jubilat stara się skoncentrować na mówcy, przypomina sobie, że nie zna rosyjskiego — i wraca do spinek. Cały wieczór ma właściwie popsuty. Stanowczo musi porozmawiać z Antonim.

Przybył z Moskwy skończył, tłumacz skończył. Brawa. Następny! Sprężysty, dynamiczny, z czarnymi, przylizanymi włosami wchodzi na mównicę dyrektor odnośnego departamentu. Jubilat patrzy na niego z niekłamaną odrazą. To przecież z nim odbywa coroczne zmagania o dotacje dla Instytutu. Ten bezczelny bubek ośmielił się kiedyś powiedzieć — poważnie! — że gdyby Instytut zamknięto, to też nie byłoby dziury w niebie. Dziury w niebie! A gdyby jego departament skasowano, bagatela, nie departament, całe ministerstwo, to jakby ta dziura w niebie wyglądała? Ze wstętem słucha oleistych pochwał działalności „tej jedynej w swoim rodzaju, nie do zastąpienia, instytucji, jaką jest Instytut. A Instytut — to jego dyrektor!" (Palec w kierunku jubilata jak lufa pistoletu. Jubilat kurczy się, jak skazaniec przed egzekucją. Salwa oklasków).

Jubilat stara się nie słuchać, ale donośny głos mówcy wdraża się w uszy mimo oporu. Gliceryna pochwał kapie kropla za kroplą: „Niezastąpiony... jedyne... energia... wiedza... poświęcenie... zapał... ofiarność...“ W jubileacie narasta cicha furia: najpierw te spinki, potem minister ze swoim krótkim (za krótkim!) przemówieniem, teraz ten łobuz, który by go przecież w łyżce wody utopił, gdyby tylko mógł. Wszystko to oszustwo. Nagle jubileusz narasta mu w ustach goryczą, jak dawka chininy. Ci wszyscy dostojnicy i funkcjonariusze w pierwszych rzędach, po co oni tu przyszli? Przecież nie z miłości i uznania dla niego. Prawie z każdym z nich miał jakieś starcia, nieporozumienia, kiepsko zatuszowane, niewygasłe urazy. Pełnym wrogości wzrokiem wodzi po zasłużonych w namaszczeniu twarzach: o, ten w binoklach na nosie, kopał pod nim dołki na każdym kroku; ten obok niego, o nalanej twarzy, konkurent do stanowiska dyrektorskiego, nazwał go „czyrakiem na zdrowym ciele Instytutu"; ten o rząd z tyłu, chudy, o sępiem nosie, napisał kiedyś, że właśnie on „stanowi najpoważniejszą przeszkodę dla pomyślnego rozwoju Instytutu"; i ten o trzy miejsca w lewo, i tamten o pięć miejsc w prawo. A ci tylko z widzenia, albo całkiem mu obcy, po co przyszli? Albo żeby się pokazać, albo na bankiet. Co on ich obchodzi? Co oni jego obchodzą? (Mówca znowu się zmienił). Ach jakby to było rozkosznie wygarnąć im w oczy prawdę, powiedzieć, że ani Instytut, ani on wcale ich nie obchodzą bo nie są przecież w stanie sięgnąć wzrokiem po za zasięg swych nosów. Lilipucie mózgi! Serca karłów!

Jubilat zapala się. Już widzi sensacyjne tytuły w jutrzejszych gazetach, widzi swoje fotografie na pierwszych stronach czasopism. To byłby dopiero jubileusz! Nigdy nigdzie takiego nie było! Konsekwencje? W jego wieku? I tak odchodzi na emeryturę. Strata przyjaciół, znajomych? Ktożby się tym przejmował! Pełnym pogardy wzrokiem mierzy mówcę; naturalnie, to też jeden z tych, co po za jego plecami obszczekuje go od lat, a teraz pod niebo wynosi jego zasługi. Poczekajcie! Niech tylko przyjdzie kolej na jego własne przemówienie!

Szereg mówców zbliża się ku końcowi, czeka, uśmiechnięty i zdecydowany. Ależ to będzie kawał! Nie kawał, a prawdziwa eksplozja, godne ukoronowanie dwudziestu lat jego pracy w Instytucie. Oto pierwszy człowiek, który publicznie powiedział, co myśli. To chyba naprawdę historyczne osiągnięcie.

Ostatni mówca kończy, z rewencją i w półukłonie wskazując dłonią na jubilat. Przewodniczący z uśmiechem wskazuje mu mównicę. Publiczność klaszcze. „Poczekajcie, potem będziecie dopiero klaskali!” — myśli jubilat, dźwigając się na nogi. Ktoś potrzymuje go za łokieć. Jubilat odrzuca pomocną dłoń. Czuje się bardzo silny („Jak to powiedział Ibsen we „Wrogu Ludu”? Najmocniejszy jest człowiek, kiedy jest sam!”) i pewnym krokiem wchodzi na mównicę. Siega rękę do kieszeni po skrypt swojej przemowy („Po co? naturalnie, z przyzwyczajenia!”) i natrafia na coś twardego. Spinki! Jego spinki z perłami, których brak popsuł mu całą uroczystość. Jubilat czuje, jak cały uraz, cała pasja nagle go opuszczają. Ostatecznie, ludzie są tylko ludźmi, nie zmienia się ich w żaden sposób.

Wyciąga z kieszeni maszynopis, poprawia okulary, opiera się dłońmi o pulpit i zaczyna:

— Panie ministrze, panie i panowie...

Sala zastyga w pełnym szacunku oczekiwaniu.

Stefan Wóycicki

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Tom XCIX

Wincenty Witos

MOJE WSPOMNIENIA

Dokument pisany ręką wielkiego wodza chłopów polskich i czołowego męża stanu Polski współczesnej

Trzy tomy o łącznej objętości 1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w GRYFIE — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11, oraz we wszystkich księgarniach polskich

UCZONO nas, że największym skarbem człowieka, skarbem niepowracalnym i zawsze trwonionym zbyt szybko — jest jego młodość. Szukaliśmy sekretu zatrzymania jej w sobie poprzez pracownie średniowiecznych alchemików i ich eliksiry życia, poprzez kamienie filozoficzne i filtry wiecznej młodości, a potem, w czasach już nam współczesnych — przez biologię. Szukaliśmy i dalej szukamy uparcie i właściwie beznadziejnie, rozciągnięcia czasu niepowtarzalnej młodości, która, rzecz jasna, umiera na zawsze w nas pewnego dnia, nie tylko przez fizjologiczne zmiany, jakie w naszym organizmie zachodzą, ale także i przez to, że młodość między innymi swymi atrybutami jest przede wszystkim uczuciem się życia, jest drogą, przez którą możemy przejść tylko raz — naprzód, ale na której nie możemy się cofać. I tak więc smętnie i z westchnieniem żalu czytamy od czasu do czasu o tym czy innym odkryciu, zabiegu, teorii, która by mogła przywrócić nam naszą zmarłą na progu dojrzałości młodość. Jak alchemicy średniowiecza szukamy wciąż eliksiru, czując podświadomie, że go nie znajdziemy.

Stosunkowo niedawno, chyba od odkryć Freuda — zaczęliśmy szukać rady na przedłużenie młodości w dziedzinie psychiki i podświadomości. Te wycieczki uczonych w głąb psyche człowieka były już może bliższe formuły na „filtr młodości“, nie spełniały jednak swego zadania, może najwyżej rozjaśniały ciemne zakamarki człowieka „ego“ i pomagały czasem do zrozumienia pewnych problemów. Nie usuwały jednak ani jednej bolączki, powstałej na tle „straconej“ czyli źle wykorzystanej, czy też po prostu minionej młodości.

I naraz w myśleniu społeczeństwa — bo ono niemal na równi z tkanką, ze skórą, ze sprawnością fizyczną i umysłową kształtuje nasze pojęcia o młodości — zaszła ogromna zmiana. Zmiana ta postępowała widocznie powoli, opierając się na nieuchwytnych przesłankach rytmu życia współczesnego człowieka — jak higiena dnia codziennego, odżywianie, poziom dobrobytu mas — na tym wszystkim, co się kształtuje powoli, przynosząc widome rezultaty po wielu dopiero latach.

Takim przykładem nowego nastawienia do problemu młodości jest rewelacyjny artykuł Anthony Storr'a, ((autora „The Integrity of Personality“, oraz socjologicznego dzieła „The Sexual Deviation“), który ukazał się w londyńskim „Sunday Times“ z sierpnia br. Artykuł ten powinien przeczytać

SEKRET

każdy, trudno jest go bowiem streścić. Jest to niezwykle wnikliwa analiza przemian, jakie zachodzą w człowieku „biologicznym“, który według Storr'a — przechodzi w wieku tak zwanym „przejęciowym“ nie klimakterium, ale nawrót drugiej młodości. Twierdzenia jego, poparte są ciekawymi przykładami (np. przypadek Ibsena, który na progu wieku „przejęciowego“ zmienił nie tylko charakter pisma i sposób zachowania się, ale i powierzchowność; takich przykładów Storr cytuje wiele, nie będąc w tym zresztą odkrywczy, gdyż podobne wypadki cytował już Jung).

Zdarzyło się, że po przeczytaniu artykułu Storr'a wpadła mi w rękę książka traktująca o zachowaniu i przedłużaniu młodości, która — odbiegając diametralnie od wywodów angielskiego autora, ma z nim jednak jakieś wyraźne styeczne, podbudowując niejako, to co Storr zawarł w wielkim skrócie w swym rewelacyjnym artykule i dopełniając niejako po stronie fizycznej „drugiej młodości“ człowieka to, co Storr odkrył po stronie psychicznej. Książka ta, „The Secret of Life and Youth“ — „Sekret życia i młodości“ napisana została przez francuską lekarkę, Marguerite Maury, laureatkę nagrody „Prix International d'Esthetique et Cosmetologie“ w roku 1962. Pani Maury całe swe zawodowe życie poświęciła walce ze starością.

Książek na ten temat ukazało się wiele, począwszy choćby od słynnego Gaylorda Hausera, który w swej klinice w Szwajcarii każe swym pacjentom odżywiać się melasami, sokami owocowymi i drożdżami, twierdząc, że otrzymuje za pomocą tych pożywek rezultaty całkowitego odmłodzenia starzejącego się organizmu. W całym szeregu metod tych czy innych lekarzy jest na pewno wiele słusznych zaleceń, wiele możliwości poprawienia zdrowia, ale napewno żaden z nich nie dał nam dotychczas recepty na młodość.

Nie daje nam jej też i Marguerite Maury w swojej pracy. W jej książce są jednak elementy, nad którymi warto się zastanowić; są chwilami rewela-

*) THE SECRET OF LIFE AND YOUTH, Regeneration Through Essential Oils, A Modern Alchemy by Marguerite Maury str. 234, Macdonald, London, cena 25/-.

DRUGIEJ MŁODOŚCI

cyjne sformułowania i proste odkrycia, pełne zdrowego rozsądku.

Doktor Maury studiowała medycynę chińską, tybetańską i hinduską. Nad tym co pisze o szkołach medycznych tych krajów, należałoby chyba przejść do porządku dziennego, nie poświęcając im wielu rozważań. Szkoły te, chociaż na pewno nieraz odkrywcze i wyciągające słuszne wnioski z zaobserwowanych zjawisk, są jednak, siłą rzeczy, przeznaczone dla człowieka Azji.

Trudno aby Europejczyk, który żyje w warunkach swego kontynentu tak samo specyficznych dla niego, jak specyficzne są warunki klimatyczne, dietetyczne i psychiczne dla Azjaty w Azji, aby Europejczyk ten osiągnął dla siebie równie błogosławione skutki z przykazań owych szkół. Dysertacje dr Maury z dziedziny ezoterycznej (cały rozdział pt. „Return to the Sources”, czyli „Powrót do Praźródła”) są właściwie dla przeciętnego Europejczyka nie zrozumiałe, a tym samym chyba nie potrzebne. Gdy już natomiast przebrniemy przez jej osobiste ezoteryczne „credo”, P. Maury zaskakuje nas swą specjalnością i jej możliwościami. Specjalnością dr Maury jest leczenie oraz zapobieganie starzeniu się za pomocą esencji i olejków, wydobywanych z roślin. Gdy lekarka francuska pisze na ten temat, książka staje się fascynująca.

I bez dr Maury wiemy, że w naturze, w ziołach, krzewach, kwiatach i korzeniach znajduje się prawdopodobnie każdy potrzebny nam lek na każde schorzenie — vide choćby pajęczyna ugniatana z razowym chlebem przez Maćka z Bogdańca jako „dryakiew na rany najlepsza”. Była to po prostu penicylina, która znajduje się w ogromnych ilościach w nici pajęczej. Tak więc wywody lekarki, że eliksirem prawdziwej młodości są olejki, zawarte w otaczającej nas florzę trafiają do przekonania. W książce swej autorka nazywa zapachy trochę po miódopolsku, czy secesyjnie „duszą rośliny”, ale tłumaczy nam bystro i przystępnie, dlaczego ta wonna „dusza” ma tak ogromne znaczenie, dlaczego kwiat, który traci zapach — więdnie, czyli starzeje się, dlaczego nasza skóra, która jest pierwszym zewnętrznym sprawdzianem młodości lub starzenia się — reaguje tak wdzięcznie, a czasami prawie, że natychmiast na leczenie esencją z rośliny, której zapach jest także źródłem młodości dla samej rośliny.

Olejki, esencje, konkokeje z ziół czy kwiatów, nie są stosowane w klinice p. Maury jedynie zewnętrznie i kosmetycznie. Dodaje je ona do potraw, czy w formie indywidualnych eliksirów (każdy człowiek bowiem podobno uczulony jest na inny zestaw zapachów i esencji), wprowadza do organizmu ludzkiego — i to podobno zawsze z doskonałymi rezultatami — niejako samą duszę przyrody i z jej pomocą powstrzymuje bieg czasu. Metody dr Maury opisane dokładnie w jej książce, wydają się nam słuszne, logiczne, proste i pozbawione jakiegokolwiek szarlatanerii. Czyli — jak mówią Anglicy — „they make sense”.

Rozdziały „Odoriferous Matter” czyli „Wonne Składniki”, oraz „The Use of Aromatics” są bardzo ciekawe. Sądzę, że każdy czytelnik może w tych rozdziałach znaleźć coś dla siebie i wypróbować na samym sobie te nieszkodliwe, a ponoć zbawienne w skutkach esencje — jak na przykład z indyjskiej werweny, czarnego pieprzu, kwiatu pomarańczowego, a przede wszystkim z róży — tej królowej kwiatów, o najpiękniejszej, najwonnejszej duszy w królestwie przyrody, której olejki i aromaty pomagają podobno niemal na wszystkie ludzkie dolegliwości.

Książka dr Maury jest więc pouczająca i zabawna, może niezbyt dobrze tłumaczona z francuskiego, stylem raczej sklepikarskim niż literackim, ale to nie umniejsza zasług jej treści. W zestawieniu z socjologicznym artyku-

łem Storr'a jest oczywiście rozrywką, czy jeszcze jedną spekulacją na odwiecznie bolesny temat przemijania czasu młodości. Ale jak już zaznaczyłam na początku — książka ta o tak odmiennym kalibrze — dopełnia w jakiś sposób myśl Storr'a i napełnia czytelnika chęcią eksperymentu. Na pewno jest warta przeczytania, a dla tych czytelników, którzy nie mieliby już chęci na pogoń za nieuchwytną bajką młodości „The Secret of Life and Youth” może być doskonałym przewodnikiem dietetycznym, gdyż dr Maury nie szczędzi przepisów na gotowanie z ziołowymi przyprawami, które — i w to jest najłatwiej uwierzyć — jeśli dodane do potraw rozsądnie, wprowadzają zbawienną w skutkach rewolucję w system trawienny zmęczonego człowieka wieku dwudziestego.

NOWE WYDANIE

głośniejszą książkę

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ”

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF” — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru”



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biurowo Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.

PRZED PRZEJŚCIEM MORZA

(O „Próbach i Zamiarach“ Zofii Romanowiczowej)

Z rzetelnością, która cechuje całą jej twórczość literacką, Zofia Romanowiczowa nazwała swoją nową książkę: „Próby i zamiary“. I czytając opowiadania bliskie tematów jej książek „Przeście przez Morze Czerwone“, „Słońce dziesięciu linii“ i „Szkłana kula“, trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy przed sobą wprawki literackie, próby przed przystąpieniem do właściwego dzieła. Uprzedza to czytelnika i sugeruje mu rozszyfrowanie każdego opowiadania na własną rękę.

Nie mogąc rozstać się z prawdą, Romanowiczowa skazała swoją książkę na rolę komentarza do twórczości „większej“.

To źle i niesprawiedliwie.

Zapomnijmy na chwilę o tytule i zaznajomijmy czytać opowiadania tak, jak niektóre z nich czytaliśmy rozsiane w pismach, dla nich samych, w każdym oboznej szukając prawdy.

Rzetelność, choć nie jest najważniejszą zaletą twórczości pisarki, sprawiła, że w jej opowiadaniach nie ma błędów popełnianych w pośpiechu i samozadufaniu przez wielu pisarzy, którzy ze swych wspomnień starał się zbudować dzieło literackie. Każde opowiadanie jest zamkniętą, zwartą, kompozycją ograniczającą się do jednego problemu i problem ten wyczerpującą. „Próby“ są szlachetnymi, wykończonymi klejnotami rzemieślnika, który marzy o cyzelowanej koronie.

Ważniejszą od rzetelności pisarskiej jest u autorki „Prób i zamiarów“ nieustające dociekanie, jaką powinna być postawa moralna i psychiczna człowieka — tu zawsze kobiety — po przejściu Styksu, po znalezieniu się na drugim brzegu morza i czarnego od śmierci i rozpacz. Ile człowieczeństwa ocalało? Ile zgnió i zbutwiało, jak pamiętka po siostrze z opowiadania „Kukułka“?

Ciała pozostające tyle lat w grobach rozpadają się, zeszyty z wierszami, zapiski grzebane w skrytkach obozowych stają się „motkiem pleśni bezkształtnych i odrażających“. Co ocalało z obozu? Czy tylko pamięć krzywdy?

Czy pamięć ludzi?

Oto kilka obrazów dziewczyn straszliwie skrzywdzonych, które z szeregów „haftlingów“ wyrwała selekcja: „Gdy zabierano ją z szeregu, trójkącik jej twarzy poszarzał na popiół“ (Zguba).

„Gdy wywołali jej numer, zachwiała się tylko leciutko... Miała burą chustkę, granatowy fartuch, suknię szarą. Palce miała poplamione jagodami“ (Moja siostra Marta).

„Zabolało ją mniej niż myślała. Po prostu otwarło się dno pod stopami. I

mała Genia, szesnaście lat, chybiona Joanna, niedoszła Julieta, usunęła się weń skwapliwie, jakby z bólu pękło jej serce.“ (Sentymentalna edukacja).

Tak odchodzą bohaterki opowiadań, kilkunastoletnie dziewczynki i dorosłe kobiety, które przez cały czas walczyły o ocalenie. Zielnik, wiersze, żdźbło trawy, czy placki kartoflane nabierały w tamtym życiu mocy tajnych broni do walki o odsunięcie ostatecznej kłeski.

Niemcy, strażnicy i kaci obozowi usuwają się w tło opowiadań, pełnią rolę bierną, jak druty kolczaste. Okrucieństwo ogromne, ponadludzkie, jak odwieczne dzieło szatana, rozpina się ponad obozem nocą nienazwaną.

Tę noc pokonują nie wielcy bohaterowie z bronią w rękę, ale drobne, wątłe roślinki uczuć ludzkich. One w przyszłości rozrosną się w las szumiący przebaczeniem i żalem. Rozleją się w morze, na którym nie znać będzie szwów rozdarcia.

Romanowiczowa nie poprzestaje na tematach obozowych: w tomie znajdziemy „Myszkę“ opowiadanie pełne nastroju „Szkłanej kuli“; „Niewidzialny ogród“, „Parawan“ wiążące się ze „Słońcem dziesięciu linii“; „Naukę mowy“, która w mistrzowskim skrócie przedstawia problem „Bałki i Barbary“.

I tak dalej idąc znów zbliżamy się ku sugestii tytułu i odkrywamy w każdym opowiadaniu tajemnicę pracowni pisarskiej.

Ale to tylko pozór. Nawracanie do tematu, do problemów szczególnie przejmujących pisarza nie jest cechą twórczości tylko Romanowiczowej. Każdy prawdziwy twórca, artysta czujący odpowiedzialność próbował brać się za bary ze swymi problemami z każdej strony, aż trafiwszy na właściwy słój rozbił olbrzymi głaz z łatwością.

Znacznie większe znaczenie ma to, że wszystkie opowiadania będące „próbami“ czy „zamiarami“ są skończonymi dziełami literackimi. To nie są próbki stylu, to styl opanowany i utrzymany w tym samym tonie.

„Noc zapuszczała kurtynę, dzień ją podnosił“.

„Czasem dawali nam spacer“.

„I nagle po roku użerania się o niteczkę powietrza, ten ogródek jak wielki, majowy bukiet ofiarowany komuś pośrodku najciemniejszej zimy.“

Te na wrywki wybrane zdania czyż nie obrazują nastroju słowami odarty-

mi z patosu, zwartymi funkcjonalnie i oszczędnie?

„Skwerek jest wąski iak przerebel wyrąbany w szarym lodowisku przedmieścia“ — takie zdanie wprowadza nas do opowiadania o pannie Julii. Jest jakby kwintesencja, kluczem wiolinowym przed „dziesięciu liniami“, na których odczytamy dramat o ocaleniu nadziei słońca w kwadracie okrutnego życia.

Prawdą Romanowiczowej jest walka o zadośćuczynienie krzywdzie człowieka. Jego osobistej krzywdzie, na pozór małej i nieważnej w chaosie problemów społecznych i politycznych — pamiętamy „Słońce dziesięciu linii“, gdzie osobista tragedia rozgrywa się na tle tragedii narodowej.

Czy, aby świat istniał, potrzeba jest krzywd Geń, Iren, śmierci Marty, cierpienia bohaterek „Parawanu“ i „Szkłanej kuli“, smutku panny Julii?

Jedno z opowiadań pozornie nie jest związane z problemami ocalenia wiary w życie. „Kot“ zawiera krótką historię małżeństwa przebywającego, gdzieś, zdaje się na południu Francji, na urylopie. Deszcz pada, senność i zniechęcenie. Wracają ze spaceru i spotykają kota, który, jak to często bywa, biegnie za nimi upoczywie. I w tym nagłym przywiązaniu okazany przez małutkę zwierzę, znajdują oboje pociechę. Kot na progu domu ginie pod kołami samochodu.

„W pokoju było zimno, ogień zgasł. Na fotelu stała pusta walizka. Zabrała się do pakowania, jakby już w tej chwili mieli stąd wyjeżdżać. Starannie i długo składała nową (nieużytą na urylopie — przypisek mój) suknię w kwiaty. Nie odzywali się do siebie ani słowem.“

„Przyłożył czoło do szyby w chwili, kiedy zadzwoniły o nią pierwsze duże, krople deszczu.“

Kończąc swoje opowiadania Romanowiczowa nie woła do nas: Płaczcie! Protestujcie! Walczcie o inne życie!

Nie żąda od nas niczego, prócz zastanowienia się, z czołem przyłożonym do szyby, tej reakcji jaka jest dla każdego najważniejsza, własna, głęboko sięgająca i pokryta ciężarem milczenia.

Na zakończenie, coś co nie powinno być poczytywane za złośliwość, zwłaszcza, że czytanie Romanowiczowej rozładowuje złość i jadowitość w każdym człowieku.

Otóż słyszy się wciąż jeszcze wypowiedzi czytelników, zwłaszcza tych trochę leniwych, że książki Romanowiczowej są „za trudne“. Teraz wydaje się, że sprawa „trudności“ — absolutnie nie zgadzam się z tym określeniem — może być rozwiązana raz na zawsze. Wystarczy zacząć lekturę od początku, od „Prób i zamiarów“, potem czytanie „Przejścia przez Morze Czerwone“, czy „Szklanej kuli“ okaże się łatwym i gładkim żeglowaniem po wielkim morzu.

Przyzwyczailiśmy się do książek Zofii Romanowiczowej w stałej szacie paryskiej Libelli. Niezmiernie przyjemną niespodzianką jest piękny układ książki wydanej przez Polską Fundację

Kulturalną i bardzo dobra okładka Danuty Laskowskiej.

Osobiście zastanawiam się obecnie, gdzie wstawić „Próby“? Między kolorowe, zadziwiające różnorodnością i tematami autorów książki Fundacji, czy umieścić je tuż obok książek Libelli z jaskółką?

Fundacja Kulturalna dała nam jeszcze jedną ciekawą pozycję książkową — czyżby z nadzieją na tegoroczną nagrodę Wiadomości? Jeżeli tak, to życzymy powodzenia z całego serca.

Czesław Dobek

Zofia Romanowiczowa. *Próby i zamiary*. Polska Fundacja Kulturalna. Seria IV. Londyn, 1965 r.

KAZIMIERZ GLABISZ

DWIE KSIĄŻKI O 2. KORPUSIE

Tak dziwnie się złożyło, że w dwudziestą rocznicę bojów II. korpusu pojawiły się niemal równocześnie dwie pierwsze monografie poświęcone jego powstaniu i działaniom. Pierwsza z nich nakładem Sekcji Historycznej II. Korpusu w Londynie, jako dzieło zbiorowe pod naczelną redakcją pika dra Stanisława Biegańskiego, druga nieco później nakładem warszawskiego M. O. N. — jako praca indywidualna Kazimierza Rosen-Zawadzkiego, którego obecny stopień wojskowy nie jest mi znany.

Książka londyńska, stanowiąca tylko I. tom dzieła dwutomowego, jest względnie ma być historią II. korpusu w pełnym tego słowa znaczeniu, książka warszawska omawia niektóre fragmenty tej historii w formie „uwag i polemik“. Toteż pierwsza z nich jest wielokrotnie obszerniejsza: obejmuje — razem z odsyłaczkami i załącznikami — aż 662 duże strony, zadrukowane oszczędną czcionką oraz 28 szkiców, gdy książka Rosen-Zawadzkiego ma tylko 245 stron mniejszego formatu i 7 szkiców.

Alę nie na nierówności rozmiarów tekstu i wachlarza omawianych tematów polega główna różnica między tymi monografiami. Polega ona przede wszystkim na krańcowo odmiennym podchodzeniu ich autorów do omawianych zagadnień, powodowanym zresztą nie tylko przynależnością do innych szkół historycznych i przeciwnych obozów ideowo-politycznych.

*) „Działania II. korpusu we Włoszech“ (drukem „Gryf Printers“ Londyn) i „Z dziejów II. korpusu polskiego — Uwagi i polemiki“ — (drukem Wojskowych Zakładów Graficznych w Warszawie).

Książka Biegańskiego (nazwę ją tak dla uproszczenia, choć ma jeszcze pięciu innych autorów) nie jest ani apologią, ani anatema. Nie wynosi nikogo pod niebiosa i nikogo nie piętnuje. Szuka prawdy historycznej w sposób rzetelny, w miarę możliwości udokumentowany i wszechstronny. Książka Rosen-Zawadzkiego, który wydawnictwo londyńskie nazywa „pseudonaukową próbą utrwalenia legendy“, jest, mimo przytoczenia bogatej bibliografii, polemiczną publicystyką, wybitnie tendencyjną, bo mającą rozwiać kult II. Korpusu, głęboko w społeczeństwie zakorzeniony oraz poderwać zaufanie do jego dowódcy.

Wydawnictwo warszawskiego M. O. N.

Mając takie zadanie, Rosen-Zawadzki, dobrze zaprawiony w dialektyce i nie pozbawiony talentu polemicznego, stara się nielada żonglerką te cele osiągnąć, przemilczając lub przeinaczając niedogodne fakty i powołując się, w razie potrzeby, na źródła, zasadniczo przez niego samego zdyskwalifikowane. W myśl obowiązującej od kilku lat nowej linii partyjnej, mającej zjednać społeczeństwo w Kraju i zmiekczyć emigrację, wychwała w superlatywach dzielność i ofiarność żołnierza, równocześnie minimalizując jego osiągnięcia i starając się skompromitować jego „naczałstwo“, a przede wszystkim zniechęcając do niego przez komunistów gen. Andersa. W tym celu przedstawia go jako chorobliwie ambitnego, nielojalnego niezdyscyplinowanego człowieka i żołnierza, dbałego o reklamę i szafującego bez skrępowania entuzjazmem i krwią swych żołnierzy, by po trupach dojść do sławy i władzy. Dlatego przedstawia w krzywym zwierciadle genezę wyjścia naszych wojsk

z Rosji, przemilcza zgładzenie jeńców Kozielska i Starobielska oraz zmniejszenie racji żywnościowych do 26.000 porcji (na stan 67.000 żywnych) ukrywa istotne intencje Stalina i wyolbrzymia różnice zdań między gen. Andersem a gen. Sikorskim najpierw i gen. Sosnkowskim później. Dlatego między wierszami imputuje gen. Andersowi i większości jego korpusu oficerskiego przemilczanie niemieckich okrucieństw w okupowanej Polsce oraz uchylanie się od walki Niemcami choć później na odwrót krytykuje „lekomyślnie“ rwanie się na front włoski i pod mury Monte Cassino. Powołuje się przy tym na tak „miarodajnych“ i „fachowych“ świadków, jak Klimkowski, Strumph-Wojtkiewicz i Kot, skądinąd przez niego zdyskwalifikowany.

Mało tego: zdobywa się także na wytykanie taktycznych i operacyjnych „błędów“ w zaplanowaniu i prowadzeniu bitwy o Monte Cassino i na wysuwanie swoich „zbawczych“ rozwiązań, choć bodaj żadnego doświadczenia dowódczego i przygotowania sztabowego nie posiada.

Niezależnie od tego próbuje zasugerować czytelnikowi, że ofiary i walki żołnierza polskiego na Zachodzie, a zwłaszcza we Włoszech były bezcelowe, bo nie prowadziły i nie mogły prowadzić do Polski, ani jej wyzwolenia przyspieszyć. Nie stwierdza tego wprawdzie „expressis verbis“, ale daje do zrozumienia przez postawienie trzech odpowiednich pytań, na które tylko wymownym pytaniem dodatkowym pośrednio odpowiada. Pytania te brzmią: 1) czy kampania na półwyspie apenińskim miała decydujący wpływ na przyspieszenie klęski Niemiec i wyzwolenie Polski, 2) czy udział II. Korpusu miał decydujące znaczenie dla przebiegu tej kampanii, 3) czy morderecze i połowicznym sukcesem uwieńczone szturmowe meczy żołnierzy tego korpusu były podyktowane nieodwołalną militarną koniecznością? Wątpliwości tych nie stara się oczywiście wyjaśnić i uzasadnić. Woli je pogłębić demagogicznie nowym, niemal bluźnierczym pytaniem, na które również pośrednio nie odpowiada: „czy czczyć akt bohaterstwa i ofiary żołnierzy polskich pod Monte Cassino, zasługujący ze wszech miar na uczczenie i święcenie, jako Dzień Chwały czy jako Dzień Żałoby Narodowej?“ Ogranicza się do zacytowania takiego „autorytetu“, jak niejaka M. Tutkowska, która w kanadyjskim „Głosie Polskim“ rzekomo domagała się ustanowienia rocznicy bitwy o Monte Cassino „dniem pokuty, Polskim Popielcem żalu za poległych w beznadziei braci.“

O tym, że klęskowa bitwa Kościuszkowców pod Lenino, w której procen-

towo legło więcej żołnierzy polskich, za wcześniej na front rzuconych, stała się reżimowym świętem żołnierza, oboje „zapomnieli“.

To lamentowanie i rozdzieranie szat politruckich „historiozofów“ nad poległymi pod Monte Cassino żołnierzami nie może być szczere. Świadczy o zazdroszczeniu II. korpusowi otaczającego go nimbu oraz o obawie, że jego hekatomba kiedyś da owoce i współmierną się okaże, choć doraźnie drogi do wolnej Polski nie otworzyła.

Wydawnictwo londyńskie

Dzieło wydane przez sekcję historyczną II. korpusu jest zupełnie innego pokroju. Nie daje wprawdzie stuprocentowej prawdy (zwłaszcza w odniesieniu do strony niemieckiej), ale bardzo się do niej zbliża i jej znalezienie ułatwia. Dzięki benedyktyńskiej pracowitości jego autorów (m.in. gen. Szyszko-Bohusza, śp. płk Felsztyna, płk. Schaetzla), a zwłaszcza jego naczelnego redaktora oraz dzięki ich rzetelności daje czytelnikowi, głównie na podstawie bogatego materiału dokumentarnego i zweryfikowanych relacji, niebawmą mnogość elementów, ułatwiających mu znalezienie odpowiedzi na dręczące go ewentualnie wątpliwości. Zwłaszcza, że nie feruje wyroków, nie kadzi nikomu i nikogo nie piętnuje, wnioski syntetyczne formułuje ostrożnie oraz w ponad 800 odsyłaczach wskazuje źródła, na których się opiera. Innymi słowy dzieło to jest dobrym kluczem do prawdy. Tym bardziej, że unika patosu i retuszu, ani zawodów, ani trudności, ani niepowodzeń nie ukrywa i jest bardzo szeroko zakrojone i szczegółowe.

Całość tego grubego tomu składa się z przedmowy gen. Andersa, czterech rozdziałów właściwego tekstu, długiego spisu odsyłaczy, obsady personalnej wyższych i średnich stanowisk, nie obejmującej niestety — ze względów oszczędnościowych — dowódców kompanii, szwadronów i baterii, wreszcie z trzech indeksów. Szkice, zresztą przeważnie znakomite, dołączone są w oddzielnym zeszytce.

Tekst opisany podzielony jest na cztery rozdziały:

- 1. Tworzenie A.P. w Rosji i II. korpusu na Środkowym Wschodzie (stron 132),
- 2. Przejście do Włoch i obrona nad rz. Sangro (stron 26),
- 3. Bitwa o Monte Cassino i Piedimonte (stron 129) oraz
- 4. Działania zaczepne nad Adriatykiem do końca września 1944 (stron 248).

O ile ta kompozycja tekstu jest logiczna także pod względem objętości

poszczególnych rozdziałów słuszną, o tyle ich wewnętrzna dyspozycja, moim zdaniem, nie zawsze jest szczęśliwa, bo nieraz niepotrzebnie przerywa tok opowiadania i utrudnia czytelnikowi lekturę i skupienie się na jednym zagadnieniu. Na myśli mam przede wszystkim zbyt częste i nieraz za daleko sięgające, choć skądinąd bardzo dobre analizy sytuacji międzynarodowej oraz nieraz zbyt szczegółowe opisy wydarzeń na całym froncie włoskim. Rzecz jasna, że — wobec względnej samodzielności II. korpusu i wielkiego znaczenia jego postawy dla reszty naszych sił zbrojnych i naszej londyńskiej centrali, danie jego działaniom politycznego tła było w tej monografii wyjątkowo jak najbardziej potrzebne i celowe, sądzą jednak, że dla okresu włoskiego wystarczyłoby jednorazowe jego naświetlenie. Zwłaszcza, że tom I. omawianego dzieła nie obejmuje jałtańskiej kapitulacji Anglosasów.

Za to odczuwa się brak jakichkolwiek danych o funkcjonowaniu bazy II. Korpusu, jego aparatu oświatowego, prasowego i kontrwywiadowczego oraz jego licznych instytucji — i szkół — pozostawionych na Środkowym Wschodzie. Prawdopodobnie redakcja świadomie odłożyła przedstawianie tych spraw do II. tomu, by dodatkowo I. tomu nie przeciążyć. Natomiast danie w nim konkretniejszych informacji o wieku, pochodzeniu i nastrojach żołnierzy II. Korpusu było chyba bezspornie wskazane.

Ale to drobiazgi wobec wielkich zalet książki, zawierającej przebogaty materiał, sprawiedliwej w stosunku do wszystkich broni i służb nie tylko wypranej z retoryki i frazeologii patriotycznej, ale nieraz nawet po kronikarsku suchej i skondensowanej. Niespotykane w innych monografiach tego typu bogactwo informacji o pracy działu kwatermistrzowskiego jest miłą niespodzianką i bardzo pożytecznym dopełnieniem.

Wyraźnych omyłek czy sprzeczności, czy niepotrzebnych powtórzeń jest, jak na tak obszerną książkę, aż zadziwiająco mało. Zmiany w koncepcjach i planowaniu działań są może aż za szczegółowo omówione, natomiast przyczyny niewykonania niektórych rozkazów nie są dostatecznie wyjaśnione. Nie sposób również nie zauważyć, że w ferworze opisywania walk i może pod wpływem „esprit de corps“ niektórzy autorzy, chyba bezwiednie, używają nieraz nieco za mocnych określeń, gdy mowa o tempie i rezultatach działań polskich, czy o siłach i możliwościach niemieckich, natomiast bodaj nieco za słabych, gdy mowa o osiągnięciach francuskiego i XIII. brytyjskiego korpusu i ich wpływie na roz-

wój sytuacji podczas walk o Monte Cassino. Nie wolno jednak dopatrywać się świadomej tendencyjności, bo porównawcze zestawienie sił i strat, niemal w każdym wypadku przytoczone, sprowadzają stan rzeczy do właściwego mianownika.

Syntetyczne wnioski z poszczególnych akcji są, jak się wydaje, na ogół trafne, jednak nie zawsze kompletne, zaś same opisy akcji, aczkolwiek słusznie nie schodzące w zasadzie poniżej baonu, są bardzo szczegółowe i przejrzyste oraz przeważnie doskonałymi szkicami uplastycznione. Dodają przy tym w pełni — mimo unikania emocjonalnych czy literackich zwrotów — grozę, zawziętość, chaotyczność i niepowtarzalną inność zmagania pod Monte Cassino oraz specyficzne a różnorodne trudności sychania Niemców wzdłuż wybrzeża adriatyckiego.

Uczestnik tych walk znajdzie w tych opisach prawdopodobnie takie czy inne nieścisłości czy luki, ale z pewnością tylko drobne i mało ważne.

Reasumując, omawiana książka może nie wyjaśnia wszystkiego, ale z pewnością daje rzetelną i wszechstronną relację o koszarnej genezie i pierwszej części zwycięskiej epopei II. Korpusu, nie zakończonej dojdaniem do Polski, nie z jego winy.

Toteż książka tą może i musi przekonać każdego nieuprzedzonego czytelnika o tym, że:

— wobec złej woli Kremla wyprawienie wojska naszego z Rosji było koniecznością, bo w przeciwnym wypadku musiałoby ono albo wymrzeć z głodu, albo pójść znów do łagrów, albo stać się wojskiem „ludowym“ przeznaczonym nie do uwolnienia, lecz do ponownego ujarznienia Polski,

— że wobec uporczywych twierdzeń sowieckich, iż wojsko polskie unika walki z Niemcami, decyzja pójścia do Włoch była w pełni uzasadniona.

— że mimo słabości liczebnej piechoty II. Korpusu — przyjęcie propozycji brytyjskiej zaatakowania twierdzy Monte Cassino było polską racją stanu, a nie ambicjami podyktowane, bo tylko zdobycie tego na cały świat rozslawionego bastionu mogło wrogą nam propagandę uciszyć, a pójście na inny odcinek mogło być przemilczane i nie mniejszymi ofiarami opłacone,

— że równoczesne zaatakowanie „ostrog klasztornej“ i flankującego ją Passo Corno absolutnie przekraczało możliwości II. Korpusu, zaś wyjątkowe obchodzenie tej „ostrog“ przez Passo Corno było z różnych względów niemożliwe,

— że niepowodzenie pierwszego natarcia było spowodowane nie tyle, jak niektórzy krytycy twierdzą, nieprzypo-

owaniem dostatecznej obserwacji własnej i nieoślepieniem niemieckich punktów obserwacyjnych, ani też nadmiernym zadufaniem w skuteczność własnej artylerii, ile zakazem bojowego rozpoznania niemieckich pozycji, nieotrząskanie żołnierza z tym typem walki, za słabym i płytkim prawym skrzydłem, zbyt późnym otrzymaniem moździerzy i przede wszystkim niemożliwością wprowadzenia własnej artylerii na odcinek 13. Korpusu brytyjskiego, z którego jedynie możliwe było dobranie się do niemieckich umocnień na przeciwstokach (niedostateczne wsparcie ze strony brytyjskich sąsiadów zaważyło oczywiście także.)

— że ostateczne opanowanie większej części atakowanego masywu górskiego przez II. Korpus przyczyniło się co najmniej w równym stopniu do wycofania się w nocy reszty jego zażartych obrońców, jak postępy brytyjskich i francuskich oddziałów w dolinie,

— że do otwarcia drogi do Rzymu niezbędne było zdobycie tego bastionu i Piedimonte tak samo jak masywu Aurunci,

— wreszcie, że stosunkowo wolne tempo sypiania Niemców ku linii Gotów i zrezygnowanie z szerzej zakrojonych manewrów oskrzydających było spowodowane nie tylko właściwościami terenu i zręczną akcją opóźniającą nieprzyjaciela, ale także trudnościami kwatremistrzowskimi, małą ruchliwością i przebojowością podporządkowanego korpusu włoskiego oraz uzasadnioną w pełni dbałością o unikanie niepotrzebnych strat.

Krytycy, a nie brak ich także na emigracji, powinni sobie uprzytomnić, że II. Korpus był wprawdzie bardzo silny duchem, ale — z różnych przyczyn — raczej słaby ciałem, że nie posiadał żadnego doświadczenia bojowego w działaniach górskich i że jako pierwsza jednostka w historii wojska polskiego dysponował olbrzymią masą różnorodnego sprzętu, który w górzystym terenie częściowo zawodził. Oczywiście trudno się ludzi, by krytyków uprzedzonych, którzy z pasją krytykują wszystko — co nasze i żadnych blasków w naszej przeszłości dostrzec nie chcą, zawarte w omawianej książce fakty i argumenty przekonały lub przynajmniej do większego umiaru w sądach nakłoniły.

Przekona ona natomiast każdego nieuprzedzonego czytelnika o tym, że II. Korpus w pełni zasłużył na otaczający go nimb i siedł do Polski jedyną drogą rokującą, przynajmniej początkowo, przywrócenie jej wolności.

Byłym żołnierzom tego dzielnego Korpusu przypomni ta książka dni chwały, równocześnie zapoznając ich z tysiącem nieznanym im szczegółów.

Innym pozwoli przyjrzeć się z bliska chlubnej i ciernistej drodze tej największej i najstynniejszej formacji naszego wojska na Zachodzie, a równocześnie zrozumieć przyczyny przegranej przez nas wojny. Wreszcie dla ludzi studiujących historię książka ta stanowi podręcznik o podstawowym znaczeniu.

Jej autorom należy się podzięką za ich ogromny trud oraz uznanie za ich rzetelność i obiektywizm. A niezależnie od tego należy się im poparcie, umożliwiający przygotowanie i wydanie II. tomu tego dzieła, tak samo niezbędnego dla potomności.

Tym zasłużonym, a niezbędnym poparciem będzie możliwie pełne rozsprzedanie nakładu omówionego tomu. Oby znalazł on jak najwięcej czytelników nabywających go na własność, a nie tylko pożyczających z bibliotek.

Kazimierz Glabisz

ZEBRANIE

POLISH COMBATANTS ASS. LTD.

W dniu 16 października br. odbyło się Walne Zebranie Spółki PCA Ltd., w którym wzięli udział członkowie Rady Głównej SPK, Zarządu Głównego, i Zarządu Gospodarczego.

Przedmiotem obrad były zamknięcia finansowe za rok gospodarczy 1964/65 zatwierdzone przez angielskich rzeczoznawców przysięgłych i skontrolowane przez Główną Komisję Rewizyjną SPK., pod kątem celowości wydatków.

Rozesłane członkom sprawozdania pisemne uzupełnił ustnie i udzielił wyjaśnień przewodniczący PCA Ltd., p. Stefan Soboniewski.

Z przedstawionego sprawozdania rocznego wynikało, że:

1. Obroty gospodarcze za r. 1964/65 wyniosły £498.716 przy zysku brutto £135.298, wydatkach gospodarczych £90.042 i zysku placówek gospodarczych £36.378.
2. Budżet został wykonany zgodnie z przewidywaniami i rok gospodarczy został zamknięty nadwyżką budżetową i bilansową w wysokości £7.141.1.11.
3. Majątek Stowarzyszenia wzrósł w roku gospodarczym o £32.000.
4. Bilans łączny Stowarzyszenia wyniósł na 31.3. 1965 kwotę £425.049.

Po krótkiej dyskusji i wyjaśnieniach zebrani przyjęli rachunek działalności i bilans Stowarzyszenia.

Bezpośrednio po zebraniu PCA Ltd., odbyło się posiedzenie Prezydium Rady Głównej SPK, na którym zatwierdzono nowy statut SPK Belgia oraz rozważano sprawy organizacyjne SPK Italia.

D E S S O U S

(Dokończenie ze strony 27)

za opracowanie historyka. Wobec tego Laurent znowu wszystko rzucił w ką (i nasze dessous) i zabrał się do pisania nowej książki, gdzie wszystko będzie udokumentowane, udowodnione, uzasadnione. Ma wyjść pod koniec listopada, pt. „De Gaulle, expedient provisoire“.

Jeszcze mała dygresja. Książka „Mauriac pod de Gaullem“ ukazała się rok temu i dopiero teraz odbyła się rozprawa sądowa. Jest w dalszym ciągu w wolnej sprzedaży w pierwotnej wersji, choć wyrok sądu nakazuje wyrzucenie z niej kilkunastu czy nawet więcej ustępów. Ale autor ma prawo do apelacji, wyrok nie jest więc uprawomocniony i książka sprzedaje się jak nigdy — w ciągu tygodnia więcej egzemplarzy, niż dawniej w ciągu miesiąca. Piszę to pod adresem niektórych ówków proreżymowych, tych, którzy starali mi się wykazywać, że obecny ustrój Francji nie różni się zasadniczo od tego co jest w Polsce. Tylko przykład tej książki wystarczy, by wykazać, że jest różnica i to nie wąska. Tu wolno pisać, co się chce i jest na to papier.

Przystępuję do tematu, do tej historii dessous. Jak zaznaczyłem wyjdzie ona z poważnym opóźnieniem. Ale tak się składa, że wiem mniej więcej, co będzie jej treścią. Podzielę się więc z czytelnikami tym co wiem, a później wrócę szczegółowiej do tematu, gdzie w początkach przyszłego roku.

Jacques Laurent rozpoczyna od stwierdzenia, że mężczyźni nigdy nie pisali miłosnych poematów do kobiet, które nie nosiły dessous i ich pojawienia się w starożytnym Rzymie zbiega się dokładnie z narodzinami poezji miłosnej. Dalej autor ze swych studiów historycznych nad tym tematem (zaznaczam, że ujętym poważnie, a nie frywolnie) odkrywa pewne „prawa“. Pierwsze mówi, że to dziewczynki i kurtyzany tworzą modę w dziedzinie dessous. Zwykle w tym samym czasie noszą podobną bieliznę i reszta kobiet później je naśladuje.

Starożytna Greczynka nie znała bielizny we właściwym tego słowa znaczeniu. Nosiła co prawda „kestos“ — opaskę pod piersiami, która spełniała rolę obecnego biustonosza, czy raczej „napierśnika“, jak chcą autorzy Słownika Mody, bo biustonosz, który „podtrzymuje upadłe i naprowadza błądzące“, jest ich zdaniem brzydkim wyrażeniem. Zgadza się i jako stary kawalerzysta tym bardziej głosuję za „napierśnikiem“, bo był częścią rządu

końskiego. Wokół bioder ta Greczynka opasywała się inną opaską — była to „zona“. Nosila „chiton“, rodzaj tuniki, szeroko rozciętej i okrywającej piersi, brzuch i uda, ale to jeszcze nie była koszula, a to wszystko razem nie stanowiło nowoczesnych dessous. Bo rola tych ostatnich nie ogranicza się tylko do fasonowania i poprawiania linii ciała, jak „kestos“ i „zona“, ale spełnia i inne funkcje: grzeje, jeżeli potrzeba, chroni wstydlivość i podnieca pożądanie mężczyzny. Nic dziwnego, że starożytni Grecy śpiewali tylko miłość do chłopców — homoseksualną.

U Rzymian to się zmieniło, ale początkowo tylko w stosunku do kurtyzan, które umiały wynaleźć prawdziwe dessous. Natomiast poważne matrony były nudne, jak flaki z olejem i wcale tym, co nosiły pod spodem, nie interesowały się. Dopiero, gdy zazdrosne patrycjuszki rzymskie, w końcu pierwszego wieku, zaadaptowały dessous kurtyzan, mężczyźni zaczęli pisać dla nich miłosne poezje. Tak w Rzymie narodził się przodek nowoczesnych majteczek i slipsów — nazywał „subligaculum“.

W okresie inwazji barbarzyńców sztuka miłości upada — a więc i dessous. Dopiero po XI w. jedno i drugie wraca na swoje miejsce. Kobieta nosi na sobie niezliczoną ilość sztuk toalety — dwie koszule, gorset, halki, jedne z miękkiego i lekkiego materiału, inne z twardego i krochmalonego. Mężczyzna traci głowę z niecierpliwości, gdy rozbiera taką cebulę — to prawdziwe zdobawanie twierdzy.

Obecne majteczki były poprzednio majtkami, a jeszcze dawniej kalesonami, od francuskiego „caleçon“, a to pochodzi od włoskiego „calzone“, gdyż pierwsza we Francji lansowała je (do kolan) w XVI w. Katarzyna Medyceuszka. Ale nie przyjęły się — kobieta pozostaje naga pod swymi sukniemi i halkami, jedynie amazonki (na ochotnika) i tancerki (z nakazu władz) je nosiły — oraz kurtyzany. To trwa do ub. wieku, gdy pojawiają się majtki „dobrze wychowanych dziewczynek“, które są dłuższe od sukienki i są związane u dołu wstążeczkami. Natychmiast kurtyzany, aktorki i tancerki rzucają się na nie, a od połowy XIX wieku i cnotliwe damy. Prawo J. Laurent'a potwierdza się.

W latach 1870-1910 dessous znowu komplikują się i mnożą w dziwaczny sposób i jak wiemy, jest to epoka wzmozzonego, nieprzytomnego erotyzmu (około 1890 r. rozprzestrzenia się teoria Freuda). W 1913 r. dziewczynki noszą spódniczki do kolan — w 1917

TROCHĘ O „BRATERSTWIE

POLSKO-RADZIECKIM“

Z kolei z innej beczki. To, że Sowieciarze sami nie wierzą w „braterstwo polsko-radzieckie“ jest dokładnie wiadome i Sowieciarzom i Polakom. O tym w Polsce mówić nie wolno, ale w Sowieciech historyczna, podskórna i złowroga niechęć do „kiczliwego Lacha“ raz po raz wyłazi bokami. Zresztą zgodnie ze stanem faktycznym.

Ostatnio proces rusyfikacji „Kraju Rad“ postąpił o bardzo poważny krok naprzód. Po zabronzowaniu bolszewickich honoracji zlikwidowanych przez Stalina, przyszła kolej na znacznie bardziej niebezpiecznych, retrospektywnych bohaterów, na generałów armii cesarskiej z okresu I Wojny Światowej. W tej kategorii, jak dotąd, dopuszczony cenzurą partyjną do ogólnego uznania był li-tylko gen. hr. Ignatiew, ongi attaché wojskowy cesarsko-rosyjski w Paryżu. Zresztą jego pamiętniki ukazały się już dość dawno i pod wielu względami są zdumiewającą lekturą. Ignatiewa, nawiasem mówiąc, spotkał Ksawery Pruszyński w Samarze nad Wołgą. Opis tego ex-kawaler garda w sowieckiej służbie spod pióra Pruszyńskiego wart jest bodajże całej reszty twórczości literackiej biednego i ambitnego warchoła, w służbie polsko-ludowej. I, rzeczywiście, nie ukazał się w żadnej ludowej chrestomatii w PRL.

Ostatnio w Moskwie ukazała się aprobująca czytanka o innym ex-słudze Romanowych, o znacznie większej doniosłości historycznej. I. I. Rostunow napisał popularną biografię gen. A. A. Brusilowa.³⁾ Imię jego przeszło do historii, a jego postać — z rosyjskiego punktu widzenia bardzo kontrowersyjna — pozostanie arcywzorem swoicie rosyjskiego pojmowania żołnierskiego obowiązku i przysięgi. W danym wypadku chodzi mi jednakże o stosunek Brusilowa do spraw polskich i o wersję jego zatwierdzoną przez cenzurę dla

r. dorosłe kobiety je adoptują, i tak dalej.

A dziś? To sprawa bardziej skomplikowana i właśnie do niej powrócimy, bo to podobno synteza wszystkich epok. Ale jedna uwaga się nasuwa — im więcej kobieta pokazuje, im łatwiej to oglądać, tym bardziej zanika erotyzm i pożądanie mężczyzny. Monokini prowadzi do obojętności. Moralisci powinni je popierać.

Jan Claude

szerokich czytelniczych rzesz „sowieckiego człowieka“.

Pisze Rostunow:⁴⁾

„Nowe funkcje, o których wspominał Brusilow w swoim piśmie z dn. 5 czerwca 1920 roku do przewodniczącego Wojskowo-Historycznej Komisji był jego czynny udział w walce z białopolakami. W tym okresie Sprzymierzeni organizowali nową napaść na Kraj Rad po szeregu nieudanych prób zbrojnego zdławienia pierwszego na świecie robotniczo-chłopskiego państwa. Główna rola w tym planie została przeznaczona burżuazyjno-ziemiańskiej Polsce. Dnia 25 kwietnia 1920 roku wojsko polskie rozpoczęło najazd na sowieckie terytorium. Prawie, że jednocześnie przeszła do ofensywy białogwardyjska armia barona Wrangla, stacjonowana na Krymie. Nad młodym państwem robotników i chłopów znów zawisło niebezpieczeństwo. Pracujący naszego kraju byli zmuszeni stawić czoło, z bronią w rękę, kolejnemu najazdowi interwencjonistów białogwardyjskich. A. A. Brusilow zdecydował, iż nie może pozostać na uboczu, Dnia 1-go maja 1920 r. napisał on do N. I. Rattelieu, naczelnika ogólnorosyjskiego sztabu o tym, iż w ciągu ostatnich dni zmuszony był stałe czytać w prasie o szybkim posuwaniu się białopolaków naprzód na szerokim froncie.

Dla zapobieżenia niepomyślnemu rozwojowi wypadków Brusilow zaproponował utworzenie komitetu osobistości „o wojennym życiowym doświadczeniu“ dla szczegółowego omówienia sytuacji Rosji i najbardziej skutecznych sposobów przeciwstawienia się obcemu najazdowi.“

„A. A. Brusilow pochwalał narodowościową politykę rządu sowieckiego. Pisał on: „Jest sprawą nieodzowną, by naród nasz zrozumiał, że poprzedni system państwowy mylił się trzymając siłą część pobratymczego narodu polskiego pod swoim panowaniem w ciągu przeszło stulecia. Rosja Wyzwolona postąpiła słusznie zdjawszy łańcuchy z wszystkich dawniej podopiecznych narodów jej...“

³⁾ I. I. Rostunow — *Gienierał Brusilow*. Moskwa, 1964.

⁴⁾ I. I. Rostunow — op. cit., str. 196-209.

Brusiłow uważał, iż stosunki Rosji z Półską winny być układać się na podstawie wzajemnego poszanowania suwerennych praw obu państw. Po wyzwoleniu Polaków i wyposażenia ich w samorząd i samostanowienie wedle ich własnej woli, Rosja ma prawo domagać się takiegoż samego ustosunkowania się wobec siebie i stąd koniecznym jest zbrojne odparcie polskiego najazdu na ziemię od niepamiętnych czasów należące do rosyjskiego i prawosławnego ludu.“

Rattelieu skwapliwie przystał. Najwyższa rada wojskowa Sowietów — Rewojensowiet — powołał następnego dnia, 2-go maja, proponowany przez Brusiwoła Komitet specjalistów. W skład jego weszli dawni generałowie armii cesarskiej: A. A. Poliwanow, dawny minister spraw wojskowych, W. N. Klembowski, P. S. Bałujew, A. E. Gutor, A. M. Zajoncowski, A. A. Curikow, M. W. Akimow, D. P. Parskij oraz A. I. Wierchowski. Partia Bolszewicka przydzieliła do Komitetu I. I. Skworcowa-Stiepanowa, A. K. Aleksandrowa, L. P. Sieriebrjakowa i K. Ch. Daniszewskiego.

Brusiłow został mianowany przewodniczącym Komitetu. Podlegał on S. S. Kamieniewu, naczelnemu wodzowi sowieckich sił zbrojnych.

13-go maja 1920 puścił baka Lenin: „Nawet dawni carscy generałowie uważają roszczenia Polski za nieuzasadnione i idą nam z pomocą“. Dnia 30 maja tegoż roku Komitet zwrócił się z odezwą skierowaną „Do Wszystkich Dawnych Oficerów“. Dawni generałowie wzywali dawnych podwładnych do boju ze zniechęconym Polakiem w obronie Mateczki Rosji pod czerwonym sztandarem. Jednocześnie Cze-Ka, „zbrojne ramię rewolucji“ pod kierownictwem polskiego renegata i psychopaty Dzierżyńskiego, strzelała tysiącami i jednych i drugich jak zajęców w kotle“.

Podobną odezwę wydał „Rewojensowet“ 13-tej Sowieckiej Armii działającej przeciw Wranglowi na Krymie.

Rostunow pisze, zgodnie z prawdą, iż obie te odezwy miały wielki wpływ na załamanie się „białej kontrrewolucji“ w Rosji. Ale zupełnie nie pasuje to do oficjalnej legendy o 1920-tym roku, podawanej do wierzenia w „Priwiślenskiej Riepublice Ludowej“: nad Wisłą nie zostali zdradzeni „polscy chłopcy i robotnicy“ przy pomocy „Antanty“, ale zostali rozbici doskonałymi sztabowcami armji rosyjskiej. Polecam to uwadze płk. Załuskiego.

Z NOTATNIKA SZYDERCY

Historia trochę przypominająca powieść Touhoj'a Ice Saints. Jak to Polacy z Warszawy inaczej widzą Anglików w Londynie i odwrotnie.

Mój nowy znajomy Rysiutek, młodzian lat dwadzieścia kilka, przyjechał do Londynu pełen wielkich nadziei.

— Kochani — powiedział trochę protekcyjnie swoim krewnym — ja u was tylko na dzień, dwa.

Na resztę czasu miał wspaniałe plany. Otóż w Warszawie poznał jednego studenta amerykańskiego, którego oprowadzał po wesołych lokalach i obficie poił wódą i jarzemiakiem.

Spotkał się też z młodym członkiem wycieczki związku zawodowego i tego też oprowadzał po lokalach i wódą częstował. I, wreszcie, prawie zaręczył się z Angieleczką spod Manchesteru, podróżującą po Polsce jako turystka.

Tyle kontaktów wróżyło Rysiutkowi, w jego przekonaniu, wygodny i wesoły pobyt w Anglii, conajmniej przez pół roku. Jak każdy młody obywatel PRL umiał dobrze rachować i po przeliczeniu własnych świadczeń w Warszawie na funty i sentymety w Londynie czuł się zabezpieczony.

No i co?

Amerikanin odpisał z Oxfordu, że jest szalenie zapracowany. Przyjmie go na jeden dzień, za dwa miesiące.

Prawie-naręczona pokazawszy zmianę warty przed pałacem królowej wyjechała do Szkocji, nie zaprosiwszy go do domu.

Przedstawiciel Związków Zawodowych okazał się najbardziej wdzięcznym z nich wszystkich. Owszem, zaprosił do siebie na popołudnie i nawet poczęstował herbatą z biskwitami.

Na gruzach kontaktów polsko-angielskich Rysiutek siedzi u wuja i cio-

tki i już szykuje się do wyjazdu. Dwa miesiące udzielone przez konsulaty brytyjski w Warszawie kończą się nieodwołalnie.

Morał z tego prosty: pamiętaj, że różnica między narodami ma się wprost proporcjonalnie do różnicy między ich narodowymi napojami. W naszym wypadku — wódką i herbatą.

Anglik w Warszawie z bólem serca i zniewolony potrzebą zachowania miejscowych zwyczajów je, pije i wesełi się po polsku.

Polak w Londynie powinien też stosować się do miejscowej recepty i cieszyć się jak dziecko z „cup of tea“ i uśmiechu na odległość.

MUCHA

Pan Jesik zalił się na muchy w mieszkaniu.

— Panie — jęczał — jak tylko założyliśmy ten Servowarm, czyli centralne ogrzewanie, zaraz pojawiły się muchy w domu. I to takie wielkie, niebieskie. Lata toż po pokoju, buczy, a jak zostawić szynkę, czy kotlet na stole, zaraz paskudztwo składa jajka. Z tego, panie, soliter, robaki i Bóg wie co.

— Pan zapomniał, panie Jesik — podniósł palec pan Karmazon o naszych polskich muchach. Pamięta pan? Toż to była przyjemność. Wyjdzie człowiek na dwór, a tu gra, śpiewa, bzyczy wesoło, wyraża się dokoła. Owady, panie, też życie. A tu, panie, w ogródku jak na cmentarzu, same robaki pod ziemią babrzą się w błocie. Czarny żuczek czasem się trafi, ale weźmiesz pan w rękę to pachnie pleśnią. Mor-downia. A ważki, panie, pamięta pan ważki?

I nagle pan Jesik rozmarzył się na równi z panem Karmazonem.

— Pamiętam. Jakże. Łapało się i ważki. Skrzydełka cieniutkie, kruchutkie, delikatne. Możnaby z takich skrzydełek podwójne okna wprawiać we flacie, lepiej niż z tego ichniego Fibroglaze.

— Że pan zawsze tak praktycznie — skrzywił się Karmazon — jak buchalter. O romantyzmie nic? Owady śpiewają dokoła, słońeczko grzeje, ptaszki uganiają za muszkami. To był nastrój. Ja, panie, jak usłyszę muszkę brzęczącą w moim pokoju to serce mi mięknie. Pamiętasz pan polską wieś? Czarno było od much. Ser pan wysta-

Doskonała książka na nagrody dla dzieci w szkołach przedmiotów ojczyźtych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.

London, S.W. 11.

wił na stół i patrzysz, a on jak ten francuski z delikatesów czarnymi siemuszkami posypywany. Na stole łożą po okruchach; jak się zamachnęło zgrabnie, to dwadzieścia.

— I co pan mówi — oburzył się Jesik — dobrze było?

— Weź pan literaturę. Mickiewicz bez much Pana Tadeusza by nie napisał. Siedział w Paryżu i do litewskopolskich much tęsknił. Od czego Wojśki z placką latał? Nie pamiętasz pan jak chytrze Tadeusza od Telimeny muchami oddzielał w księdze „Dyplomatyka i łowy?” Panie Jesik, mucha to nie tylko utrapienie, to rzewne ojczyzny wspomnienie.

— Et — zachnął się Jesik nieprzekonany — choćbyś pan wierszem, jak sam Hemar przemawiał, ja się nie zgodzę. Mucha to paskudztwo. Soliter i tam dalej.

— Ale masz pan sposobność przypominać dawne czasy. Weź pan plackę, panie Jesik.

— A pan, panie Karmazon, to dla tych względów patriotycznych sprowadź pan sobie niedźwiedzia z matecznika. Ot co.

I który z nich miał rację?

NIEBEZPIECZENSTWO MATRYMONIALNE

Podniecająca jest wiadomość, że Ludowa Republika Czeska zdecydowała się na wypuszczenie niejakiej Flyty, która przyjeżdża do Londynu z Pragi, aby poślubić niejakiego Ducora.

Jest to chyba pierwszy wypadek, że twardy komunistyczny rząd Czechosłowacji okazał serce dla spraw matrymonialnych. Czy można z tego wróżyć, że przed pannami szukającymi możliwości ożenku za granicą otwiera się w krajach za żelazną kurtyną nowa nadzieja?

Dotychczas przyjeżdżały tutaj podstępnie. Zgłaszały jakieś nieistotne, mało ważne powody: odwiedzić rodziny, naukę języka, poznanie angielskiej kultury itp. Teraz może będą mogły kierować się prawdą?

„Towarzyszu urzędniku — napiszę w prośbie o pozwolenie na wyjazd na zgniły Zachód — załączam list miłośny Filonka, który umiera w kapitalistycznym kraju z pragnienia połączenia się z ludową dziewczicą.“

Towarzysz urzędnik na odpowiednim szczeblu uśmiechnie się ze zrozumieniem i podpisze: „Zezwalam ze względów kulturalno-serdecznych.“

Stop!

Przestajmy marzyć. Choć Flyta jest

hipopotamicą, a Ducor hipopotamem i ślub ma się odbyć w świetlicy londyńskiego ZOO, w tej sprawie leży groźny dla nas precedens.

Flyta po ślubie, nawet nie czekając na chrzciny ma wrócić do Pragi. Ducor zaznawszy nadziei tylko na szczęśliwe pożycie, pozostanie słomianym — czy politycznym — wdowcem. Brutalny zamiar rozłączenia małżonków, za-

padnięcie między nimi żelaznej kurtyny, która tylko na chwilę się uniosła, droży nam katastrofę.

A cóż się stanie jeżeli wogóle przestanie się szanować więzy małżeńskie? Jeżeli się odmówi żonie prawa przebywania z małżonkiem?

Panowie, a zwłaszcza panie! Hipopotam, nawet z gatunku tych mniejszych jest potężnym argumentem.

JANUSZ RAKOWSKI

„QUO VADIS“ - CZYLI DWIE POLSKI WE FRANCJI

Nie na „Quo vadis“ ale na krajowy film pod francuskim tytułem „Mort aux S.S.“ udaliśmy się w dniu 23 czerwca 1965 r. w St. Malo, w podróży turystycznej do Bretanii i w przejeździe do Ploumanach, gdzie powstało sienkiewiczowskie arcydzieło polskiej literatury. Wiadomo, że Polak uprawiający turystykę zagraniczną, a szczególnie Polak emigrant, wrażliwy jest na wszystko spotkane, co mu tylko przypomina ojczyznę. Toteż idąc w Paramé szeroką promienią wzdłuż kilometrowej pięknej plaży wpadł nam zaraz w oko afisz kina „Le Vauban“ w St. Malo, zapowiadający wspomniany wyżej film „avec Wiesław Golas“ w roli głównej. Objaśnienie brzmiało: „En Pologne dans les mois qui suivent la fin de la dernière guerre eurent lieu de féroces guérillas entre armée polonaise et bandes clandestines“.

Widziałem w Szwajcarii kilka filmów krajowych z takim lub innym akcentem propagandowym, ale tego rodzaju makabry jak film „Morts aux S.S.“ nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać. W ponurej, zimowej atmosferze rosyjsko-ukraińskiego pejzażu z cerkiewną dekoracją, tłuką się między sobą różne grupy wojskowe, w tym dwie ubrane w mundury polskie, czyli Polacy „czerwoni“, armia polska sformowana pod patronatem Rosji Sowieckiej, i Polacy „biali“. Poniektórzy z tych ostatnich, zapewne dla lepszego odróżnienia od urogatkwionych „czerwonych“, noszą berety używane w armii polskiej na Zachodzie. To są oczywiście najgorsze swolocze i godni sprzymierzeńcy kozaków Własowa. Strzelają do schwytych „czerwonych“ rodaków bez sądu, wieszają sympatycznego czerwonego bohatera głową w dół dla wydobycia zębów i wyczyniają tym podobne okropności, godne hitlerowskich S.S.

Nie zapamiętałem nazwiska autorów tego niesmacznego scenariusza (małżeństwo P.), którego nie ratuje oni reżyserią Aleksandra Forda ani dobra gra Wiesława Gołasia w roli czerwonego

sierżanta, miłego chłopca, wpłatanego niewiadomo dlaczego w tę makabryczną i niewiarogodną historię. Wyszliśmy z niesmakiem z tego widowiska, zaopatrzonego — zapewne w ramach współpracy kulturalnej polsko-francuskiej — francuską „wizą ministerialną“. Chcieliśmy zobaczyć Polskę, ale tam nic z Polski poza mundurami nie było. To była „Polska“ w cudzysłowie, podobna do tej, jaką widziałem w innym filmie krajowym, w „Matce Joannie od Aniołów“, Polska w małrosyjskich i kałmuckich kubrakach.

* * *

W Ploumanach nie ma kin i nie spotyka się Polaków. Mało kto wie, że tu jest kawałek Polski, tej prawdziwej, której nie musimy się wstydzić, drzemiącej jeszcze we wspomnieniach Francuzów. W tej dawnej małej wiosce rybackiej na „Côte de granit rose“, która ostatnio rozwinęła się i coraz bardziej przyciąga gości wakacyjnych i turystów przez swe prześliczne piępiętrzone granitowe głązy o dziwnych formach, leży na niewielkiej wysepce wśród skał i ciemnej zieleni drzew i krzewów zameczek z kamienia; w tym zameczku mieszkał Henryk Sienkiewicz i pisał tam swoje „Quo vadis“? Latarnik w Ploumanach, uruchamiając o zmierzchu, tzn. w czerwcu około 22-ej, rotujące fary wielkiej wieży na skalnym cyplu, umie jeszcze niejedno opowiedzieć o zamku i jego polskim mieszkańcu. W okolicy spotkać też można kawiarnię z szyldem „Quo vadis“.

Opuszczamy z żalem Bretanię nadmuchiანი ożywcym wiatrem od Atlantyku, tym samym, który krzepił kiedyś twórcze siły Henryka Sienkiewicza.

* * *

Niedziela, 27 czerwca 1965. Wracając do Szwajcarii zatrzymujemy się przy padkiem w Paray le Monial (Saône et Loire) aby wstąpić na Mszę św. do tamtejszej historycznej, pięknej, romańskiej katedry. Po zaparkowaniu autą słyszy-

my nieoczekiwanie mowę polską. Powitani rodacy objaśniają nas, że w tej miejscowości, którą miała się jakoby opiekować Maria Leszczyńska, ma dziś miejsce wielka coroczna uroczystość polska. Po wyjściu z katedry znajdujemy się nagle w rzece ludzkiej płynącej na tyły kościoła. „Quo vadis?” Dokąd śpiewasz? — pytamy sympatyczną niewiastę z dwójgiem dzieci. Jest żoną polskiego górnika w „Basin de Blazy”. Idzie wraz z innymi na plac, do ogrodu, gdzie będzie odprawiona Msza św. Należy do starej emigracji polskiej. Mąż nieźle zarabia, choć ciężko pracuje. Mają schludny domek i ogródek.

Oczywiście dajemy się porwać tej rzece ludzkiej do ogrodu. Od tyłu Katedry wiedzie chyba stumetrowa, wysadzana wysokimi drzewami aleja do otwartej kaplicy. Od jej ołtarza przemawia właśnie ksiądz polski. Głos jego podają mikrofony na cały ogród, gdzie zebrało się już dobre 1000 osób. Prosi, aby sztandary (jest ich kilkanaście) i grupy kostiumowe — młodzież i dzieci w strojach narodowych — ustawiły się u wejścia do ogrodu. Będą one poprzedzać wejście orszaku księży z kardynałem francuskim na czele. Za chwilę odprawiona będzie Msza św. pontyfikalna dla uczestników pielgrzymki narodowej polskiej z okolicy. Jako przedstawiciel ks. kardynała Wyszyńskiego, którego orędzie odczytane będzie po polsku i po francusku, obecnym będzie ks. Banaszak z Paryża. Po Mszy św. zbiórka przy posiłku. Śpiewane będą pieśni polskie...

Podchodzi do nas sympatyczny, młodo jeszcze wyglądający człowiek, dobrze, można by powiedzieć, elegancko ubrany. Nazywa się George Więclawski, dziś już obywatel francuski. Obleciał kawał świata jako młody chłopak w czasie wojny, był we Włoszech i w Anglii i obecnie mieszka z żoną i dwójgiem dzieci w Sannignes le M., pracując jako górnik. W Basin de Blazy pracuje dziś jeszcze po redukcji wielu szybów około 5.000 górników, w tym 2.000 Polaków. Praca nie jest lekka, urzędnicy kopalniane przestarzałe i z punktu widzenia bezpieczeństwa pracy dałoby się wiele powiedzieć. Po dojściu do 50 lat otrzymają emeryturę. Mimo ciężkiej pracy, jest zadowolony. Znajduje nawet czas na sztukę. Maluje. Z dumą opowiada w dobrym polskim języku, że w jego okręgu zrobiono wystawę i na 50 malarzy dostał pierwszą nagrodę za obraz przedstawiający martwą naturę.

Dowiadujemy się od Więclawskiego, że dzisiejsza pielgrzymka polska jest specjalnie uroczystą. Jest to rocznica 200 lat ukazania się Serca Jezusowego św. Małgorzacie, właśnie w tym miejscu, gdzie stoimy. Obok jest kapliczka, gdzie

wierni przychodzą modlić się i zapalają świeczki. Polacy specjalnie adorują to miejsce i zbierają się tu co roku. Kler francuski umie to cenić i dlatego dziś Mszę pontyfikalną odprawia Kardynał.

Lecz oto wchodzą już na plac krakowiacy i inne grupy kostiumowe. Za nimi lasek sztandarów z wizerunkiem Matki Boskiej, jakże polskiej i swojej. Następnie orszak księży z małą figurką księdza Kardynała... Czuję,

STEFAN LEGEŻYŃSKI

GRUNT TO CISZA



Michał chłop ze złota. Przyjechał do nas na kilka dni. Co za radość. Opalony jak sam Castro. Jak zawsze z drobnymi podarunkami, dla nas gin, dla Krystyny kombinację (— świnia, powiedziała do niego, — ty masz zawsze dwuznaczne podarunki), dla babuni olbrzymi tort (babunia lubi słodycze, pozostało jej to z młodych lat), coś dla Jerzego, już nie pamiętam co. W każdym razie nie zapomniał o nikim.

— Jak tu u was cicho, powiedział, kiedy się wdrapał na nasze 4-te piętro.

— Cicho, zaśmiała się Krystyna.

— Ależ idealna cisza.

— Ha, ha, sam zobaczysz. Śmiech idiotki zaraz usłyszysz.

— Co to, czy pies?

— Nie, to idiotka, psa usłyszysz za chwilę.

Dzieci upośledzonych wokół domu, w którym mieszkamy nie brakuje, ale nie podpadają za dużo. Idiotka zaś wyje stale, choć prawdę powiedzieć, z przerwami. Piesek zaś szczeka tylko wtedy, gdy wyrzucają go na podwórce, a on chce do pokoju, by bawić się z dziećmi. Więc staje na tylne nogi i zagląda do pokoju — jego państwo mieszkają na parterze a on biega po podwórku, które jest jednocześnie małym ogródkiem.

— Ale on przyjemnie szczeka, powiedział Michał, gdy usłyszał szczekanie psa. Poza tym pies mu się podobał. Nieduży i podobny trochę do baranka.

— Niech szczeka!

— Ale on tak potrafi szczekać kilka godzin. Dawniej myślałam, że psu dzieje się jakaś krzywda. Raz tak rozpaczliwie krzyczał, że otworzyły się wszystkie okna. Ale pokazało się, że to kot go podrapał. Teraz, gdy widzi kota to szczeka specjalnie podniesionym tonem.

— A czemu to dom się tak kołysze?

— Zaczekaj, muszę posłuchać, powiedziała Krystyna. Słucha.

— Jeszcze nie wiem! Słucha dalej.

— Ha, może to być ta świeżo poślubiona para, albo kolejka. Wiesz, tuż pod domem idzie Underground. Może jakiś większy samochód, a może trzęsienie ziemi?

że ktoś opiera się z tyłu na moim ramieniu. Obracam się i widzę pomarszczony nosk żony i łyż wzruszenia, które płyną jej po policzkach. Od opuszczenia kraju w początkach wojny nie widziała jeszcze tyle strojów i sztandarów polskich.

Przypadkiem, we Francji, w Paryżu le Monial, spotkaliśmy Polskę. To była Polska bez cudzościan.

Janusz Rakowski

Michał zdziwił się. To, to małżeństwo kołysze całym domem?

— No tak, powiedziała Krystyna — oni odnawiają mieszkanie, a dom staruszek, stulecie, ma najmniej sto lat, więc się trochę kołysze. To zresztą nic, zobaczysz gdy przeleci samolot, wtedy się dopiero trzęsie.

— A wy się nie boicie w takim gracie mieszkać? Może się zawalić.

— A czy to nasz dom. Zresztą i tak od dawna jest na liście do rozbiórki. O widzisz — Krystyna wychyla się lekko przez okno — te domy wyburzyli dwa lata temu. A te będą burzyły za dwa lata. Nasz pójdzie z nimi, albo kilka lat później.

— A co to tak skrzypi?

— Jeden z dwu żurawi gdyż tu, za tym dachem, więc nie widać, tylko słychać, budują gigant dom. Więc sobie żuraw skrzypi. Znieśli kilka ulic by ten dom postawić, i już niedługo będzie gotowy.

— A skąd ten czad, zainteresował się Michał.

— A skądby jak nie z kolei. Tu jeszcze nie nastąpiła era elektryczności, tu się pali węglem, i kiedy jest lekka mgiełka, ot choćby tak jak dziś, to czadek przychodzi i tutaj.

— Dlaczego więc tu mieszkacie?

— A czy ty widziałeś polskie domy nie koło kolei, nad kolejką podziemną, przy cmentarzach lub krematoriach. Gdzieś tu się Michał chował?

Na to odezwała się babunia: — Dlaczego poruszacie same smutne tematy. Niech Michał się rozgości, a ty Krystynko zrób kawy, to dam wam kawałek tortu. Zresztą o co chodzi, o te trochę dymu, ja straciłam węż więc go nie czuję, a hałas, straciłam słuch, więc ich nie słyszę. Starość też ma swoje uroki. Trochę poczekajcie a będziecie tacy szczęśliwi — tak jak ja.

— A co tam w telewizji?

— O właśnie aktualny temat: — Jak walczyć z hałasem w wielkim mieście.

Stefan Legeżyński

PODWÓJNA KŁĘSKA „TADEUSZA MATEJI“

(Dokończenie ze str. 8)

wśród inteligencji. I wykonuje to zadanie tak skutecznie, że reżim ją właśnie uważa za swego wroga nr 1.

Sprawa paryskiej „Kultury“ niejednemu raz była dyskutowana na posiedzeniach warszawskiego Politbiura, niejednemu raz była omawiana w sekretariacie KC PZPR. Na zamówienie polskiej kompartii znany politruk, Janusz Koleczyński, na łamach warszawskiej „Kultury“ ogłosił przed dwoma laty cały szereg artykułów gwałtownie atakujących „dywersję“, uprawianą w Kraju przez Radio Wolnej Europy i paryską „Kulturę“. W końcu 1964 r., artykuły te zostały rozszerzone, zaktualizowane i wydane w formie broszury pt. „Dywersja“, zawierającej 153 strony.

Porównując działalność Radia Wolnej Europy i paryskiej „Kultury“, Koleczyński przyznaje, że zasięg „dywersji ideologicznej“ tej ostatniej jest mniejszy. Ale natychmiast przestrzega przed wyciąganiem z tego stwierdzenia zbyt pochopnych wniosków. Pisze dosłownie:

O ile RWE służy celom masowej propagandy (a ściślej: dywersyjnej dezinformacji) ... o tyle Kultura wypełnia funkcje ośrodka oddziaływania na stosunkowo elitarne kręgi inteligencji, zwłaszcza na środowiska intelektualne. W samym założeniu zatem zakres i zasięg działalności Kultury jest węższy niż w przypadku RWE“.

I zaraz dodaje:

„Ten swoisty elitaryzm funkcji nie powinien wszakże mylić, prowadzić do wniosku o mniejszym potencjale niebezpieczeństwa, które reprezentuje Kultura. Wręcz przeciwnie, elitaryzm ten po pierwsze — stwarza możliwości lepszej koncentracji tematycznej, a co za tym idzie — głębszego penetrowania wybranych środowisk. Po wtóre — oznaczają one, że Kultura koncentruje swą dywersyjną działalność na jednym z najbardziej newralgicznych odcinków frontu ideologicznego — na kadrach tego frontu.“

Oczywiście, pracownicy Radia Wolnej Europy „są na usługach amerykańskiego wywiadu“, natomiast współpracownicy „Kultury“, a przynajmniej wielu z nich (broszura wymienia nawet nazwiska) to ludzie „na służbie niemieckiego rewizjonizmu“ lub nawet „utrzymujący bezpośredni kontakt z Gehlenem“. Są to więc „agenci niemieccy“. Nie amerykańscy, lecz niemieccy. Niewielka to zresztą różnica. Koniec końców — pisze warszawski politruk — gdy wybiera się rolę agenta przestaje się liczyć to, w czyjej jest się służbie. Tym bardziej, gdy między zleceńdawcami nie ma istotnych różnic“.

Ale nie to jest „największym grzechem“ tych emigracyjnych „dywersantów“. Więc co? A no — posłuchajmy:

„Dalece jednak ważniejszy jest podstawowy wniosek, do którego prowadzi analiza postawy polskich uczestników dywersyjnej roboty Zachodu: doprowadzony do konsekwencji antykomunizm dziś prowadzi w końcu, tak czy inaczej, bezpośrednio do zdrady interesów narodowych Polski, do sprzeniewierzenia się postawie patriotycznej. Taka jest wewnętrzna logika procesów politycznych“.

Jasne, proste, zrozumiałe. Dzisiaj już więc wiemy, że każdy przeciwnik dyktatury komunistycznej w Polsce — bez względu na to, czy stale przebywa w Kraju, czy na emigracji — prędzej czy później zostanie okrzyknięty jako „agent“ amerykański lub niemiecki.

Wielką zasługą redaktora paryskiej „Kultury“ jest to, że zdołał dotrzeć do tych krajowych „zdradców interesów narodowych“, że rozszerza ich horyzonty, dostarcza im niedostępnych w Polsce materiałów, pobudza do refleksji i do oporu. I wszędzie trafia na podatny grunt. Żle jest z komunizmem w Polsce, skoro działalność „Kultury“ wśród kadr kompartii została uznana za dywersję „na jednym z najbardziej newralgicznych odcinków frontu ideologicznego“

Oto dlaczego kompartia postanowiła zniszczyć „Kulturę“ i w tym celu puściła w ruch cały swój aparat. Dlatego właśnie Janusz Koleczyński pisze swoją „Dywersję“, a „Tadeusz Mateja“ swoje „Podwójne życie Jerzego Giedroycia“. Reżim za wszelką cenę chce położyć kres tej niebezpiecznej „dywersji“, skompromitować w Kraju i za granicą jej kierownika, odstraszyć od podobnej działalności innych emigrantów.

Tymczasem wbrew przewidywaniom CK PZPR, „dywersja“ przybiera rozmiary coraz szersze. W Polsce popyt na „Kulturę“ wzrósł ogromnie.

Zawiodły także reżimowe rachuby na innym odcinku: kompartia nikogo na emigracji nie zdołała zastraszyć. Dowodem tego jest fakt, że „Kultura“ w swej „dywersyjnej działalności ideologicznej“ już znalazła wielu naśladowców. Jednym słowem, już dzisiaj można powiedzieć, że „Tadeusz Mateja“ poniósł podwójną klęskę.

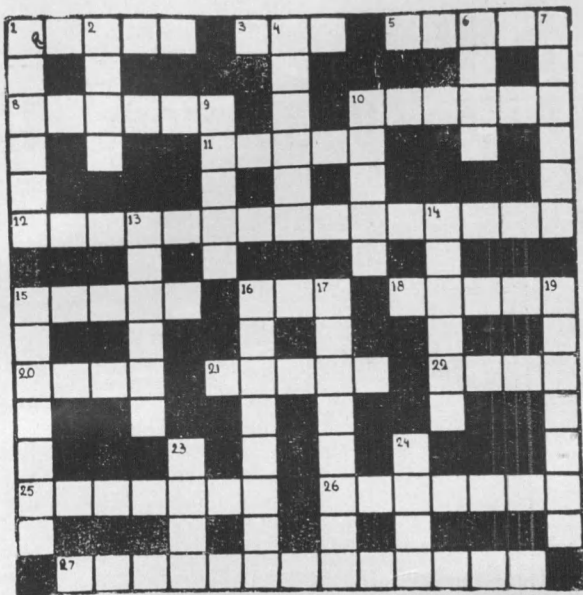
Na początku przytoczyłem list p. Michała Pawlikowskiego do „Mateji“. Dla ścisłości dodam, że po ukazaniu się tego listu w „Naszym Znaku“, p. Pawlikowski napisał drugi list — do redakcji tego „polonijnego“ miesięcznika. Podkreśla w nim, że pierwszy list był skierowany wyłącznie do autora broszury „Podwójne życie Jerzego Giedroycia“ i że „zapewne przez nieporozumienie został wydrukowany“. W każdym razie list ten, nie był przeznaczony do druku“.

Z tego wynika, że p. Pawlikowski chciał przyklasnąć „Tadeuszowi Mateji“, ale tak, by nikt o tym nie wiedział. Przypomina mi to przysłowiową dziewicę, która chciała i cnotę zachować i posag uciułać. Musiała jednak w końcu coś wybrać: albo cnotę — albo posag. Kumanie się z „Tadeuszem Mateją“ nie daje takiego wyboru — traci się zazwyczaj i cnotę i posag. Jeśli mimo to ktoś koniecznie chciałby do „Mateji“ pisać, podaję jego aktualny adres: MSW 5, Warszawa. List na pewno dotrze do właściwego adresata. Bez pośredników.

Stanisław Paczyński

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto pocz. 7315-20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvensens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen, Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licina 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627th Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

KRZYŻÓWKA Nr 577/65



ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) bronią jego jest intryga i podstęp; 3) i 16) pierwszy tytuł Podczaszyca z Paryża; 8) kozak; 10) postać Fredry; 11) zupełnie; 12) wewnętrzne wymówki (7, 8); 15) przyszli tam Żydzi trzeciego miesiąca po wyjściu z ziemi egipskiej; 18) wygląda na głośnego ptaka?; 20) i 22) żołnierz; 21) potrzebna w kanałach; 25) trzy po trzy (wspak); 26) szpilka kamienna?; 27) posunąć się za daleko (8, 5).

Pionowe: 1) zdumienie; 2) przyjaciel więźnia?; 4) suchy ptak? (wspak); 6) wspólny dla muzyki i dobrego towarzystwa; 7) rozgłos; 9) warta; 10) miasto

Verdiego; 13) głośny przypadek? (wspak); 14) rodzaj malarstwa l.mn. (wspak); 15) zgicłk, wrzawa; 16) gra słów; 17) doprowadziła Kaina do zbrodni; 19) latająca wróżka? 23) kwatery wojskowe; 24) symbol ministra l.mn.

Sprostowanie. Znaczenie wyrazów w krzyżówce nr 576/65 zostało podane błędnie. Powinno brzmieć: **Poziome:** 1) i 5) taki może być bal; 3) i 16) przed jego potęgą chylcie się ludzie słabi. **Pionowe:** 7) skłonny do jednego z grzechów głównych (wspak). Przepraszamy Czytelników za dodatkową trudność w rozwiązywaniu krzyżówki.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 576/65

Poziome: 1) i 5) kostiumowy; 3) i 16) mocarz; 8) nawias; 10) Cosimo; 11) kroki; 12) jak makiem zasiał; 15) Kinga; 18) Dawid; 20) i 22) baraszki; 21) Stach; 25) tłumoki; 26) legenda (wspak); 27) słomiany ogień.

Pionowe: 1) konwój; 2) Sawa; 4) obroże; 6) opis; 7) łakomy (wspak); 9) skoki; 10) cisza; 13) magnat; 14) szansa; 15) kobieta; 16) Artemida; 17) zacofany; 19) dziupla; 23) młot (wspak); 24) Gont (wspak).

SZYBKIE



**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre,
Paris 17-e.

MOŻESZ WYSŁAĆ
WSZYSTKO
przez
Grabowskiego
Lekarstwa
Żywność
Pieniądze
Owoce
Ortaliony
(bez podpinką i z podpinką)
i tak dalej
Nowy cennik z kalendarzem 1965
Każdy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
M. B. GRABOWSKI
175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

**KALENDARZYK
KOMBATANTA
NA ROK 1966**

W oprawie reksynowej 5/-
„ „ skórkowej 9/-

Zamówienia przyjmuje:

GRYF — KSIĘGARNIA SPK
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.



GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. I P.C.A. PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road, London, S. W. 11. — Tel. BAT 1445

20, Queen's Gate Terrace, London, S. W. 7. — Tel. KNI 3500

ZAWIADAMIAJĄ O UKAZANIU SIĘ KSIĄŻEK:

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI. Stron 576. Ilustracje i indeks.

Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 32.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914”. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

UKAZĄ SIĘ W CIĄGU MIESIĄCA:

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM. Str. około 500. Ilustracje.

Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. Gawędy swą treścią i formą stanowią wspaniałą lekturę dla każdego czytelnika bez względu na wiek, smak literacki i zainteresowania. „Wieczory pod dębem” to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczętowana historiozoficzną pointą. Każdy rozdział stanowi całość. W sumie książkę czyta się jak najlepsze felietony Nowakowskiego.

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY. Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Powieść mieszczańska, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków w Warszawie, okupowanej przez Niemców. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się w niezwykłych warunkach życie przeciętnych ludzi, zwykłych mieszczan — toczy się nieubłagane w kierunku śmierci. Trafność psychologicznych obserwacji, szczerść ekspresji oraz styl czynią z książki wartościową pozycję w literaturze tego okresu. Przed kilku laty ukazała się ona w przekładzie hebrajskim i została przyjęta pochlebnie krytyką.

ŚWIĘTA ZA PASEM!

SPRAWDŹ U SWEGO DOSTAWCY CZY MA NA SKŁADZIE

ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI

WÓDKA WYBOROWA 73 Pr. (Blue Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 56/6, $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0,
 $\frac{1}{2}$ but. — 28/6, $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 15/0, Setka — 8/4, Min. — 4/6

WÓDKA WYBOROWA 65.5 Pr. (Red Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6
 $\frac{1}{2}$ but. — 24/3; $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 12/6

WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/11

WÓDKA KRAKUS 65.5 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6; $\frac{1}{2}$ but. — 24/3

WÓDKA SOPLICA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0

WIŚNIÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; $\frac{3}{4}$ but. — 28/3

JARZĘBIAK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37; Min. — 4/6

ZUBRÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; Min. — 4/6

ŚLIWOWICA 69 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 54/0; $\frac{1}{2}$ but. — 27/6

WIŚNIAK 42 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 42/6; $\frac{1}{2}$ but. — 22/0

KRUPNIK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 38/6; Min. — 5/0

STARKA 87 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 48/0; Min. — 5/3

SPIRYTUS 100 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 36/9

SPIRYTUS 140 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 49/9; Min. — 7/4

GOLDWASSER 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/6; Min. — 4/6

CASSIS 61 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 33/0; Min. — 4/3

WINA OWOCOWE — butelka — 10/9

B L I Ź N I A K I (Twin Pack) — 14/6

M I O D Y

WAWEL — $1\frac{1}{2}$ litra — 39/0; $\frac{3}{4}$ litra — 19/0; setka — 3/3

STAROPOLSKI — Gąsiorek $\frac{3}{4}$ ltr. — 18/0

BABUNIA w specjalnych butelkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 28/6

NADWIŚLAŃSKI w kolorowych kamionkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 24/6

PIWO TATRA - ŻYWIEC, Okocimskie i Porter

Do nabycia po powyższych cenach w każdym dobrym sklepie win i wódek.

Wyl. Importer

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, LONDON, W. 1.

Tel. GER 3367